

Setny numer

Nr 9-10 (100-101)
WRZESIEŃ-PAŹDZIERNIK 2021
CENA: 9,90 zł (w tym 8% VAT)

wSIECI

HISTORIA

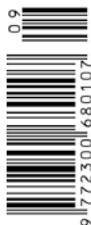
MAGAZYN O POLSCE,
HISTORII I KULTURZE

REKONSTRUKTORZY

DZIĘKI NIM

Historia
jak żywa

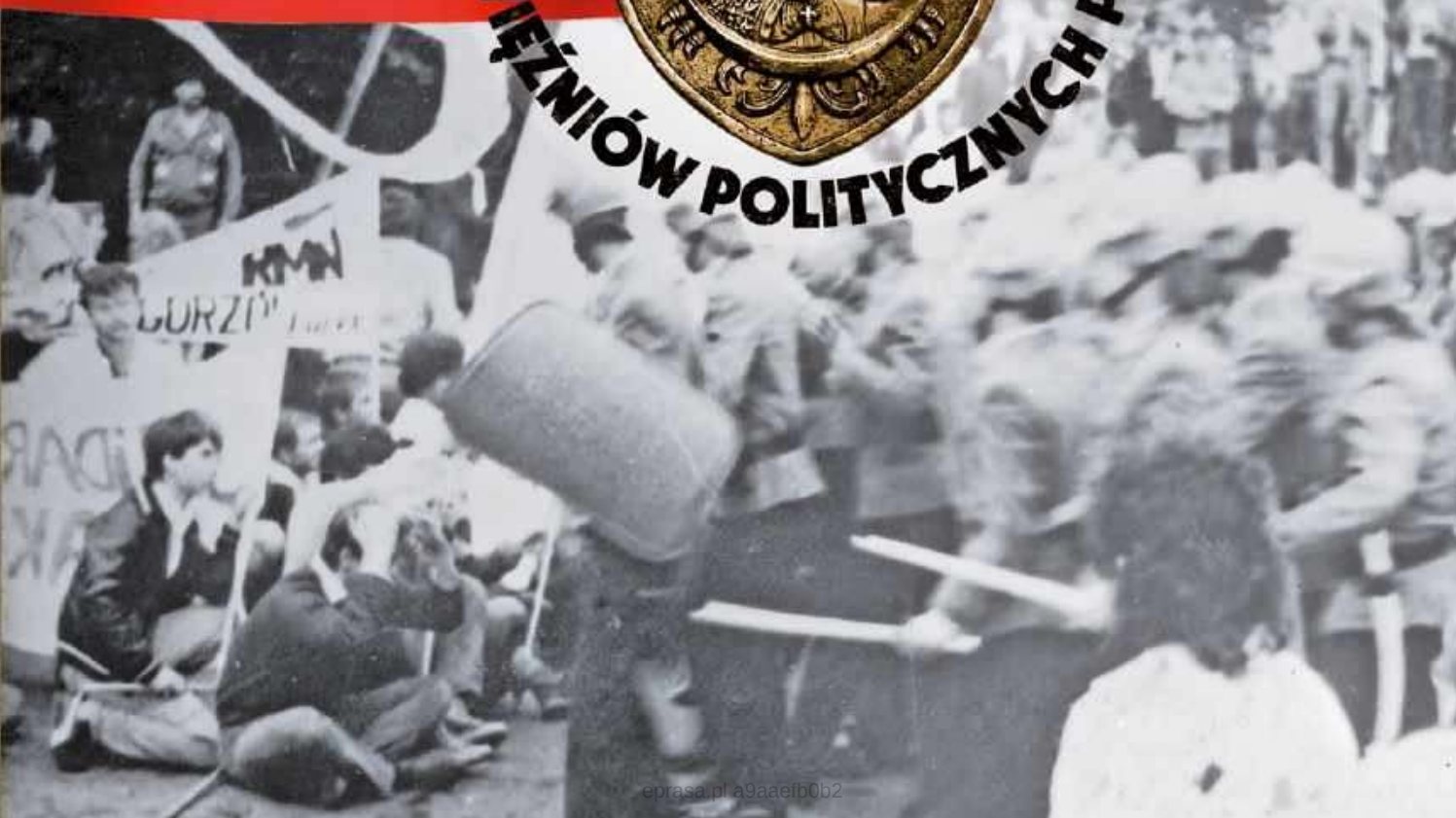
INDKS 297127 ISSN: 2300-6803



9 772300 680107



**Muzeum Żołnierzy Wyklętych
i Więźniów Politycznych PRL**



SETNE URODZINY

Jubileuszowy numer naszego pisma „wSieci Historii” pro-wokuje do podsumowań i wspomnień. Zaczynaliśmy naszą przygodę, dzięki inicjatorom dzieła – braciom Michałowi i Jackowi Karnowskim, w kwietniu 2012 r. Wtedy powstała redakcja miesięcznika „Na Poważnie” (tytuł wymyślił nasz syn, Stanisław) i wyszedł pierwszy numer. Wokół tej inicjatywy zebrała się grupa przyjaciół, ale także ideowych wyznawców Wielkiej i Dumnej Polski. Zaczęliśmy wydawać pismo ekskluzywne. Pamiętam pierwszy numer z tematem miesiąca „Wolność reglamentowana” z rysunkiem Andrzeja Krauzego. Podjęliśmy pracę w atmosferze zbliżającej się, drugiej rocznicy tragedii smoleńskiej, poszukując odbiorcy intelektualnego, a zarazem zainteresowanego współtworzeniem wspólnoty polskiej, zdolnej do kontaktowania się z własnym dziedzictwem. Wiedzieliśmy, że polski patriotyzm – tak potrzebny do zrozumienia współczesnemu Polakowi – ma wiele definicji; z jednej strony to patriotyzm insurekcyjny, wyrastający z doświadczenia kolejnych pokoleń walczących o przywrócenie na mapę świata Niepodległej, z drugiej strony to patriotyzm republikański, zapomniany, a wyrastający z tradycji I Rzeczypospolitej, za którą byli odpowiedzialni nosiciele herbów, rycerze, szlachta, prymasi i kaznodzieje, a im bliżej końca Rzeczypospolitej, także mieszczaństwo. I ten trzeci wymiar patriotyzmu, mnie osobiście najbliższy, narodowo-demokratyczny, wspierany równolegle przez naukę społeczną Kościoła. Patriotci obozu narodowego i katolickiego budowali na przełomie XIX i XX w. nowoczesny naród polski, jednocześnie przeciwstawiając się imperializmowi protestancko-niemieckiemu i prawosławno-carskiemu. „Polak – katolik” – jak pisał prymas Stefan Wyszyński – „Nie jest to hasło, to jest płód życiowy, wyrosły w warunkach bytowania Kościoła w udręczonym Narodzie”. Nasz miesięcznik miał ten polski dorobek patriotyzmu prezentować. I tak zostało. Po roku zmieniliśmy tytuł pisma, jednocześnie urozmaicając jego zawartość. Pierwszy numer miesięcznika (obecnie dwumiesięcznika) „wSieci Historii” ukazał się 16 maja 2013 r., i zanotował sprzedaż niebywałą – 55 tys. egzemplarzy.

Udało nam się (zespołowi z Małgorzatą Żaryn i Michałem Karpowiczem oraz ze mną, na czele) zachęcić do stałej współpracy wybitnych historyków i – szerzej – ludzi kultury i nauki, o różnej wrażliwości, a także główne instytucje kultury czy archiwa państwowe. Dzięki temu chcieliśmy osiągnąć pewien efekt, czyli zaprezentować w formie kompetentnej nasze rzeczywiste dziedzictwo, nieograniczone z racji prywatnych obciążeń redakcji czy też na skutek podtrzymywania cenzorskich cięć fragmentów naszej historii, odziedziczonych przede wszystkim po PRL, ale też – co jeszcze smutniejsze – po II RP. Otwartość na nasze dziedzictwo miała jednak swoje ograniczenia, oparte na refleksji historyczno-moralnej. Definiujemy zatem także hańbę i zdradę, choć cieszy nas przede wszystkim pozytywny dorobek przeszłych pokoleń.

Wśród tych wielu, z którymi podjęliśmy owocną współpracę, znaleźli się – nasze koleżanki i nasi koledzy, których już dziś z nami nie ma. Iza Galicka, wybitny historyk sztuki, odkrywczyni (wraz z panią Hanną Sygietyńską) polskiego obrazu El Greca z Siedlec, zaszczycała nas swoimi tekstami

o włoskich malarzach czy rzeźbiarzach, ale również – wykazując zdolności literackie – fragmentami własnych wspomnień i prowadzonego przy okazji inwentaryzacji dóbr kultury dziennika. Andrzej Wroński z kolei, z którym studiowaliśmy na tym samym roku w czasach radości i smutku wywołanego wprowadzeniem stanu wojennego, był dyrektorem założonego przez siebie znanego wydawnictwa naukowego Neriton, sam także badacz XIX-wiecznych dziejów Polski. Razem tworzyliśmy po 10 kwietnia 2010 r. SPJN – środowisko inteligencji polskiej, m.in. organizujące, również dzięki Andrzejowi, w kościele Wszystkich Świętych wykłady i szkolenia. Erazm Ciołek, wybitny fotograf Solidarności i dzieła bł. ks. Jerzego, z którym zaprzyjaźniliśmy się błyskawicznie, i z którym – Małgosia i ja – przeprowadziliśmy jego ostatni wywiad, dla miesięcznika.

JAN ŻARYN



HISTORII

21 POMYSŁ REDAKCJI, ABY PODJĄĆ REFLEKSJĘ NAD WIELKIMI WYDARZENIAMI Z PERSPEKTYWY STULECIA OD ICH ZAISTNIENIA, UWAŻAM ZA BARDZO INTERESUJĄCĄ SPOSOBNOŚĆ DO ĆWICZEŃ WYOBRAŹNI HISTORYCZNEJ – **OCENIA MAREK KORNAT**

34 REKONSTRUKTORZY WYDARZEŃ HISTORYCZNYCH – BEZ ICH PASJI I WKŁADU PRACY ORAZ ZGROMADZONEGO OGROMNYM WYSIŁKIEM WYPOSAŻENIA NIE BYŁOBY MOŻLIWE STWORZENIE OKŁADEK 100 WYDAŃ „wSIECI HISTORII” – **PISZE MICHAŁ KORSUN**

3 **GŁOS NACZELNEGO**
JAN ŻARYN

W CENIU HOLOKAUSTU

10 **W CENIU ŚMIERCI. POLSKIE PAŃSTWO PODZIEMNE I (NIE) ZWYKLI POLACY**
PRZEMYSŁAW WAINGERTNER

TEMAT MIESIĄCA

12 **PIERWSZE 100 LAT OCHRZCZONEJ POLSKI**
MAREK BARAŃSKI

15 **100 LAT PO UNII LUBELSKIEJ**
HENRYK LITWIN

18 **100 LAT PO WIKTORII WIEDEŃSKIEJ**
ZOFIA ZIELIŃSKA

21 **ROK 1815 I 100 LAT PÓŹNIEJ**
MAREK KORNAT



24 **W STULECIE POWSTANIA STYCZNIOWEGO**
PAWEŁ SKIBIŃSKI

27 **STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI**
JAN ŻARYN

30 **REWOLUCJE I POWROTY. DAMSKA MODA 100 LAT PO STYLU EMPIRE**
MARIA MOLENDĄ



REKONSTRUKTORZY

34 **HISTORIA W OKŁADKACH**
MICHAŁ KORSUN

WEHIKUŁ CZASU

42 **WRZESIEŃ, PAŹDZIERNIK**
MICHAŁ KOMUDA

SKARBY AGAD

46 **PIECZĘCI KRÓLEWSKIE**
JACEK KROCHMAL



TAJEMNICE AAN

48 **OSTATNIE ROZKAZY II RP**
RAFAŁ KIERZKOWSKI

FELIETONY

9 **CHROBRY, HENRYK, BRUNO**
GRZEGORZ GÓRNY



65 **1956 – POCZĄTEK ERY KEKKONENA**
PAWEŁ SKIBIŃSKI

77 **SÓL ZIEMI**
ELŻBIETA BRZOZOWSKA
100 NA 100
GABRIELA SIEROCIŃSKA-DEC

81 **NIE TYLKO NORYMBERGA**
ANTONI DUDEK

81 **DZIEWIEĆ RAD DLA WAS (DLA NAS)...**
RYSZARD CZARNECKI

96 **PAŃSTWO – CIAŁO NARODU**
MAREK JUREK



DUSZA KONTUSZA

50 **MAŻ STANU CZY WARCHOŁ**
HENRYK LITWIN

ZDARZYŁO SIĘ

53 **PODWÓJNA BEATYFIKACJA**
MONIKA WIŚNIEWSKA



56 **RATUJEMY CZŁOWIEKA**
ALINA PETROWA-WASILEWICZ

59 **PRZYGODY MAKŁOWICZA SENIORA**
MARCIN KWAŚNIAK



PRASPORT

62 **„SMUTNI PANOWIE” NA OLIMPIJSKIM SZLAKU**
GRZEGORZ MAJCHRZAK

IDMN

66 **DOROBK WRESZCIE PRZYPOMNIANY**
RAFAŁ ŁATKA

POLONIA

68 **PIŁSUDCZYCY W KONTRZE**
KRZYSZTOF TARKA



WŁADCZYNIE

71 **ŻONY ZYGMUNTA III WAZY**
MAREK BARAŃSKI



Stali współpracownicy:

Marek Barański, Ryszard Czarnecki, Antoni Dudek, Kacper Grochowski, Grzegorz Górny, Marek Jurek, Tomasz Karpowicz, Michał Komuda, Jarosław Kossakowski, Jacek Krochmal, Henryk Litwin, Rafał Łatka, Piotr Mazurek, Joanna Puchalska, Gabriela Sierocińska-Dec, Paweł Skibiński, Andrzej Skwarczyński, Piotr Skwieciński, Piotr Zaremba, Krzysztof Żaryn oraz IPN, MPW, AGAD, AAN i NAC

Współpracownicy:

Jarosław Czuby, Jerzy Dąbrowski, Iza Galicka, Grzegorz Grabski, Adam Hlebowicz, Zbigniew Hundert, Michał Janik, Piotr Kardela, Janusz Kotański, Artur Kubaj, s. Małgorzata Krupecka, Sebastian Ligarski, Agnieszka Łuczak, Piotr Łysakowski, Grzegorz Majchrzak, Łukasz Michalski, Waldemar Mierzwa, Wojciech Osiński, Tomasz Panfil, Andrzej R. Potocki, Maria Radożycka-Paoletti, Marcin Schirmer, Ewelina Steczkowska, Grzegorz Szymborski, Krzysztof Tarka, Przemysław Waingartner, Jakub Witczak

Dyrektor artystyczny:

Michał Korsun, michal.korsun@fratria.pl

Studio graficzne:

Andrzej Skwarczyński (kierownik) andrzej.skwarczyński@fratria.pl, Projekt graficzny: Michał Korsun Fotoedytacja: Anna Łabęcka, ania.labecka@fratria.pl, Robert Gołaszewski, robert.golaszewski@fratria.pl, Obróbka zdjęć: Tomasz Kieras

Wydawca:

Fratria sp. z o.o. prezes: Romuald Orzeł ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia redakcja@fratria.pl, www.fratria.pl

Druk: Walstead Kraków sp. z o.o.

Prenumerata wydania papierowego: tel. (22) 616 36 00

www.wsieci.pl
prenumerata@fratria.pl

Regulamin oraz warunki prenumeraty na stronie www.wsieci.pl Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto:

91 240 5354 1111 0010 7713 6290 FRATRIA Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia,

w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe od wysyłki oraz rodzaj prenumeraty

Prenumerata realizowana przez RUCH SA: Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej oraz na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie

www.prenumerata.ruch.com.pl Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem

Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godzinach 7⁰⁰-18⁰⁰. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Dyrektor ds. Rozwoju Biznesu:

Katarzyna Marchewka katarzyna.marchewka@fratria.pl

Biuro Reklamy:

reklama@fratria.pl Paulina Kąkol – paulina.kakol@fratria.pl Agnieszka Woźniak – agnieszka.wozniak@fratria.pl Marcin Dąbrowski – marcin.dabrowski@fratria.pl

Kolportaż:

kolportaz@fratria.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów.

Copyright © Fratria Sp. z o.o.

Wszystkie prawa zastrzeżone (włącznie z tłumaczeniem na języki obce). Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Ogłoszenia i reklamy nie stanowią materiału pochodzącego od Wydawcy. Bezumowna sprzedaż numerów bieżących i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.



OKŁADKA: Fot. Andrzej Wiktor; Charakterystyka: Joanna Wasilewska; Asystentka: Julia Miniewicz; Wystąpili rekonstruktorzy z grup: GRF Bemowo, Reko. Waw, Retro-Pasje, SGH Zgrupowanie Radostaw, SHE im. 7 Pułku Łansjerów Nadwiślańskich, ODN Inogici.

Podziękowania dla Anny Gerasimiuk i Studia Tęcza za pomoc przy realizacji sesji

53

DROGI ŻYCIA PRYMASA STEFANA WYSZYŃSKIEGO I MATKI RÓŻY CZACKIEJ FSK PRZECINAŁY SIĘ PRZEZ BEZ MAŁA 40 LAT. ICH WSPÓLNA BEATYFIKACJA W ŚWIĄTYNI OPATRZNOŚCI BOŻEJ TO PRZYPADKOWY PRZECIĄG? A MOŻE PRZYZNACZENIE? – ZAUWAŻA MONIKA WIŚNIEWSKA



ZIEMIAŃSTWO

72

RONIKIEROWIE I MIASTO OGRÓD POD WARSZAWĄ

JAROSŁAW KOSSAKOWSKI



DIABEŁ NIE MÓGŁ

90

W SALONIE U DEOTYMY

JOANNA PUCHALSKA

SZLACHETNE ZDROWIE

92

HOMEOPATIA – ZABIJA CZY LECZY?

KRZYSZTOF ŻARYN

CZYM STRZELAĆ

94

IKONA MECHANIZACJI WEHRMACHTU

KACPER GROCHOCKI



NAC PREZENTUJE

95

„DOM SCHICHTA”

ŁUKASZ KAROLEWSKI

Z FOTOTEKI IPN

97

ZAŁOGI POCIAGÓW PANCERNYCH W WIELKIEJ BRYTANII

ROBERT SZCZEŚNIAK



SILVA RERUM

98

GÓRA GRADOWA

ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

ZE ZBIORÓW MPW

99

ZDJĘCIA Z ELEKTROWNI

MICHAŁ TOMASZ WÓJCIUK



PEŁNA KULTURA

74

JAN PAWEŁ II A SOWIECI

ANDRZEJ GRAJEWSKI



78

KAROLINA LANCKOROŃSKA: UCZONA I PATRIOTKA

JERZY MIZIOŁEK

82

W KRĘGU KLIO

RAFAŁ ŁATKA

84

RAFAŁ ŁATKA ROZMAWIA Z PROF. MARKIEM KORNATEM



86

Z RENATA HIGERSBERGER

O WYBITNEJ POLSKIEJ MALARCE ANNIE BILIŃSKIEJ ROZMAWIA MAŁGORZATA ŻARYN





Konstanty Wolny patronem katowickiego dworca

15 lipca odbyła się uroczystość nadania imienia Konstantego Wolnego dworcowi kolejowemu w Katowicach. Była ona rezultatem współpracy Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej im. R. Dmowskiego i I.J. Paderewskiego z PKP SA. Nowy patron dworca w stolicy Śląska był narodowo-chrześcijańskim demokratą, najbliższym współpracownikiem i przyjacielem Wojciecha Korfanteo. To także główny twórca Statutu Organicznego Województwa Śląskiego – konstytucji śląskiej autonomii uchwalonej przez Sejm Ustawodawczy odrodzonej Polski 15 lipca 1920 r. „Działacz chrześcijańsko-narodowy. Jeżeli ktoś chciałby określić w dwóch słowach Konstantego Wolnego, to te dwa słowa są kluczowe. Był on niezwykle autorytetem na terenie Górnego Śląska w okresie całego dwudziestolecia międzywojennego. Ten kapitał, który zebrał w młodszym okresie swojego życia, później przekuł się na okres jego marszałkowania” – powiedział podczas uroczystości dyrektor IDMN prof. Jan Żaryn. W spotkaniu udział wzięli przedstawiciele lokalnych i regionalnych władz, środowisk społecznych i kulturalnych. Podczas uroczystości wojewoda śląski Jarosław Wierczok odczytał list prezesa Rady Ministrów Mateusza Morawieckiego. Gościem specjalnym wydarzenia był wnuk nowego patrona dworca w Katowicach – Konstanty Wolny Jr. W drugiej części uroczystości delegacje złożyły wieńce na grobie wieloletniego Marszałka Sejmu Śląskiego. Uroczystość nadania imienia dworcowi w Katowicach została połączona z otwarciem wystawy w budynku dworca „Twarze Powstańców”, której współorganizatorem jest Muzeum Śląskie w Katowicach. ■

Kolejowe upamiętnienie rtm. Witolda Pileckiego

Instytut Pileckiego i PKP Intercity wspólnie upamiętniają 120-lecie urodzin jednego z najodważniejszych ludzi w dziejach świata – rtm. Witolda Pileckiego. Lokomotywa EU-44 Husarz, która będzie prowadzić pociągi kursujące między Warszawą a Berlinem (gdzie znajduje się oddział Instytutu Pileckiego), została oklejona okolicznościową grafiką przedstawiającą ochotnika do Auschwitz. 2 sierpnia zorganizowano konferencję prasową, podczas której zaprezentowano nową formę upamiętnienia polskiego bohatera. Wzięli w niej udział m.in.: rodzina Rotmistrza – córka Zofia Pilecka-Optułowicz oraz siostrzeniec Andrzej Marek Ostrowski, a także przedstawiciele Ministerstwa Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu, Instytutu Pileckiego oraz PKP. Okolicznościowa grafika, której treść opracował Instytut Pileckiego, przedstawia postać Rotmistrza w najważniejszych momentach jego życia: młodzińcze lata w Wilnie, gdzie należał do drużyny harcerskiej, czasy przedwojenne z żoną i dziećmi w majątku Sukurcze, pobyt w obozie Auschwitz, a także proces sądowy w powojennej komunistycznej Polsce. W centralnym miejscu znajduje się symboliczny wizerunek Rotmistrza piszącego słynny raport alarmujący świat o sytuacji w Auschwitz. Na lokomotywie, w językach polskim i angielskim, umieszczono hasło: „Jego odwaga inspirowuje” – „His courage is inspiring”, co stanowi nawiązanie do rezolucji Parlamentu Europejskiego z 19 września 2019 r. w sprawie znaczenia pamięci historycznej dla przyszłości Europy, wzywającej do ustanowienia 25 maja, rocznicy śmierci Witolda Pileckiego, Międzynarodowym Dniem Bohaterów Walki z Totalitaryzmem. ■



Uroczystość poświęcona płk. Józefowi Rokickiemu

31 lipca, w przededniu 77. rocznicy wybuchu powstania warszawskiego, odbyła się uroczystość upamiętniająca płk. Józefa Rokickiego, komendanta głównego Narodowej Organizacji Wojskowej i dowódcy Mokotowa w powstaniu warszawskim. Pierwszym elementem obchodów była msza św. w kościele św. Michała Archanioła. Po jej zakończeniu wnuki bohatera Ludwika Borawskiego-Szymborska i Jakub Borawski oraz inicjator uroczystości, dyrektor Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Jana Paderewskiego prof. Jan Ża-

ryn, odsłoniли tablicę pamiątkową umieszczoną w kościelnym parkanie przy ul. Puławskiej. „Chcieliśmy tego dnia uhonorować jednego z tych polskich bohaterów, którzy wpisują się we wspaniałe chrześcijańsko-narodowe dziedzictwo historii Polski” – powiedział podczas uroczystości dyrektor IDMN. Na podstawie decyzji ministra obrony narodowej Mariusza Błaszczaka dotyczącej pośmiertnie awansu na stopień pułkownika. Okolicznościowy list ministra w tej sprawie odczytał szef gabinetu politycznego MON

Łukasz Kudlicki. Swoje słowo do uczestników wydarzenia skierował też minister edukacji i nauki prof. Przemysław Czarnek, a odczytał je jego doradca Tomasz Stańko. W uroczystości wzięli udział żołnierze Garnizonu Warszawa, reprezentanci Komendy Stołecznej Policji, delegacja 6 Mazowieckiej Brygady Obrony Terytorialnej im. rtm. Witolda Pileckiego, Stowarzyszenia Międzynarodowego Motocyklowego Rajdu Katyńskiego, Okręgu Mazowieckiego Związku Żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych i wielu innych organizacji społecznych. ■



FOT. JAKUB SZYMOSZUK/KPRP

W hołdzie powstańcom warszawskim

Z okazji 77. rocznicy rozpoczęcia powstania warszawskiego na przełomie lipca i sierpnia w stolicy oraz wielu innych miejscach Polski odbywały się liczne uroczystości upamiętniające uczestników boju z 1944 r. Tradycyjnie kulminacyjny punkt obchodów przypadł 1 sierpnia o godzinie W; o 17.00 odbył się apel poległych pod pomnikiem Gloria Victis na cmentarzu wojskowym na Powązkach, z udziałem najwyższych władz państwowych, w tym prezydenta RP Andrzeja Dudy i premiera RP Mateusza Morawieckiego, a w całej stolicy oraz w wielu innych miastach syreny upamiętniły moment początku powstania. W tym samym czasie na pl. Zamkowym uczestnicy akcji społecznej Żywy Znak dla Powstania Warszawskiego, zorganizowanej przez: Ministerstwo Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu, Narodowe Centrum Kultury, Fundację Służba Niepodległej, Stowarzyszenie Historyczne Polonia Restituta, Fundację Reduta Dobrego Imienia – Polska Liga przeciw Zniesławieniom, Fundację „Łączka”,

Instytut Haliny Konopackiej, Międzynarodowe Forum Bezpieczeństwa, Fundację Signa Temporum, Warszawską Sztafetę Niepodległości i warszawskiego KoLibra, oddali hołd bohaterom, ustawiając się w sposób tworzący z ludzi symbol Polski Walczącej. W godzinach późniejszych odbyły się także uroczystości na cmentarzu Powstańców Warszawy na Woli oraz kopcu Powstania Warszawskiego. Wieczorem tłumy warszawiaków zebrały się w parku Wolności przy Muzeum Powstania Warszawskiego, aby wspólnie śpiewać „(Nie) zakazane piosenki”. Z inicjatywy Towarzystwa Miłośników Polskiej Tradycji i Kultury, we współpracy m.in. z Instytutem Pamięci Narodowej i Polskimi Kolejami Państwowymi, zorganizowane zostały uroczystości na terenie prawobrzeżnej Warszawy, w których programie znalazły się m.in.: koncert piosenek powstańczych i patriotycznych w wykonaniu Chóru Żołnierzy Armii Krajowej „Nowogródzkie Orły” i Chóru Praskie Małmazje, a także inscenizacja historyczna ataku powstańców na Dworzec Wschodni im. R. Dmowskiego. 5 sierpnia odbyły się uroczystości pod pomnikiem Pamięci 50 Tysięcy Mieszkańców Woli Zamordowanych przez Niemców podczas Powstania Warszawskiego 1944, po których ulicami stolicy przeszedł marsz pamięci na cmentarz Powstańców Warszawy.

Obchody Święta Wojska Polskiego

„Zostań Żołnierzem Rzeczypospolitej” to motto przewodnie tegorocznych obchodów Święta Wojska Polskiego. W ich ramach 14–15 sierpnia w całym kraju Wojsko Polskie zorganizowało 30 okolicznościowych pikników upamiętniających bohaterów Bitwy Warszawskiej i pozostałych miejsc chwały oręża polskiego. Podczas pikników odbywały się pokazy

sprzętu i wyszkolenia żołnierzy, pokazy lotnicze, koncerty orkiestr wojskowych, przewidziano też mobilne punkty szczepień, strefy zabaw dla dzieci i żołnierską kuchnię. Szczególny wymiar miały obchody w Ossowie, miejscu, w którym toczyły się walki w 1920 r. Odbył się tam uroczysty apel pamięci przy krzyżu upa-

miętniającym miejsce, gdzie poległ bohater ks. Ignacy Skorupka. Przedstawiciele władz państwowych złożyli wieńce na cmentarzu wojskowym na Powązkach przy kwaterze żołnierzy, którzy polegli w Bitwie Warszawskiej. Na pl. Marszałka Józefa Piłsudskiego odbyła się natomiast uroczysta zmiana wart. Tegoroczne obchody były rozciągnięte w czasie i przestrzeni z uwagi na zagrożenie pandemiczne. Wszystkie ich elementy miały jednak wspólny cel: oddanie hołdu bohaterom wojny 1920 r. oraz zachęcanie młodzieży do wstępowania w szeregi polskiej armii.



CO BĘDZIE

Apel „Wołyń na Powązkach”

W związku ze zbliżającą się 80. rocznicą Krwawej Niedzieli – kulminacji mordów dokonanych przez ukraińskich szowinistów na Polakach, z inicjatywy dziennikarzy z różnych redakcji skupionych na pielęgnowaniu polskiej historii, w tym pamięci o Kresach Wschodnich, ruszyła akcja #WołyńNaPowązkach. W jej ramach można podpisać petycję skierowaną do gospodarza cmentarza wojskowego na Powązkach – prezydenta m.st. Warszawy Rafała Trzaskowskiego, dyrektora Zarządu Cmentarzy Komunalnych w Warszawie Danuty Kruk oraz prezesa Instytutu Pamięci Narodowej dr. Karola Nawrockiego, którego autorzy wskazują: „Powązki Wojskowe stały się centralnym punktem, przypominającym o krzywdach, które wycierpiał polski naród, szczególnie w XX wieku. Znajdują się tu liczne pomniki i miejsca pamięci pierwszej i drugiej wojny światowej, wojny polsko-bolszewickiej z lat 1919–1921, bohaterów Orląt Lwowskich i powstań narodowych. Tylko w ramach II wojny światowej zostali uczczeni żołnierze wszystkich frontów, ofiary niemieckich obozów zagłady i obozów pracy, Powstania Warszawskiego, Katynia i sowieckich deportacji na Sybir. Na terenie



cmentarza postawiono też pomnik poświęcony ofiarom katastrofy smoleńskiej [...] Dzięki staraniom m.in. Instytutu Pamięci Narodowej oraz Fundacji „Łączka” w kwaterze „Ł” powstało miejsce upamiętnienia Żołnierzy Wyklętych. Wśród tych wszystkich ważnych dla Polaków dat, miejsc i osób brakuje upamiętnienia ofiar ludobójstwa na Wołyniu. Za dwa lata obchodzić będziemy 80. rocznicę Krwawej Niedzieli. Nadszedł najwyższy czas, aby to zmienić! Pamięć o ofiarach ukraińskiego ludobójstwa jest niezwykle istotna i nie powinna się niczym różnić od upamiętnienia ofiar niemieckiego i sowieckiego totalitaryzmu”. Apel można podpisywać pod adresem internetowym www.wolynnapowazki.pl. ■

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



FOT. ANDRZEJ WIKTOR

„wSieci Historii” w Radiu dla Ciebie...

21 sierpnia i 18 września o godz. 13.00 w Radiu dla Ciebie red. Wojciech Marczyk będzie rozmawiał z członkami redakcji miesięcznika. ■



...w Radiu Warszawa...

6 września (poniedziałek) o godz. 9.30 Radio Warszawa oraz magazyn „wSieci Historii” zapraszają na wspólną audycję. Gośćmi Ewy Pietrzak będą członkowie redakcji pisma. ■



XIII Festiwal Filmowy NNW

W dniach 29 września–2 października w Gdyni odbędzie się XIII edycja Festiwalu Filmowego „Niepokorni. Niezlomni. Wyklęci” – wyjątkowego wydarzenia na filmowej mapie Europy kierowanego do twórców oraz środowisk interesujących się historią. Festiwal prezentuje filmy kina światowego, europejskiego i polskiego ukazujące różne drogi do wolności narodów, jak i wolności indywidualnej każdego człowieka. Festiwal NNW to także wydarzenia branżowe: warsztaty MasterClass, Pitching Forum, Case Study, sesje Q and A. Dopełnieniem festiwalowego programu są wydarzenia artystyczne: koncerty, widowiska plenerowe, spektakle teatralne, wernisaże czy wystawy. Organizatorem festiwalu jest Stowarzyszenie Scena Kultury, a jego dyrektorem – znany filmowiec i społecznik Arkadiusz Gołębiowski. Więcej informacji o wydarzeniu można znaleźć na stronie internetowej www.festiwalnnw.pl. ■

...i w Radiu Gdańsk



Prezentacja najnowszego numeru „wSieci Historii” w każdą ostatnią środę miesiąca o godz. 11:05 w audycji Wojciecha Sulecińskiego pt. „Co za Historia”. ■

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
WSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
pakiet SIECI i WSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania WSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań WSIECI HISTORII)

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

Chrobry, Henryk, Bruno



GRZEGORZ
GÓRNY

W latach 1004–1018 trwała wojna Bolesława Chrobrego z cesarzem Henrykiem II. Konflikt miał kluczowe znaczenie dla dalszych losów księstwa gnieźnieńskiego. Wiele wskazuje na to, że gdyby Polacy przegrali, podzieliłoby los Obodrytów, Stodoran czy Dziadoszan, czyli ludów słowiańskich wchłoniętych przez żywioł germański. Zwycięstwo pozwoliło nie tylko okrzepnąć młodemu państwu, lecz także ukształtować jego tożsamość.

Jak mówi Mirosław Jasiński, historyk sztuki związany z Dolnym Śląskiem: „Wcześniej istniało państwo gnieźnieńskie, na czele którego stał Mieszko I. Nazwa Polska jeszcze nie istniała, tak jak nie istniała jeszcze świadomość przynależności do jednej wspólnoty różnych plemion rozrzuconych na terytorium dzisiejszej Polski. To poczucie wykuwało się właśnie podczas wojny z Niemcami, która była wojną na śmierć i życie. Miała ona charakter partyzancki i zmobilizowała nie tylko wojów, lecz także olbrzymie masy poddanych Bolesława Chrobrego. Wiadomo, że nic tak nie zbliża mężczyzn, jak braterstwo broni i wspólnie przelana krew. Przez te 14 lat państwo gnieźnieńskie przekształciło się w państwo polskie. To w czasie tej wojny po raz pierwszy pojawiły się białe orły, czyli nasze godło. Mieszkańcy różnych dzielnic, których wioski były pustoszone przez Niemców, poczuli, że stanowią wspólnotę razem z tymi, którzy mieszkali kilkaset kilometrów dalej, mówili nieco innym językiem, ale również znajdowali się w sytuacji podobnego zagrożenia. To zwycięstwo otworzyło

Bolesławowi Chrobremu drogę do koronacji, która nastąpiła siedem lat później”.

Głównym wrogiem Bolesława był wówczas cesarz Henryk II, kanonizowany w 1146 r. przez papieża bł. Eugeniusza III. Czy wobec tego, tocząc wojnę przeciw świętemu władcy Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego, Chrobry postępował w sposób godny miana księcia chrześcijańskiego?

Najlepszą odpowiedź na to pytanie przynosi list św. Brunona z Kwerfurtu (mnicha benedyktyńskiego, kapelana cesarskiego, biskupa misyjnego i późniejszego męczennika) do Henryka II. W swym piśmie autor odnosi się do wojny z Chrobrym, pisząc: „Jeśliby ktoś także to powiedział, że do księcia Bolesława odnozę się z uczuciem wierności i serdecznej przyjaźni, prawda to. Rzeczywiście Kocham go jak duszę moją i więcej niż życie moje. Lecz mam wiarygodnego świadka, wspólnego Boga naszego, że nie miłuję księcia wbrew twojej taskawości, gdyż ile tylko mogę, pragnę życzliwie usposobić go

względem ciebie. Lecz oby bez utraty łaski króla wolno było tak powiedzieć: czy godzi się prześladować lud chrześcijański, a żyć w przyjaźni z pogańskim? Co za ugoda Chrystusa z Belialem? Jakie porównanie światła z ciemnością? Strzeż się, królu, jeżeli wszystko chcesz czynić przemocą, a nigdy z litością, którą lubi Chrobry, żeby przypadkiem Jezus, który teraz wspiera ciebie, nie rozgniewał się. Lecz w tym tkwi całe zło, że ani król nie ma zaufania do Bolesława, ani ten do zagniewanego króla. O, jak wielkie dobra i korzyści wynikłyby dla obrony chrześcijaństwa i nawracania pogan, jeśliby jak ojciec jego Mieszko ze zmarłym cesarzem, tak syn Bolesław żył z tobą, naszym królem”.

Św. Bruno przyznawał więc w sporze rację Chrobremu. Wzywał cesarza, by ten poniechał walk z Bolesławem, stawianym Henrykowi za wzór do naśladowania jako chrześcijanin i protektor misji wśród pogan. Mnich miał za złe niemieckiemu władcy zwłaszcza to, że sprzymierzył się z pogańskimi Lucicami, by wspólnie uderzyć na chrześcijańską Polskę.

Historyczne świadectwa wskazują, że w życiu osobistym Bolesław nie był przykładem ewangelicznych cnót, zwłaszcza w burzliwych relacjach z kobietami, jednak w swej działalności publicznej prowadził politykę wzmacniającą chrześcijaństwo. Tworzył polskie struktury kościelne, organizował misje wśród pogan, ufundował erem Pięciu Braci Męczenników, wykupił od Prusów ciało św. Wojciecha. Świętym nie został, ale w sporze z kanonizowanym cesarzem miał po swojej stronie racje religijne i moralne.

Św. Bruno z Kwerfurtu w sporze między cesarzem Henrykiem II a Bolesławem Chrobrym przyznawał rację polskiemu władcy



W CIENIU HOLOKAUSTU



W CIENIU ŚMIERCI

POLSKIE PAŃSTWO PODZIEMNE I (NIE)ZWYKLI POLACY



**PRZEMYSŁAW
WAINGERTNER**

„Żegota”

W wrześniu 1942 r. powstał tajny Tymczasowy Komitet Pomocy Żydom im. Konrada Żegoty, zainicjowany przez znaną pisarkę Zofię Kossak-Szczucką. Działał do końca 1942 r., kiedy w ramach struktur Polskiego Państwa Podziemnego utworzono Radę Pomocy Żydom „Żegota”. Gromadziła ona żywność, lekarstwa i ubrania, przerzucała je do gett, organizowała też z nich ucieczki i wyszukiwała po „aryjskiej stronie” kryjówki dla Żydów. W samej tylko Warszawie poza gettem ukrywało się ich ok. 25 tys. Ważnym aspektem działalności „Żegoty” było organizowanie dokumentów mających poświadczyć chrześcijańskie pochodzenie ich właścicieli – możliwe tylko dzięki zaangażowaniu się w pomoc dla Żydów polskiego Kościoła katolickiego. Wystawiono prawie 50 tys. takich dokumentów. Żydzi byli również ukrywani w kilkudziesięciu klasztorach w Polsce. W wyniku zaangażowania szefowej dziecięcego referatu „Żegoty” Ireny Sendlerowej i jej współpracy z naczelną matką przełożoną prowincji warszawskiej Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Rodziny Maryi, Matyldą Getter, udało się objąć pomocą niemal 3 tys. żydowskich dzieci umieszczanych w katolickich sierocińcach oraz klasztorach. „Żegota” dostarczała również konspiracyjnej prasie informacji dotyczących zagłady Żydów, wypuszczała własne ulotki oraz kolportowała plakaty. Warto też podkreślić, że wyda-

W LATACH NIEMIECKIEJ OKUPACJI ZIEM II RZECZYPOSPOLITEJ I TOWARZYSZĄCYCH JEJ PRZEŚLADOWAŃ, A PÓŹNIEJ EKSTERMINACJI ŻYDÓW, WSZYSTKIE CYWILNE I WOJSKOWE INSTYTUCJE ORAZ STRUKTURY POLSKIEGO PAŃSTWA PODZIEMNEGO, DZIAŁAJĄCE W KONSPIRACJI POLSKIE PARTIE I ORGANIZACJE, WRESZCIE ELITY POLITYCZNE I SPOŁECZNE POTĘPIAŁY ZBRODNICZĄ IDEOLOGię, PRAKTYKĘ NIEMIECKIEGO ANTYSEMITYZMU, SOLIDARYZOWAŁY SIĘ Z PRZEŚLADOWANYMI ŻYDAMI, A TAKŻE STARAŁY SIĘ NIEŚĆ IM POMOC

wanie władzom niemieckim ukrywających się Żydów lub szantażowanie ujawnieniem ich narodowości i kryjówki dla korzyści materialnych, czyli tzw. szmalcownictwo, władze Państwa Podziemnego oraz dowództwo Armii Krajowej uznawały za akt kolaboracji z okupantem i karały śmiercią.

Niezależnie od podejmowania prób ochrony ukrywających się Żydów i udzielania im pomocy humanitarnej przez instytucje oraz agendy polskiego Podziemia beneficjentem pomocy militarnej, organizowanej przez Armię Krajową, umożliwiającej podjęcie czynnego, zbrojnego oporu przeciwko Niemcom i ich polityce eksterminacji „narodu wybranego”, były żydowskie organizacje bojowe. Pomoc ta obejmowała zaopatrywanie w broń, prowadzenie instruktażu oraz udzielanie bezpośredniego zbrojnego wsparcia. Na przykład podczas powstania w getcie warszawskim żołnierze AK atakowali niemieckie patrole i warty strzegące granic getta oraz próbowali wysadzać fragmenty muru, chcąc umożliwić walczącym wycofanie się i ukrycie w Warszawie.

Niezwykła odwaga zwykłych ludzi

Oprócz pomocy zorganizowanej – świadczonej przez polskie instytucje oraz organizacje Państwa Podziemnego – Żydom z własnej inicjatywy, spontanicznie pomagała również ludność cywilna. Pomoc ta polegała głównie na udzielaniu ludności żydowskiej schronienia (okazjonalnie, incydentalnie, ale także długoterminowo – przez całe tygodnie, miesiące, a nawet lata), dostarczaniu ukrywającym się Żydom pożywienia i leków oraz umożliwianiu im ucieczek – z gett lub transportów do obozów zagłady. Należy brać pod uwagę to, że decyzje o ewentualnym udzieleniu pomocy podejmowano w sytuacji, gdy znaczne odłamy narodu polskiego poddawane były eksterminacji, a okupacyjnym terrorem pozostawała zagrożona w zasadzie cała ludność etnicznie polska. Pomoc, jaką świadczyli Żydom Polacy, należy oceniać w kategoriach prawdziwego heroizmu, niezwykłej odwagi i pogardy śmierci. Według obowiązującego nazistowskiego prawa, wprowadzonego na

terenie okupowanych ziem polskich, śmierć groziła bowiem nie tylko przedstawicielom ludności żydowskiej przebywającej nielegalnie poza gettami, nie tylko tym Polakom, którzy udzielali im pomocy w jakimkolwiek zakresie, lecz także – zgodnie z barbarzyńską zasadą odpowiedzialności zbiorowej – rodzinie „winowajcy” czy jego sąsiadom. Na litość okupantów nie mogli liczyć zwłaszcza osoby, które udzielały Żydom schronienia. W takim wypadku wykrycie uciekiniera kończyło się zazwyczaj egzekucją całej polskiej rodziny, która przyjęła go pod swój dach, oraz rabunkiem i spaleniem jej dobytku. Zdarzały się wypadki pacyfikacji całych wsi za pomoc udzielaną Żydom. Niemcy dbali przy tym o nadanie represjom odpowiedniego rozgłosu, aby zastraszyć miejscową ludność i zniechęcić ją do takich działań. Warto podkreślić, że w żadnym z okupowanych krajów Europy Zachodniej hitlerowcy nie stosowali tak daleko idących represji i tak okrutnego terroru za pomoc okazywaną ludności żydowskiej. Tam wiązało się to ze znacznie mniejszym ryzykiem. Zazwyczaj karane było konfiskatą majątku, uwięzieniem lub deportacją do obozu koncentracyjnego.

Buchalteria życia

Po wojnie w Polsce i w Izraelu podejmowano próby oszacowania liczby Polaków, którzy pomagali Żydom, a ponieśli śmierć z rąk Niemców. Podobne obliczenia starali się również przeprowadzić historycy w Europie Zachodniej i w Stanach Zjednoczonych. Sporządzano też listy Polaków represjonowanych za pomoc udzielaną Żydom. Niekiedy wskazywano na prawie tysiąc zamordowanych, znanych z nazwiska, oraz ponad 1,5 tys. poświadczonych przez świadków, lecz anonimowych, ofiar. Inne szacunki wskazywały na ok. 5 tys. zamordowanych – zidentyfikowanych lub o niezachowanych personaliach: mężczyzn, kobiet i dzieci. Ginęli rozstrzeliwani, na szubienicy albo paleni żywcem. Wiele trudności budzi też ustalenie liczby Żydów, którzy przeżyli niemiecką okupację, ukrywając się wśród Polaków. Żydowski historyk Israel Gutman, działacz ruchu oporu w latach II wojny światowej i uczestnik powstania w getcie warszawskim, więzień niemieckich obozów koncentracyjnych, szacował, że na okupowanym terytorium Polski przeżyło ok. 50 tys. Żydów, z czego do



Zofia
Kossak-Szczucka

FOT. NAC

35 tys. ocalało dzięki pomocy Polaków. Z kolei Gunnar Svante Paulsson, kanadyjski dziejopis szwedzkiego pochodzenia, pracownik uniwersytecki (wykładał m.in. w Wielkiej Brytanii, Kanadzie, Niemczech i we Włoszech), specjalizujący się w problematyce Holokaustu, oceniał, że w okupowanej Polsce ukrywało się ok. 100 tys. Żydów, z czego niemal 50 tys. zdołało przeżyć wojnę. Jego zdaniem tylko w Warszawie ukrywało się prawie 30 tys. Żydów, z czego dzięki pomocy Polaków ocalało ok. 12 tys. Podobne są ustalenia polskich historyków. Według szacunków Teresy Prekerowej, autorki monografii o Radzie Pomocy Żydom, do 60 tys. Żydów ocalało, ukrywając się wśród ludności polskiej. Za tę działalność – ratowanie życia prześladowanym Żydom – tytuł i medal Sprawiedliwy wśród

Narodów Świata, przyznawany przez Instytut Pamięci Męczenników i Bohaterów Holokaustu Yad Vashem, trafił do niemal 7 tys. Polaków. Uhonorowane zostały przy tym w większości wypadków osoby niezwiązane z szeroko rozumianym ruchem oporu, na własną rękę, spontanicznie udzielające pomocy Żydom.

Wysiłki i determinacja przedstawicieli Polskiego Państwa Podziemnego, heroizm osób bezpośrednio zaangażowanych w zbieranie informacji o Holokauście i ratowanie Żydów z narażeniem życia własnego oraz rodziny, stanowią niezwykle świadectwo polskiego zaangażowania w dzieło ocalenia synów i córek „narodu wybranego”, który stał się celem bezprzykładnej w dziejach, barbarzyńskiej akcji eksterminacyjnej, podjętej przez nazistowskie Niemcy.

„Zaprowadzenie chrześcijaństwa”,
obraz Jana Matejki z 1889 r.



PIERWSZE 100 LAT OCHRZCZONEJ POLSKI

**MIESZKO I ROZPOCZĄŁ SWOJE PANOWANIE OK. 960 r. PO PRZODKACH
ODZIEDZICZYŁ SILNE PAŃSTWO, JEDNAK NIE BYŁO ONO NAWET
PERYFERIAMI ÓWCZESNEJ EUROPY – BYŁO POZA NIĄ**



**MAREK
BARAŃSKI**

W latach 60. X w. granice państwa Polan zetknęły się z ziemią od dawna już chrześcijańskich Niemiec, a także niedawno schrystianizowanych Czech. Mieszko mógł pozostać przy dawnej pogańskiej

wierze. Dostrzegł jednak niebezpieczeństwa takiej decyzji. Niewątpliwie też widział potęgę Niemiec, imponowały mu panujące tam zwyczaje, intrygowała wiara chrześcijańska. Widział też, że pozostając poganinem, nie jest uznawany za równego chrześcijańskim książętom. Zaprzagnął im dorównać.



Mieszko I

Bolesław
ChrobryKazimierz
Odnowiciel

Ok. 963 r. Mieszko zawarł układ z cesarzem rzymskim Ottonem I. W 965 r. sprzymierzył się z władcą Czech Bolesławem I. Sojusz ten był wymierzony w prowadzących z Mieszkim wojnę Wieleatów. Dla wzmocnienia sojuszu ożenił się z Dobrawą, córką Bolesława.

Sojusz z Czechami już w 967 r. przyniósł efekty, dowodzone przez saskiego awanturnika Wichmana wojska wieleciek zostały pokonane. Ważniejsze były efekty porozumienia z Niemcami. Był to sojusz między nierównymi stronami, więc Mieszko uznał w cesarzu swego zwierzchnika. Zobowiązał się też do przyjęcia chrztu. Zobowiązał się dobrowolnie, Otton miał mu pomóc w realizacji tego przedsięwzięcia.

Chrzest, wielka decyzja

W 966 r. polański książę przyjął chrzest, rozpoczęły się też masowe chrzty jego poddanych. Chrześcijaństwo przyszło do Polski z zachodu, poprzez Czechy i południowe Niemcy – z Rzymu. Przyjmując chrzest w wersji zachodniej, Polska wchodziła w krąg kultury łacińskiej, zaczęła przyswajać sobie jej wzory i tradycje. Państwo Polan dostrzegli nie tylko kronikarze, lecz również chrześcijańscy politycy. Mieszko wszedł do ówczesnego cywilizowanego świata.

Dzięki swej polityce książę Mieszko wzmocnił rządzony przez siebie kraj, zdołał też podnieść swą rangę w hierarchii ówczesnego świata. Już dwa lata po przyjęciu chrztu w jego państwie rozpoczęła działalność podporządkowany tylko papieżowi biskup Jordan. Wykorzystując

dobrą koniunkturę polityczną, przyłączył Mieszko do swego państwa ziemie krakowską i Śląsk. Po śmierci Dobrawy ożenił się z Odą, córką jednego z pierwszych dostojników cesarstwa.

Do jeszcze większego wzmocnienia państwa, nazywanego już Polską, doprowadził syn Mieszka, Bolesław. Dzięki zbrojnej pomocy, jakiej udzielał Niemcom, a także patronowaniu misji św. Wojciecha w Prusach, zaczął być przez cesarza Ottona III traktowany jako jeden z pierwszych książąt zachodniego świata. Po męczeńskiej śmierci Wojciecha Chrobry urządził mu uroczysty pogrzeb, a następnie, w tysięcznym roku, przyjął w Gnieźnie cesarza Ottona III. Na zjeździe gnieźnieńskim zostało ustanowione polskie arcybiskupstwo, a Chrobry uzyskał prawo inwestytury biskupów. Było to prawo przysługujące tylko królom. Cesarz Otton, nakładając Bolesławowi własną koronę na głowę, pokazał, że widzi w nim przyszłego króla, równorzędnego władcę innych królów chrześcijańskich podporządkowanych cesarzowi. Tak sobie Otton III wyobrażał odbudowę Cesarstwa Rzymskiego.

Za następcy Ottona III zmieniły się cele polityczne władcy Niemiec. Henryk II odrzucił koncepcję równych sobie królestw z cesarzem rzymskim na czele. Uważał, że państwa, takie jak Polska, powinny być podporządkowane królestwu niemieckiemu. Na to oczywiście nie mógł się zgodzić Bolesław. Władca Polski mógł podlegać cesarzowi rzymskiemu, ale nie niemieckiemu królowi. Różnica zdań wywołała trwające kilkanaście lat wojny polsko-niemieckie zakończone w 1018 r. pokojem w Budziszynie. Bolesław Chro-

bry obronił swą niezależność od niemieckiego królestwa, choć uznawał autorytet cesarza rzymskiego. Znaczenie polskiego władcy w ówczesnym świecie było tak duże, że ożenił swego syna Mieszka z Rychezą, siostrzenicą cesarza Ottona III. Dzięki temu Mieszko wszedł do rodziny cesarskiej, pierwszej rodziny w świecie zachodniego chrześcijaństwa.

Chrobry rozszerzył granice swego państwa, zajmując Miłsko i Łużyce, a także Morawy. Opanował też Pragę, jednak nie utrzymał się na tronie czeskim, gdyż cesarz Henryk II wsparł wygnanego z Czech księcia Jaromira. Po wojnie z Rusią w 1018 r. nie tylko zajął Kijów i osadził na jego tronie swojego zięcia Świętopętkę, ale też przyłączył do Polski Grody Czerwieńskie. Ostatnim sukcesem Bolesława Chrobrego była jego koronacja. W 1025 r. koronował go w Gnieźnie polski arcybiskup. Zaraz potem Bolesław zmarł.

Głęboki kryzys

Następcą Bolesława został jego syn Mieszko II. Mogło się wydawać, że i to panowanie będzie wspaniałe. W 1025 r. Mieszko koronował się na króla Polski. Jednak stanęły przed nim problemy, z którymi trudno było mu się zmierzyć. Władca Rusi Jarosław czekał tylko na okazję do odebrania Polsce Grodów Czerwieńskich, król Niemiec, cesarz Konrad pamiętał, że Miłsko i Łużyce przed pokojem budzi- >>

>> cami skorzystali Rusini oraz Czesi i w 1031 r. Polska straciła Morawy i Grody Czerwieńskie. W tym samym roku w wyniku ataku władcy Rusi Jarosława został usunięty z Polski Mieszko i na krótko rządy w kraju objął jego brat Bezprym. Po śmierci Bezpryma cesarz Konrad podzielił Polskę pomiędzy trzech książąt, jednym z nich był Mieszko. Choć udało mu się ponownie zjednoczyć kraj, już w 1034 r. zmarł. Jego syn Kazimierz, po bardzo krótkim panowaniu, został wypędzony z Polski, a kraj ogarnęła anarchia. Mazowsze, pod panowaniem samozwańczego księcia Miecława, stało się niezależnym państwem, w centralnej ziemi gnieźnieńskiej wybuchł bunt pogański, niszczone były kościoły, zabijano księży. W 1038 r. na ziemię polskie najechał książę czeski Brzetysław. Zniszczył Gniezno i Poznań, przyłączył do Czech Śląsk. W wyniku tych wydarzeń centralne prowincje Polski zostały zniszczone, poza diecezją krakowską upadły polskie biskupstwa. Gdyby zabrakło księcia z rodu Piastów, Polska przestałaby istnieć, jej ziemie stałyby się częściami Niemiec, Rusi i Czech.

Ręka odnowiciela

Jednak żył syn Mieszka, Kazimierz. Wypędzony z kraju pojechał do Niemiec, gdzie jego matka, Rycheza, była panią rozległych dóbr, pozwolono też jej zachować tytuł królowej. Ogromne znaczenie mieli wujowie Kazimierza, jeden z nich, Herman, był arcybiskupem kolońskim i włoskim kanclerzem cesarza, drugi, Otto, pełnił funkcję palatyna reńskiego, a w 1045 r. uzyskał księstwo Szwabii.

Wujowie niewątpliwie wspierali siostrzeńca, gdy przed Kazimierzem otworzyły się szanse na powrót do Polski. Cesarz Henryk III zaniepokoił znaczny wzrost potęgi Czech, nie chciał, aby za jego wschodnią granicą powstało jedno silne państwo słowiańskie i udzielił pomocy Kazimierzowi. Książę Kazimierz na czele 500 rycerzy oddanych pod jego rozkazy wrócił do kraju. Zatrzymał się w niezniszczonej ziemi krakowskiej, gdzie zachowały się dawne porządki i gdzie nieprzerwanie funkcjonowało krakowskie biskupstwo. Kazimierza poparli możni tej dzielnicy i na ich czele rozpoczął odbudowę kraju.

Wracającemu do kraju księciu podporządkowały się ziemie, zwane później Małopolską i Wielkopolską, ziemia sieradzka i łęczycka, a także Kujawy. Poza jego władzą

pozostawały rządzone przez Miecława Mazowsze, opanowany przez Czechów Śląsk, a także Pomorze, które się uniezależniło i powróciło do pogaństwa. Kazimierz za cel postawił sobie przywrócić dawny kształt

WŁADCA POLSKI MÓGŁ PODLEGAĆ CESARZOWI RZYMSKIEMU, ALE NIE NIEMIECKIEMU KRÓLOWI

granic państwa, a także odbudować je gospodarczo, militarnie i politycznie. Przez całe swoje panowanie pozostawał w dobrych stosunkach z Niemcami, choć oczywiście nie odmawiał uznawania zwierzchnictwa cesarskiego. Jego pozycję wzmocnił sojusz z rządzoną przez Jarosława Rusią. Ożenił się z córką Jarosława Dobroniegą, swą siostrę Gertrudę wydał za syna Jarosława Izjasława. Przy ruskiej pomocy odzyskał Mazowsze, samodzielnie podporządkował sobie Pomorze Wschodnie, ale już wbrew cesarzowi odebrał Czechom Śląsk. Co prawda musiał się zgodzić na płacenie Czechom trybutu z tej dzielnicy, ale włączył ją na kilka wieków do Polski. Kazimierzowi udało się też odbudować i zreformować organizację grodową, pod jego rządami zaczęły się rozwijać targi, ożywiła się gospodarka. Rozpoczął też odbudowę zniszczonej w czasach kryzysu organizacji kościelnej.

Król a biskup

Następcą Kazimierza został w 1058 r. jego starszy syn Bolesław. Władca ten odziedziczył państwo na tyle silne, że mógł podjąć bardzo aktywną politykę. Interweniował w konflikty, jakie wybuchały u sąsiadów i udało mu się osadzać na tronach Rusi i Węgier przyjaznych sobie władców. Przestał płacić czynsz Czechom. W sporze między cesarzem Henrykiem IV a papieżem Grzegorzem VII stanął po stronie Ojca Świętego i nie tylko przestał uznawać cesarskie zwierzchnictwo nad Polską, ale też w 1076 r. koronował się na króla. Zakończył też odbudowę polskiej organi-

zacji kościelnej, doprowadzając nie tylko do rozpoczęcia odbudowy katedry gnieźnieńskiej, lecz również, w porozumieniu z papieżem, osadzając na gnieźnieńskiej katedrze arcybiskupa. Za jego panowania zostało erygowane biskupstwo płockie, powstało też kilka klasztorów. Mimo to panowanie Bolesława zakończyło się klęską. Nadzwyczaj aktywna polityka króla była bardzo wyczerpująca dla kraju. Zaczęło to niepokoić możnych, zwłaszcza panów z ziemi krakowskiej. Obawiali się, że lud może nie wytrzymać ogromnych obciążeń, jakie wiązały się z prowadzonymi wojnami. Bali się powtórzenia kryzysu państwa takiego jak ten, który Polska przeżyła w latach 30. XI w. Na czele zaniepokojonych stanął biskup krakowski Stanisław. Próba korekty polityki królewskiej się nie powiodła, Bolesław uznał, że szykuje się bunt. Zareagował, represjonując przywódcę niezadowolonych, biskup Stanisław został zabity. To z kolei wywołało bunt przeciw królowi, Bolesław został zmuszony do ucieczki z kraju. Zwycięzcy możni z wojewodą Sieciechem na czele osadzili na tronie Władysława Hermana, młodszego brata wygnanego monarchy.

Osadzony przez możnych na tronie książę Władysław, choć mógł stać się marionetką w ich rękach, w pierwszych latach panowania potrafił wzmocnić swoją władzę. Zmienił orientację polityczną, przechodząc z obozu papieskiego do cesarskiego, i nawiązał dobre stosunki z Czechami, którym znowu zaczął płacić czynsz ze Śląska. W nowym politycznym układzie został znaczącą postacią. Świadczą o tym kolejne małżeństwa Władysława. Najpierw ożenił się z Judytą, córką króla Czech Wratysława, a po jej śmierci z Judytą, siostrą cesarza Henryka IV. Władysław Herman wznowił próby podporządkowania sobie Pomorza utraconego za czasów Bolesława Śmiałego, za jego czasów zakończono odbudowę katedry gnieźnieńskiej, rozpoczęto budowę nowej katedry krakowskiej, jemu Płock zawdzięczał kilka murowanych budowli. Niestety w ostatnich swoich latach Władysław Herman stracił energię życiową i pozwolił, aby krajem rządził wojewoda Sieciech, aby coraz więcej decyzji podejmowała jego żona, a synowie się buntowali.

* * *

Na szczęście jednak jego następca Bolesław Krzywousty, po kilku latach wojen z bratem Zbigniewem, przywrócił Polsce znaczenie.

100 LAT PO UNII LUBELSKIEJ



„Unia lubelska”,
obraz Jana Matejki z 1869 r.

Z POCZĄTKIEM LATA 1659 r. RZECZPOSPOLITA WYDOBYWAŁA SIĘ POWOLI Z GŁĘBOKIEGO KRYZYSU, ALE DOTKLIWIE ODCZUWAŁA JEGO SKUTKI



**HENRYK
LITWIN**

Okupacja niemal całego terytorium państwa (od 1655) przez działające niezależnie od siebie wojska szwedzkie i moskiewskie była w tym czasie przezwycięzana, ale trwała wojna na dwa fronty. Oddziały Karola X Gustawa wciąż jeszcze zajmowały część Prus Królew-

skich, armie cara Aleksego kontrolowały zaś wschodnią część Wielkiego Księstwa Litewskiego i prowadziły ofensywę na Zdobnieprze. W ciągu poprzednich kilku lat kraj został zniszczony i rozgrabiony. Poniósł także wielkie straty ludnościowe. Rzeczpospolitą czekało jeszcze wiele wyzwań, ale podnosiła się z upadku czasu potopu, kiedy zagrożony wydawał się jej dalszy byt.

Stulecie unii lubelskiej przeszło w Koronie i Litwie niezauważone. W czasie wiosennego sejmiku walnego nikt nie wspominał o unii. Omawiano m.in. kwestię paktów habsburskich z wojskiem zaporoskim, ale oczy-

wisty dla dzisiejszego obserwatora kontekst historyczny w ogóle nie pojawił się w sejmowych dysputach. Wdając się w bilans pounijnej stulecia, nie możemy się zatem odwołać do opinii obywateli Rzeczypospolitej z połowy XVII w. Jak więc można spojrzeć na tę kwestię ze znacznie bardziej odległej perspektywy?

Konstrukcja systemu

Sejm lubelski z 1569 r., który przyniósł zawarcie unii i utworzenie Rzeczypospolitej Obojga Narodów, był wydarzeniem >>

>> o wielkim znaczeniu, ale w tym czasie w Lublinie rozstrzygano nie tylko sprawy wewnętrzne polsko-litewskiego związku państwowego, lecz także pod kierunkiem króla Zygmunta Augusta tworzonego regionalny system bezpieczeństwa, którego fundamentem miała być właśnie Rzeczpospolita. W Lublinie odbywał się nie tylko sejm, lecz jednocześnie swasty śródkowo-wschodnio-europejski kongres, którego efektem działań było geopolityczne uporządkowanie regionu na wiele dziesięcioleci. W trakcie sejmów i „kongresów” przyjęto wiele brzemiennych w skutki decyzji. Unia lubelska z 1 lipca 1569 r. zbudowała trwały związek państwowy Polski i Litwy. Wcześniejsze „przywileje lubelskie” z maja i czerwca doprowadziły do tzw. inkorporacji Wołynia i Kijowszczyzny do Korony i stworzenia swego rodzaju ruskiej autonomii. Marcowy dekret Zygmunta Augusta objaśnił na nowo zasady funkcjonowania Prus Królewskich w ramach Korony Królestwa Polskiego. Konstytucje sejmów lubelskiego włączyły do państwa Inflanty jako jego wyodrębnioną część, związaną zarówno z Litwą, jak i z Koroną. Osobny przywilej królewski ustanawiał Kurlandię księstwem lennym Rzeczypospolitej. Zygmunt August przyjął w czasie sejmów, ale już po unii, hołd lenny od księcia pruskiego Albrechta Hohenzollerna, a nieco wcześniej od hospodara mołdawskiego Bogdana Łăpușneanu. Utworzono sieć powiązań, która miała umożliwić Rzeczypospolitej zajęcie silnej pozycji na Bałtyku, powstrzymanie moskiewskiej ekspansji oraz równowagę i stabilność w trójkącie tworzonej z dwoma imperiami – osmańskim i habsburskim.

Lenna – niekorzystny bilans

Jak ów system wyglądał po 100 latach? Spójrzmy najpierw na państwa lenne. Spektakularnie negatywne są konkluzje dotyczące kwestii Prus Książęcych. Przeszły one daleką drogę od czasów zygmunto-wskich, kiedy książę Albrecht poczuwał się do odgrywania roli pierwszego senatora Korony Królestwa Polskiego i sponsorował najwcześniejszy przekład Nowego Testamentu na język polski (Stanisław Murzynowski, 1553). W czasie potopu Fryderyk Wilhelm Hohenzollern, pozostając lennikiem Jana Kazimierza, wszedł w sojusz ze szwedzkimi najeźdźcami, a następnie skorzystał z osłabienia Rzeczypospolitej i doprowa-



„Obrona Jasnej Góry”,
obraz Franciszka
Kondratowicza, ok. 1880 r.

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

dził w 1657 r. do traktatu likwidującego zależność lenną Prus Książęcych od Rzeczypospolitej. Uprzedzając inne oceny, stwierdzić można, że okazał się to cios śmiertelny dla Zygmunto-wego systemu bezpieczeństwa w Europie Środkowo-Wschodniej. Zasadę równowagi miało odtąd zastąpić już definitywnie pryncypium ekspansji.

Sto lat po unii w zapomnienie poszły konsekwentne za Zygmunta Augusta dążenia do utrzymania Mołdawii w zależności lennej, a całego regionu naddunajskiego w układzie równowagi wpływów imperium osmańskiego, austriackich Habsburgów i Rzeczypospolitej. Kres temu systemowi przyniosła katastrofalna wyprawa cecorska Stanisława Żółkiewskiego (1620), po której państwo polsko-litewskie już nigdy nie odbudowało swych wpływów w regionie naddunajskim. Równowaga i tu została pogrzebana. W latach 50. XVII w. Rzeczpospolita broniła swego bytu i nie była już w stanie utrzymać pozycji geopolitycznego regionalnego regulatora ani pielęgnowanego długo przez Jagiellonów i pierwszych królów elekcyjnych pokoju z Turcją. Decydujący cios tej polityce zadali Kozacy zaporoscy, którzy poprosili o protektorat sułtana tureckiego, co rozpoczęło pierwszy i zarazem ostatni okres wojen turecko-polskich w latach 1672–1699. Zakończył się on w stosunkach tych dwóch państw powrotem do status quo ante, lecz jednocześnie przyniósł radykalne osłabienie pozycji zarówno Rzeczypospolitej, jak i „porty osmańskiej”.

Za niekorzystny uznać trzeba też bilans w kwestii inflanckiej. Wobec skutecznej

ekspansji szwedzkiej Rzeczpospolita już w latach 20. XVII w. utraciła kontrolę nad większością tego terytorium, a spór o status owych ziem był dla Sztokholmu pretekstem do ofensywnych działań, których pierwszym apogeum był potop, a drugim wojna północna na początku XVIII w. W efekcie Szwecja dramatycznie osłabiła Rzeczpospolitą, otwierając drogę do wzrostu potęgi nie sobie, lecz Rosji.

Znacznie lepiej wyglądał po stu latach bilans związków Rzeczypospolitej z Kurlandią. Choć była to historia burzliwa i zmienna, to jednak powiązania Mitawy z Warszawą nawet z najcięższych prób wyszły obronną ręką. Protektorat Rzeczypospolitej okazał się i dla książąt, i dla stanów kurlandzkich bezpieczniejszym rozwiązaniem od podporządkowania się agresywnym i dążącym do pełnej dominacji władcom Szwecji czy Moskwy.

A jednak razem

Próby historii pozytywnie przeszedł też związek Polski z Litwą. W ciągu stu lat po unii lubelskiej więź ta zmierzyła się wielokrotnie ze śmiertelnymi zagrożeniami. Po raz pierwszy już w czasie wielkiego bezkrólewia 1572–1576, a w XVII w. w okresie potopu i jednoczesnej moskiewskiej okupacji Wielkiego Księstwa Litewskiego. Ugoda kiejdańska ze Szwedami (październik 1655) i jednocześnie liczne przysięgi na wierność carowi Aleksemu szlachty litewskiej poszczegól-nym zajętych przez Moskwę ziem wydawały się zwiastować ostateczny kres unii. Jednak koniec nie nastąpił. Szlachta litewska nie przyjęła ostatecznej ani szwedzkiego protektoratu, ani

moskiewskiego poddaństwa. Właśnie w 1659 r. stare porządki wyraźnie wracały już na prawie całą Litwę, a więc z Koroną umocniła się po okresie zamętu, ale też długotrwałego bliskiego współdziałania wojsk litewskich i polskich na całym terytorium Rzeczypospolitej, co do końca pierwszej połowy XVII w. było zjawiskiem rzadkim i pojawiającym się na niewielką skalę. Czynnikiem spajającym więzi Litwy i Korony było też rozpowszechnienie się wśród szlachty Wielkiego Księstwa języka polskiego, który już pod koniec pierwszej połowy XVII w. dominował w aktach sejmikowych, sądowych i korespondencji prywatnej, choć formalnie językiem urzędowym stał się dopiero w 1696 r.

Rzeczpospolita trojga

Bardziej skomplikowaną kwestią jest dokonanie bilansu skutków utworzenia na sejmie lubelskim swoistej autonomii Wołynia i Kijowszczyzny. 100 lat po przywilejach lubelskich można się doszukiwać ich kontynuacji w postaci ratyfikacji przez sejm w maju 1659 r. paktów hadziackich. Historycy polscy skłonni są często nazywać ten akt unią hadziacką, ale to nazbyt optymistyczna ocena przede wszystkim dlatego, że umowa zawarta we wrześniu 1658 r. została zatwierdzona przez sejm w okrojonej wersji, eliminującej z aktu uzgodnienia konstytuujące powołanie do życia Księstwa Ruskiego jako jednego z „członków ciała Rzeczypospolitej”. Zresztą hadziacka umowa wykazywała jedynie powierzchowne podobieństwa do wcześniejszych aktów prawnych strukturyzujących Rzeczpospolitą od strony prawnoustrojowej. W istocie była kolejną – po zborowskiej, białocerkiewskiej i żwanieckiej – ugodą zawartą między stanami Rzeczypospolitej a wojskiem zaporoskim i podobnie jak one – krótkoterminową. Stanowiła ambitną, ale chyba skazaną na porażkę próbę stworzenia państwa hybrydowego, w którym demokracja szlachecka Korony i Wielkiego Księstwa Litewskiego miałyby współistnieć z Księstwem Ruskim zachowującym nieco tylko przypudrowaną nazewnicą instytucji państwowych strukturę państwa kozackiego.

Aby zaistnieć, Rzeczpospolita Trojga Narodów musiałaby być stworzona przez szlacheckie instytucje ustrojowe z części przystających do siebie strukturalnie. Przywileje lubelskie wytyczyły

taką właśnie drogę, którą potem podążała szlachta ruska Wołynia i Ukrainy (czyli zgodnie z ówczesnym rozumieniem tego określenia – Kijowszczyzny i Bractwoszczyzny). W latach 30. i 40. XVII w., kiedy kluczowymi wyrazicielami idei równoprawnego udziału Rusinów w tworzeniu Rzeczypospolitej byli dwaj prawosławni liderzy: metropolita Piotr Mohiła oraz wybitny senator Adam Kisiel, zrealizowanie owego wielkiego planu wydawało się bliskie. Nieprzypadkowo w dyplomie Jana Kazimierza z 12 stycznia 1650 r. zawierającego przywileje dla Cerkwi prawosławnej znalazły się słowa: „Zjednoczenie narodów cnych: polskiego, litewskiego, ruskiego w tej Rzeczypospolitej jest największe

W LATACH 50. XVII w. RZECZPOSPOLITA BRONIŁA SWEGO BYTU I NIE BYŁA JUŻ W STANIE UTRZYMAĆ POZYCJI GEOPOLITYCZNEGO REGULATORA

firmamentum”. Jednak alternatywą dla idei trojga narodów okazało się państwo kozackie i jego dewiza „wolimy cara prawosławnego”, która dała o sobie znać już w pierwszych tygodniach kozackiej rewolucji, kiedy 8 czerwca 1648 r. Bohdan Chmielnicki zwrócił się do cara Aleksego z prośbą o przyjęcie kozaków zaporoskich pod swój protektorat, a potem została potwierdzona przez pierwszą (1654) i drugą radę perejśławską. To ostatnie wydarzenie odbyło się 27 października 1659 r. i stanowiło pogrzebanie dorobku sejmiku unijnego 1569 r. oraz przywilejów lubelskich, które wszak ustanawiały m.in. terytorialną integralność księstw ruskich, która po drugim Perejśławiu i podziale Ukrainy nadnieprzańską poszła w zapomnienie.

Dekonstrukcja systemu

Regionalny system bezpieczeństwa utworzony w czasie sejmiku unijnego w Lublinie nie przetrwał całego stulecia. Jednak jego podstawowy element – unia polsko-litewska – nadal funkcjonował i jeszcze przez blisko półwiecze stanowił – zgodnie z założeniami jego twórcy Zygmunta Augusta – nie całkiem szczelną, ale zachowującą pewną odporność, barierę dla moskiewskiej ekspansji. Degradacji uległa jednak pozycja Rzeczypospolitej nad Bałtykiem, podważona przez szwedzki ekspansjonizm, którego owoce zebrała nie monarchia Trzech Koron, ale Prusy i Rosja. Powstanie sui generis państwa kozackiego po rewolucji Chmielnickiego podkopało podstawy więzi polsko-ruskich i otworzyło drogę do powstania imperium rosyjskiego ukierunkowanego na ekspansję w stronę Morza Czarnego, co pół wieku później przyniosło wejście Moskwy w rolę uczestnika „koncertu mocarstw” europejskich i zepchnięcie Rzeczypospolitej do roli przedmiotu rozgrywek między agresywnymi sąsiadami. Wreszcie niezdolność państwa polsko-litewskiego do zachowania pozycji aktywnego gracza w rejonie naddunajskim spowodowała zaburzenie równowagi wpływów, którego skutkiem było zdobycie na tym terenie dominującej pozycji przez monarchię Habsburgów austriackich i upadek znaczenia Turcji jako potęgi europejskiej. To spowodowało, że Rzeczpospolita utraciła status pożądanego sojusznika w rywalizacji z Portą Otomańską i stała się także dla Wiednia przedmiotem ekspansji. Nieskuteczność polityki Rzeczypospolitej wobec wyzwań bałtyckich i naddunajskich, a nade wszystko niezdolność do rozwiązania kwestii kozackiej w połączeniu z nierozważną i opartą na błędnych założeniach polityką Szwecji i Turcji, a od połowy XVII w. także efemerycznego, ale przejściowo dysponującego znaczną potęgą militarną, państwa kozackiego, doprowadziły do zdekonstruowania systemu bezpieczeństwa stworzonego przez Zygmunta Augusta i otworzyły drogę do europejskiej dominacji Prusom, Austrii oraz Rosji. Być może w roku 1659 istniały jeszcze możliwości, by odwrócić bieg wydarzeń, ale ani w Warszawie i Wilnie, ani w Stambule i Sztokholmie, ani wśród kozackiej elity nie pojawił się dostatecznie silny polityczny potencjał zdolny do dalekowzrocznej oceny zagrożeń i podjęcia adekwatnych decyzji. Koncert przegranych ustąpił przyszłemu koncertowi mocarstw.



100 LAT PO WIKTORII WIEDEŃSKIEJ

**BITWA POD WIEDNIEM
STOCZONA 12 WRZEŚNIA
1683 r. STANOWI W PAMIĘCI
NARODU ZWYCIĘSTWO
O WIELKIEJ DONIOSŁOŚCI.
RZECZPOSPOLITA A.D. 1783
KOJARZY SIĘ Z OKRESEM
NAJWIĘKSZEGO UPADKU.
CZY SŁUSZNIE?**



**ZOFIA
ZIELIŃSKA**

Uważano, że Jan III uratował Europę przed jarzmem tureckim, wybawił świat chrześcijański od podboju przez mahometanizm. 100 lat później po rozbiorze ambasador rosyjski panoszył się w Warszawie, wojska Katarzyny II rabowały kraj, naród i jego władca byli bezsilni. Ten kontrast sugeruje złośliwy wierszyk, stanowiący odpowiedź opozycji na uroczyste odsłonięcie przez Stanisława Augusta pomnika Jana III w Łazienkach 14 września 1788 r.: „Król wydał sto tysięcy, ja bym trzykroćłożył / By Stanisław skamieniał, a Jan Trzeci ożył”.

Czy rzeczywiście między „złotym wiekiem” Sobieskiego i „żałosnym stanem” Polski za Poniatowskiego była aż taka różnica?

Ciernista droga do wiktorii wiedeńskiej

Państwo Jana III było suwerenne, Polska w 1783 r. głęboko zależna od Rosji. Ale od 1648 r. mamy pasmo nieszczęść: powstanie Chmielnickiego (1648), potop szwedzki (1655–1660), utrata lenna brandenbursko-pruskiego (1657), niepomyślna wojna z Moskwą zaklajstrowana traktatem andruszowskim (1667), klęska prób reformy państwa za Jana Kazimierza (1661, 1665–1666), rokosz Lubomirskiego (1665–1666). Już za Jana III Rzeczpospolita miała zaledwie ok. 16 tys. wojska. Porównywalną liczbę zgromadził w 1783 r. Stanisław August, stanowiło to jednak dla dużego państwa kroplę w morzu potrzeb. Sława wojenna Sobieskiego (od 1668 r. hetmana wielkiego koronnego) poczęła się latami 1667 i 1671, gdy z tak niewielką armią potrafił – dzięki znakomitej strategii – stawić czoła siłom turecko-tatarsko-kozackim (Podhajce, Bracław-Bar-Mohylów). Nie wystarczyło to już jednak na powstrzymanie Porty w 1672 r. i łupem Turcji padły część Ukrainy oraz Podole z Kamieńcem (traktat w Buczaczu). Kolejne zwycięstwo (Chocim 1673) przynio-

sło hetmanowi koronę (1674), dalsze sukcesy (Lwów 1675, Żurawno 1676) z braku silnej armii nie pozwoliły wyprzeć Turków z Kamieńca.

Wielką klęskę poniósł Jan III w polityce – planował w przymierzu z Francją (1675) i Szwecją odebrać Brandenburgii-Prusom Prusy Książęce. Jednak opozycja magnacka, współdziałająca z Berlinem i Wiedniem, unicestwiła ten projekt. Król miał się okazać przekonany, jak łatwo posłowie dawali wiarę alarmom o dążeniach absolutystycznych monarchy i pod tym pozorem odmawiali podatków na wojsko. W takiej atmosferze na reformy zwiększające władzę królewską i sprawność państwa nie było szans. Rozprawa z Turcją jednak była nieuchronna i społeczeństwo to rozumiało. Gdy Porta zagroziła Austrii i ta poprosiła o pomoc, Sobieski zawarł z Wiedniem sojusz (1783), a sejm uchwalił pieniądze na armię. Zaowocowało to wielką wiktoria. Niestety ostatnią.

Polityka w cieniu niesuwerenności

W epoce Stanisława Augusta o ograniczeniach państwa rozstrzygała jego półwieczna już niesuwerenność. W 1764 r. Katarzyna II wysunęła do tronu Stanisława Augusta, licząc, że król pozbawiony związków dyna-



stycznych w Europie, będzie w pełni uległy. Gdy się okazało, że dążył do obalenia weta i osłabienia potęgi magnatów (hetmanów i podskarbich), a odmówił prodyśdenckim żądaniom Rosji, Petersburg ukarał Rzeczpospolitą rozbiorem (1772). Do spółki zaproszono Prusy (od 1701 r. królestwo) i Austrię. W 1783 r. w Warszawie rządził się rosyjski ambasador, publicznie upokarzając króla, w kraju stacjonowały rosyjskie wojska. Po oficjalnym opuszczeniu przez nie Rzeczypospolitej (1780) wciąż na kresach grasował jakiś korpus, żyjący na nasz koszt i porywający chłopów na zasiedlanie ziem zdobytych na Turcji. Z rabowanych w Kijowszczyźnie lasów budowano port w Chersoniu. Prusy, którym rozbiór przyniósł m.in. Pomorze Gdańskie, niszczyły handel wiślany przez drakońskie cła, Rosja odmawiała obniżenia opłat na polski eksport przez Morze Czarne. Austriacki ucisk fiskalny w Galicji dopełniał miary nieszczęść.

Prusy nie ukrywały dążeń do dalszych zaborów, Austria w 1772 r. okazała bezwzględną zachłanność – trwanie Rzeczypospolitej zależało od woli jej hegemonu, Rosji. Katarzyna II opowiadała się za istnieniem odrębnego, choć głęboko od imperium uzależnionego, bezsilnego państwa polskiego. Nie była to w kręgu rosyjskiej elity jedyna opcja; najważniejszy dygnitarz, Grigorij Potiomkin, już w 1776 r. szukał pretekstu do aneksji polskiej Ukrainy, pojawił się bowiem u boku imperatorowej zbyt późno, by obłowić się przy rozbiore.

Z podziałowego dramatu Stanisław August wyniósł naukę, że nie wolno ponownie narazić kraju Rosji. By uchronić byt państwa w razie nowej wojny wschodniej, wypracował plan przymierza z Rosją i wsparcia jej przeciw Turcji. Alianci poręczali sobie wszak integralność terytorialną. Choć Katarzyna II odrzucała oferty sojuszu (nie chciała dopuścić do aktywności Polski na arenie między-

narodowej), król nie rezygnował – czekał na okazję. Wiedział, że Rosja strzegła izolacji Rzeczypospolitej, utracając próby nawiązania stosunków dyplomatycznych z krajami trzecimi. Przejąwszy de facto monarszą prerogatywę nominacyjną, dbała o to, by opozycja magnacka była niemal równie silna jak regaliści. Gwarantowało to unicestwianie reformatorskich poczynań króla. Wszystko

PLANUJĄC WCIĄgniĘCIE RZECZYPOSPOLITEJ DO WALK Z PORTĄ, KRÓL WYSTAWIŁ W ŁAZIENKACH WSPOMNIANY JUŻ POMNIK JANA III, PRZYPOMINAJĄC CHŁUBNE TRADYCJE

to Stanisław August znośił, świadom, że zważywszy stosunek do Rzeczypospolitej pozostałych na sąsiadów, „interesa Rosji najmniej się z naszymi spierają” – Rzeczpospolita pozbawiona była alternatywy.

Możliwości manewru...

...Jana III

Po wiktoryi wiedeńskiej, a potem mocnym akcencie pod Parkanami, sporo jeszcze trzeba było wysiłku koalicjantów Ligi Świę-

tej, by definitywnie złamać siłę Porty. Polska nie odniosła już jednak żadnego znaczącego zwycięstwa, przeciwnie – doznawała sromotnych klęsk (np. na Bukowinie, 1691). Nie odzyskaliśmy Ukrainy i Podola, z Moskwą musieliśmy zawrzeć traktat, przypieczętujący stratę Ukrainy lewobrzeżnej i ziem po Smoleńsk na północy (pokój Grzymułtowskiego, 1686). Na wymarzony alians z Francją Sobieski nie miał szans, cesarz Leopold I tuż po Wiedniu pokazał, że nie życzy Polsce sukcesów politycznych (Węgry, Mołdawię i Wołoszczyznę rezerwował dla siebie), Brandenburgia-Prusy i Moskwa dybały na ziemię Rzeczypospolitej. Państwo polsko-litewskie pozostawało izolowane – zwycięstwo wiedeńskie nie dowodziło potęgi Rzeczypospolitej.

W sprawach wewnętrznych Jan III nie osiągnął żadnego z celów. Nie zdołał wzmocnić władzy królewskiej. Tu, oprócz wrogich mu magnatów, miał przeciw sobie lwia część szlachty niedoceniającej potrzeby sprawnie działającego państwa i zabobonnie obawiającej się absolutum dominium. Nie przyczynił się Jan III do uzdrowienia parlamentu niszczonego przez liberum veto. Z siedmiu zwołań po Wiedniu sejmów uchwaleniem ustaw zakończyły się tylko dwa, a i tak jedynie część ich decyzji podatkowych zdołano wyegzekwować. Nie potrafił wreszcie król zapewnić szans na sukcesy synowi. Oprócz wyniszczenia gospodarczego kraju najgłębszą może przyczyną tych porażek był upadek samodzielności średniej szlachty, która zesłała do roli klienteli magnackiej. Hegemonia magnaterii, niezmiennie przeciwnej silnej władzy monarszej i tworzącej alternatywny wobec dworu ośrodek władzy, anarchizowała państwo, nie dopuszczając do uchwalenia podatków na armię umożliwiającą choćby obronę kraju. Jan III w walce z opozycją magnacką miał kilkakrotnie szanse odwołania się do szlachty >>

>> i uderzenia w magnaterię. Zatrzymywał się w pół kroku, nie zaryzykował wojny domowej. Przeciw szlacheckim fobiom (absolutyzm), kultowi liberum veto i wolnej elekcji kierował ciosy publicystyczne, czasem im schlebiał, długofalowej pracy nad przemianą umysłów nie podjął. Czy ktoś inny na jego miejscu mógłby dać radę tylu przeciwnościom?

...Stanisława Augusta

Stanisław August, władca państwa niesuwerennego i znacznie w porównaniu ze schyłkiem XVII w. okrojonego, miał mimo wszystko lepsze od Sobieskiego widoki na porozumienie ze szlachtą. Rychło po domknięciu procesu uzależniania Rzeczypospolitej od Rosji (trwał od połtawskiego zwycięstwa Piotra I do sejmu niemego, 1709–1717) zarysowały się oznaki „świt”. W 1733 r. Rosja wyrzuciła z Rzeczypospolitej legalnego elekta, Stanisława Leszczyńskiego, i narzuciła Augusta III (1733–1763). Wolna elekcja okazała się fikcją. Społeczeństwo na skutek klęski zrozumiało potrzebę aukcji wojska. Jej pragnienie było za Augusta III tak silne, że niszczyciele sejmów (a zerwano wszystkie, prócz pacyfikacyjnego z 1736 r.) ukrywali swe wrogi reformie cele, drapując się w szaty obrońców wolności. Zahartowało się wówczas powstałe jeszcze za Augusta II stronnictwo reform – Familia Czartoryskich. Niszczyli sejmy ich rywale – stronnictwo Potockich, za pieniądze pruskie lub francuskie, do sejmu pod wężem konfederacji (gdzie nie działało veto) nie dopuszczała zaś Rosja. Groziła uderzeniem całą siłą w tych, którzy powazyliby się naruszyć „wolności”, tj. spełnić veto. Bezbronno kraju Czartoryscy narażać na taki cios nie mogli.

W 1740 r. pijar Stanisław Konarski utworzył nowoczesną szkołę, Collegium Nobilium. Rozciągając nowe metody nauczania na wszystkie szkoły pijarskie, wymusił trwającą do lat 60. XVIII w. reformę rywalizujących z pijarami jezuitów. I to modernizacja kolegów jezuitów, najliczniejszych w kraju, zadecydowała o powodzeniu reform Komisji Edukacji Narodowej, której nauczycielami zostali członkowie rozwiązanej w 1773 r. zakonu św. Ignacego. W latach 1761–1763, po kilkunastu zerwanych sejmach, ukazały się cztery tomy dzieła Konarskiego „O skutecznym rad sposobie”. Dowiódł w nich, że liberum veto nigdy nie ratowało wolności przed absolutyzmem,

a zawsze stanowiło oręż wrogów dążących do utrzymania słabości Polski. Po upadku wiary w wolną elekcję padł mit liberum veto – sarmackie głowy ulegały przemebłowaniu.

Czarny obraz A.D. 1783 nie dotyczył obywateli, którymi Rosja się nie interesowała. A tak było np. z Komisją Edukacji Narodowej, której utworzenie Stanisław August „wytargował” za legalizację przez sejm rozbioru (1773). Z polecenia KEN ks. Hugo Kołłątaj przeprowadził reformę Akademii Krakowskiej, Akademię Wileńską unowocześnił ks. Marcin Poczobut. Obie uczelnie czuwały nad poziomem podległych im szkół średnich. Fachowych oficerów i wykwalifikowanych urzędników kształciła Szkoła Rycerska utworzona przez króla w 1765 r. Modernizację wspomagał Kościół pod kierownictwem królewskiego brata, ks. Michała Poniatowskiego, od 1777 r. prezesa KEN. Poniatowski mocno wprzągnął Kościół w działania administracyjne i oświatowe, dbając równocześnie o pogłębienie formacji religijnej duchownych. Po rozbiórce stał się też czynny w tworzeniu stronnictwa królewskiego. W miastach królewskich działały „komisje dobrego porządku”, próbujące uaktywnić mieszczan, usprawnić gospodarkę, zarządzanie i sądownictwo.

Własne stronnictwo Stanisław August budował ze szlachty średniej. Jej przedstawicielom pomagał w zdobyciu wykształcenia, później obdarzał ich wysokimi urzędami. Nie ufał magnatom i chciał, by rzeczywistym podmiotem demokracji stała się szlachta średnia. Gdy podczas Sejmu Czteroletniego rozważano przywrócenie królowi pełni prerogatywy nominacyjnej, poseł Pius Kiciński (szef Gabinetu) przeko-

nał do tego izbę argumentem, że to monarcha dbał o prawdziwą demokrację wbrew dążącym do hegemonii „panom”. Straszak absolutyzmu przestał działać.

Mimo ciężkich doświadczeń król patrzył w przyszłość z optymizmem.

W jednym z listów pisał o pięknych nowych budowach, cieszył się, że „ulic wiele po całej Warszawie prostują się i brukują, [...] po całym kraju do naprawy dróg, do osadzania ich drzewami gęsto się biorą. Departament policji po małych miasteczkach studnie, bruki, ratusze, cośkolwiek ognio- wych porządków już w wielu miejscach wprowadził. [...] Ale

najbardziej ufam temu żniwu, które choć po mojej śmierci inszy zbierać będzie, z mego jednak zasiewu, gdy przez poprawioną teraz dzieci edukacją znajdzie pod ręką swoją kilkadziesiąt tysięcy obywateli oświeconych, od przesądów oddalonych, wcale inaczej do wszelkiego użycia usposobionych, niżelim ja ich zastał” (1783).

Miał rację – dokonywały się narodziny nowoczesnego narodu, intensywnie przez władzę wspomagane „oświecanie umysłów”.

W perspektywie wojny z Turcją Katarzyna II zgodziła się na negocjacje o sojusz. Chciała „zająć Polaków”, by uniknąć nowego Baru. Planując wciągnięcie Rzeczypospolitej do walk z Portą, król wystawił w Łazienkach wspomniany już pomnik Jana III, przypominając chlubne tradycje. Nastroje społeczne zdecydowanie jednak nie sprzyjały planom władcy. „Oświeceni obywatele” marzyli o zrzuceniu carskiego jarzma i w kłopotach wojennych Katarzyny II upatrywali na to szansy. Rozpoczęty 6 października 1788 r. sejm zdominowały nastroje antyrosyjskie. Broniący orientacji na imperium monarcha stracił ster obrad. A gdy parlament przegłosował w 1790 r. alians z Prusami, król stanął wobec wyboru: z narodem czy przeciw niemu. Pozostanie z narodem, nawet gdy ten błędzi, uznał za swój obowiązek. Odzyskał dzięki temu zaufanie rodaków i mógł im służyć swą wiedzą o potrzebach państwa, tworząc projekt Konstytucji 3 maja.

Czy rzeczywiście byłoby dla nas korzystne, gdyby w 1788 r. „Stanisław skamieniał, a Jan Trzeci żył”?



ROK 1815



POMYSŁ REDAKCJI „wSIECI HISTORII”, ABY PODJĄĆ REFLEKSJĘ NAD WIELKIMI WYDARZENIAMI – Z PERSPEKTYWY STULECIA OD ICH ZAISTNIENIA – UWAŻAM ZA BARDZO INTERESUJĄCĄ SPOSOBNOŚĆ DO ĆWICZEŃ W ZAKRESIE WYOBRAŹNI HISTORYCZNEJ. Z PEWNOŚCIĄ JEST ONO NAM POTRZEBNE – TAKŻE SAMYM HISTORYKOM



**MAREK
KORNAT**

Przypomnijmy, że rok 1815 przyniósł nowy podział ziem polskich. Był nowym ich rozbiorem. Na kongresie wiedeńskim nastąpiło uregulowanie sprawy polskiej właśnie na sto lat. Erygowano państewko polskie związane unią dynastyczną z Rosją. Akt końcowy kongresu głosił oczywiście, że mocarstwa, na których terytoriach żyją Polacy, zobowiązują się uznać narodowość polską, ale sprawa ta sprostawała się do uroczystej deklaracji. Nie może być wątpliwości, że uchwały kongresu nie zadośćuczyniły narodowi polskiemu za tragedię rozbioru. Przyniosły rozstrzygnięcia, które były pozytywną

korekturą totalnego rozbioru z 1795 r., pojmowanego zresztą przez mocarstwa zaborcze jako „całkowity, ostateczny i nieodwołalny”, jak głosiła konwencja petersburska z roku 1797.

Oceny także różne

Wielka musi pozostać ambiwalencja ocen ładu wiedeńskiego między historykami polskimi i cudzoziemskimi, reprezentującymi państwa będące beneficjentami tego porządku. Dla historyka Polaka wiek XIX był przede wszystkim dobą narodowej niewoli, czasem, w którym jego naród kroczył od klęski do klęski. Dla narodów beneficjentów wiedeńskiego ładu był to wiek bezspornie piękny, wiek industrializacji, wiek takich ideałów jak prawa jednostki czy wolność myśli.

Tęskniono później do tej epoki na różne sposoby. Włoski filozof i historyk Guglielmo Ferrero określił wiek XIX, w jego koncepcji rozpoczęty kongresem wiedeń-

skim, jako stulecie „ciągłego rozwoju”. Francuski historyk dyplomacji Pierre Renouvin nazwał wiek XIX „apogeuem Europy”. Henry Kissinger pisał o kongresie wiedeńskim w taki sposób, że w osobie austriackiego kanclerza Klemensa Metternicha upatrywał ponadczasowy wzór polityka i doskonałego dyplomaty. Niemiecki biograf tego męża stanu, Franz Herre, zatytułował książkę o nim bardzo prosto i dobitnie: „Orędownik pokoju”. Podobny był kult Bismarcka jako wyraziciela „ducha” XIX-wiecznej dyplomacji.

Polskie oceny tej fazy dziejów powszechnych nie mogą nie być inne. Czołowy przedstawiciel krakowskiej szkoły historycznej Stanisław Smolka zanotował 24 grudnia 1900 r. jakże gorzką refleksję: „Ponuro kończy się to stulecie, ozłocone w zaraniu nadziejami Legionów, wzruszeniami czasów napoleońskich”. Przyносило Polsce niewolę, której końca widać nie było. Gdyby ktoś na przełomie XIX i XX w. przepowiedział odrodzenie >>

>> wolnej Polski, byłby okrzyknięty pro-rokiem przegranej sprawy. Kiedy Wilhelm Feldman – znany dziennikarz i pisarz polityczny orientacji demokratycznej – rozpisał wśród intelektualistów europejskich ankietę o sprawie polskiej, dostał odpowiedzi wskazujące na konieczność pogodzenia się Polaków z niewolą, za cenę troski o zachowanie własnego języka, kultury i religii katolickiej.

„Zbrodnia, dokonana na Polsce, społa trzy mocarstwa rozbiórów węzłem, który zdawał się nierozzerwalnym” – powiedział Michał Bobrzyński. Wiara Polaków w konieczność odbudowy własnego państwa natrafiała na barierę realiów międzynarodowych, bynajmniej nie tylko dlatego, że XIX-wieczny system sojuszu trzech mocarstw rozbiórów wykluczał wszelkie możliwości przywrócenia jakiegos państewka polskiego.

Europa bez Polski

Europa XIX w. przyzwyczajała się do nieobecności państwa polskiego w społeczności międzynarodowej. Na przestrzeni długiego stulecia po rozbiorach na Zachodzie „po prostu stracono pojęcie o tym, czym dla Europy była i jest Polska” (sformułowanie Szymona Askenazego). Nie powinniśmy się wobec tego dziwić, że wśród cudzoziemców, także tych nieuprzedzonych do sprawy polskiej, padało pytanie: gdzie leży Polska i co to jest Polska? Wspomnieć może warto, że „Ubu-król, czyli Polacy” Alfreda Jarry’ego z roku 1896 ma motto „w Polsce, czyli nigdzie”. Owszem, w europejskich kołach politycznych Polakom życzliwych trwała pamięć o nich jako „narodzie męczenniku”. Powtarzano hasło „La Pologne noble et mal-heureuse”, lecz nie miało to przełożenia na politykę rządów, na działania dyplomacji.

Tuż przed strzałami w Sarajewie do austro-węgierskiego następcy tronu i wybuchem wielkiej wojny, a więc w maju 1914 r., ambasador francuski w Petersburgu Maurice Paleologue przedłożył swemu ministrowi spraw zagranicznych (Gastonowi Doumerque) memorandum o sprawie polskiej. Kończył je wnioskiem, że Polacy nie upominają się już o niepodległość i nie pragną oderwania się od Rosji. „Polska już nie stara się o wyzolenie z jarzma rosyjskiego” – to konkluzja najważniejsza. Myliłby się każdy, kto by sądził, że w chwilach tzw. kryzysu lipcowego 1914 r. sprawa polska odgrywała jakąkolwiek rolę. Była zupełnie zamrożona.

1 sierpnia 1914 r. Europa wkroczyła w wojnę. Zaistniał konflikt na niewyobrażalną skalę. Takiego jeszcze świat nie widział. Ale wojna ta nie oznaczała przeobrażenia losu narodu polskiego od razu. Raczej zapoczątkowała przewrót, który przyniósł „geopolityczną rewolucję” (jak to określił historyk polski Wiktor Sukiennicki).

MYLIŁBY SIĘ KAŻDY, KTO BY SĄDZIŁ, ŻE W CHWILACH TZW. KRYZYSU LIPCOWEGO 1914 r. SPRAWA POLSKA ODGRYWAŁA JAKĄKOLWIEK ROLĘ

Jednak żywa

Oczywiście wraz z konfliktem mocarstw zaborczych między sobą odrodziła się sprawa polska. Jak powiedział prof. Szymon Askenazy, była ona par excellence europejska i taka się stała z chwilą, gdy załamał się pokojowy porządek wznieiony na gruzach Rzeczypospolitej. Ta „europejskość” sprawy polskiej, o której mówił ów wybitny historyk, nie ma nic wspólnego z modną dzisiaj „europejskością” jako frazesem propagandowym. Było to jedynie stwierdzenie, że sprawa ta stanowi ostatni, wielki a niezatłwiony problem Europy.

Jak wyglądało położenie sprawy polskiej w 1915 r. – a więc w stulecie kongresu wiedeńskiego (którego zresztą nikt nie świętował)? Przełomu nie było. Wymowne są komentarze polskie do losów sprawy polskiej podczas pierwszej fazy wielkiej wojny. Wszystko to, co Zachód oferuje Polsce – zanotował w swym „Dzienniku” zatytułowanym „Wspomnienia 1914–1916” prof. Bronisław Dembiński – to „sentymentalne gadatliwe tchórzostwo”. Mocarstwa zachodnie, tj. Wielka Brytania, Francja, chcąc zatrzymać Rosję w obozie antyniemieckim, przyznały jej prawo do określenia

przyszłej granicy na zachodzie zgodnie ze swoimi życzeniami. Nastąpiło to we wrześniu 1914 r. Cóż to oznaczało? Można odpowiedzieć najprościej: dano Rosji wolną rękę w urządzaniu sprawy polskiej – tak jak rząd w Piotrogradzie uznał to za konieczne.

Niepodległość Polski nie była brana w rachubę przez żadną ze stron wojujących ani przez państwa neutralne. Jak powie prof. Marian Zdziechowski: „Odezwa W. Ks. Mikołaja do Polaków była jednym z największych oszustw, jakie zna historia, o tym wątpić mogli tylko ludzie bardzo naiwni”. Z lata 1914 r. (i 1915) nie pochodzą żadne brytyjskie enuncjacje wskazujące na zainteresowanie sfer politycznych imperium w jakichkolwiek zmianach dotychczasowego położenia narodu polskiego. Jedynym godnym uwagi przejawem brytyjskiej percepcji spraw polskich pozostaje dyskurs urzędowego zadowolenia z powodu manifestu rosyjskiej deklaracji co do przyznania terytoriom Królestwa Polskiego autonomii kulturalnej. Kilkakrotnie padały w tym duchu deklaracje w Izbie Gmin i na łamach prasy. Na tym samym forum 2 marca 1915 r. minister spraw zagranicznych lord Grey oświadczył, że rząd Jego Królewskiej Mości podchodzi z sympatią do tego manifestu. Postępowanie dyplomacji francuskiej było analogiczne. Postulat niepodległości Polski z uśmiechem potraktował w 1915 r. kardynał Pietro Gasparri, sekretarz stanu Stolicy Apostolskiej. „Polska niepodległa? Ależ to marzenie, to cel nieziszczalny!” – miał powiedzieć Romanowi Dmowskiemu, który w Watykanie zimą 1915/1916 poszukiwał poparcia dla swojej akcji na rzecz umiędzynarodowienia sprawy polskiej. Kardynał doradzał Polakom szukać wyjścia przez przyłączenie przyszłego państewka polskiego do Austrii, co dałoby im silną pozycję w ramach tego mocarstwa i tym samym wpływ na politykę międzynarodową. Uwagi brytyjskiego polityka i watykańskiego hierarchy wpływały z całkowicie odmiennej wizji ułożenia stosunków międzynarodowych. Lord Grey zakładał triumf antyniemieckiej koalicji, kard. Gasparri wierzył w zwycięstwo mocarstw centralnych, a zwłaszcza chciał zachowania Austro-Węgier jako mocarstwa katolickiego. Obydwaj jednak nie wychodzili w swych przemysleniach poza horyzont jakiejś autonomii dla Polski, czy to pod panowaniem Rosji, czy to w ramach Austrii – zgodnie z teorią trializmu.

W wojnie nadzieja

Sto lat po akcie końcowym kongresu wiedeńskiego Europa w 1915 r. znajduje się w wigilię wielkiego przewrotu, który radykalnie zmieni całą architekturę geopolityczną kontynentu. Ale na ten moment przewrót ów nie doszedł jeszcze do skutku. Dokonuje się jednak zmiana o rozstrzygającym znaczeniu, chociaż nie było wiadomo, czy jest nieodwracalna. Było nią usunięcie Rosjan z Królestwa Polskiego. Ofensywa mocarstw centralnych i bitwa pod Gorlicami (rozpoczęta 2 maja) przyniosły przełamanie frontu. Trzy miesiące później do Warszawy wkroczyła armia niemiecka. Jak dzisiaj wiemy, Rosjanie opuścili stolicę Polski na zawsze. Wrócili jako Sowietci po 30 latach – w styczniu 1945 r., niosąc nową niewolę pod hasłem wyzwolenia, ale to już inna historia.

Z perspektywy 1915 r. różne mogły być scenariusze przyszłości. Niekoniecznie niepodległość była tym najmniej problematycznym. Można było wyobrazić sobie przede wszystkim Polskę jako państewko w granicach Królestwa Kongresowego (i to okrojonych od zachodu wskutek przyłączenia do Rzeszy tzw. pasa granicznego). Funkcjonowałoby ono w niemieckim systemie Mitteleuropy. Byłoby gospodarczym zapleczem Niemiec i w gruncie rzeczy od Berlina zależnym. Otoczone od wschodu nowymi tworami państwowymi musiałyby spełniać wolę rządu niemieckiego. Podkreślmy, że od chwili upadku szans separatystycznego pokoju z Rosją, pragnęli Niemcy stworzyć i wygrywać przeciw Polakom duże państwo ukraińskie, oczywiście również zależne od Rzeszy.

Klęska mocarstw centralnych i zarazem finał wojny w postaci kongresu pokojowego z udziałem Rosji to perspektywa wielkiej niewiadomej. W 1915 r. Imperium Rosyjskie nie było gotowe dać Polakom niczego więcej niż to, co obiecał manifest Naczelnego Wodza armii rosyjskiej wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza z 14 sierpnia 1914 r. Możemy oczywiście snuć w nieskończoność spekulacje co do tego, jak potraktowano by w Piotrogradzie tę obietnicę po zakończeniu działań wojennych (gdyby oczywiście Rosja ostała się jako zwycięskie mocarstwo obozu Koalicji).

Wszystko miała rozstrzygnąć wojna – doprowadzona do końca. Nie mogła się toczyć w nieskończoność. Ale mo-



NIEPODLEGŁOŚĆ POLSKI NIE BYŁA BRANA W RACHUBĘ PRZEZ ŻADNĄ ZE STRON WOJUJĄCYCH ANI PRZEZ PAŃSTWA NEUTRALNE

gła się skończyć albo kompromisowym pokojem, albo zwycięstwem jednego z bloków mocarstw. Równoczesnej klęski mocarstw zaborczych nikt sobie nie wyobrażał. A tylko takie rozstrzygnięcie prowadziło do niepodległości Polski.

Rozpad dotychczasowego świata

Dopiero między jesienią 1916 a wiosną 1917 r. dokonał się w stosunkach międzynarodowych przewrót na olbrzymią skalę. Najpierw Niemcy i Austro-Węgry proklamowały państewko polskie pod swoją dominacją. Potem Rosja pogrążyła się w chaosie dwuwładzy – po rewolucji lutowej. Wreszcie do wojny wkroczyły Stany Zjednoczone, a ich przywódca jednoznacznie opowiedział się za Polską niepodległą i zjednoczoną.

Rozstrzygające znaczenie miało to, że długotrwałą niewolę przetrwał naród polski. „Podzielona między trzy potężne państwa, porzucona przez wszystkie rządy, Polska nie umarła: ona żyła nowym życiem, ocalała swą wiarę” – pisał historyk francuski Maurice Baumont. I tak w 1918 r. państwo polskie powstało na nowo. Przywrócone zostało do życia nie z łaski zwycięskich mocarstw, lecz w rezultacie wielkiej wojny i katastrofy trzech mocarstw zaborczych, co na ich gruzach stworzyło polityczną próżnię. I tak powstała Europa narodów. Europa wersalska, która w porównaniu z tą wiedeńską miała bardziej „przyrodzone kształty” – jak to ujął historyk i dyplomata Michał Sokolnicki.

Jeszcze jedna refleksja wydaje się potrzebna. Otóż ład wiedeński – jak nazywa się układ stosunków międzynarodowych, który powstał w myśl uchwał kongresu pokojowego w stolicy Austrii – bywa wychwalany z powodu jego trwałości. Na to historyk powinien odpowiedzieć w dwóch punktach: (1) Istotnie tak było, bo działał mechanizm „koncertu mocarstw”, który dochodził do głosu albo zapobiegając wojnie, jak w 1878 r., albo ją kończąc w duchu niewielkich modyfikacji porządku terytorialnego, jak w 1856 r.; (2) Koncert mocarstw rozpadł się w wyniku powstania dwóch bloków mocarstw, co było nieuniknąłą konsekwencją powikłań, jakie wywołał triumf Niemiec nad Francją i pokój frankfurcki w 1871 r.

W STULECIE POWSTANIA STYCZNIOWEGO

**O polemice między Stanisławem Stomą
a kardynałem Stefanem Wyszyńskim**

20 STYCZNIA 1963 r. NA ŁAMACH „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” SZEF KOŁA POSELSKIEGO ZNAK STANISŁAW STOMMA OPUBLIKOWAŁ SWÓJ SŁYNNY ARTYKUŁ „Z KURZEM KRWI BRATNIEJ”. BYŁ TO TEKST NAPISANY Z OKAZJI 100. ROCZNICY WYBUCHU POWSTANIA STYCZNIOWEGO. DODAJMY – TEKST DOKONUJĄCY BOLESNEGO ROZRACHUNKU Z TRADYCJĄ POWSTAŃCZĄ



**PAWEŁ
SKIBIŃSKI**

Stanisław Stomma rozpoczyna od dwóch stwierdzeń, pod którymi może się podpisać, a przynajmniej przyjąć je do wiadomości każdy uczciwy Polak. Autor oddaje bowiem – choć przynajmniej: niejednoznacznie – cześć bohaterskiej ofierze powstańców, a w dalszej części artykułu będzie chwalił Romualda Traugutta.

Jednocześnie krytykuje decyzję o wybuchu powstania styczniowego, podejmowaną bez rzetelnego rozrachunku szans powodzenia powstańczego zrywu, przez ludzi lekkomyślnych – w rodzaju ówczesnych przywódców obozu „czerwonych” – Bobrowskiego i Padlewskiego, portretowanych w artykule jako lekkomyślni młodzieńcy.

Jednak ten artykuł nie sprowadza się do bolesnego rozrachunku politycznego z polskim powstaniem. Trzy tezy z tego tekstu nie są w gruncie rzeczy twierdzeniami historycznymi, lecz stricte politycznymi. Pamiętajmy, że Stomma był czynnym politykiem – koncesjonowanym przez komunistyczną PZPR posłem katolickim na Sejm PRL.

Pierwsza z tez mówi o kompleksie antyrosyjskim, jaki rzekomo toczył Polaków w przededniu powstania. Rosję nazywa Stomma „zaborcą najmniej wrogim” Polakom. Biorąc pod uwagę cały kontekst niewiele późniejszej od wydarzeń z lat 1863–1864 autonomii galicyjskiej, jest to twierdzenie absurdalne i w rzeczywistości ma raczej wytłumaczyć akceptację przez Stommę sowieckiej dominacji nad PRL. W tej wizji Rosja (a w 1963 r. jej spadkobierca – ZSRS) jest siłą „najmniej wrogą” Polakom, a pogodzenie się z jej dominacją obiecuje otwarcie wielu szans dla Polski.

Druga, pozornie tylko historyczna, teza dotyczyła granicy wschodniej Polski na Bugu. Stomma dowodził, że należało się na

nią zgodzić już w 1863 r. Wprawdzie Stomma sam stwierdził, że „nonsensem jest przeniesienie dzisiejszych pojęć w sytuację zupełnie inną, sto lat wcześniej”, ale sam temu przeczy, mamy bowiem u niego do czynienia z rozumowaniem prowadzonym jedynie w kostiumie historycznym.

Współczesna mu granica polsko-rosyjska na Bugu, dzięki rozumowaniu Stommy, z tworów geopolitycznej konieczności zaistniałej po II wojnie światowej, będąca wynikiem nagiej sowieckiej przemocy, staje się elementem trwałego ładu politycznego w naszej części Europy, jasnego dla strony rosyjskiej już od ponad 100 lat. Z perspektywy 1963 r. w gruncie rzeczy nie jest już więc bolesnym kosztem zależności od Sowietów. Przy tej okazji zwróćmy jednak uwagę, że autor artykułu nie stawia pytania o rosyjskie prawa do ziem na wschód od tej linii – dezawuuje jedynie polskie do nich prawa i pisze o ich etnicznej „niepolskości”. Nie określa także ich ewentualnej rosyjskości. Oczywiście nie analizuje tej kwestii w ogóle prawdopodobnie ze względów cen-



Kardynał Stefan Wyszyński polemizował z tezami o chorobliwym kompleksie antyrosyjskim Polaków: to nie kompleks, ale „zdrowe dążenie do wolności”

zuralnych. Pozostawia jednak w ten sposób swego czytelnika z fałszywą perspektywą oczywistości istniejących w 1963 r. rozwiązań terytorialnych.

I wreszcie namiętnie broni Stomma margrabiego Aleksandra Wielopolskiego, pisząc o nim jako o polityku myślącym „śmiało, dalekowzrocznie”. W polemice z prof. Stefanem Kieniewiczem Stomma pisze o demonizowaniu przez Kieniewicza słowa „ugoda”, dając do zrozumienia, że rozsądna polityczna ugoda z Rosją miała i ma sens oraz że nie może być ona odrzucana per se.

Nowy Wielopolski?

Słusznie więc zauważa piszący na temat wspomnianego tekstu Tadeusz Rutkowski, że jest on „ahistoryczny” i że „był ewidentną próbą przeniesienia doświadczeń XIX w. w stulecie XX i nie ukrywał nawet odniesienia do sytuacji Polski”. W tym więc kontekście Wielopolski staje się figurą oznaczającą jeśli nie samego Władysława Gomułkę, to z pewnością stanowiącą alegorię jego ekipy.

Od siebie dodajmy jednak, że Stomma świadomie nie zauważa, że w wypadku Gomułki mamy dwa dodatkowe problemy, z którymi historyk nie ma do czynienia u margrabiego. Gomułka to przecież nie tylko zależny od Moskwy polityk narzucony Polsce, lecz także działający według standardów ideologii komunistycznej, która wykrzywiała rzeczywistość w duchu schematów totalitarnych, z gruntu odmiennych od najbardziej nawet cynicznej Realpolitik XIX w. Poza tym osobnego dowodu, którego Stomma nie przeprowadza, wymagałaby teza, że Gomułka miał na celu rzeczywiście budowę i rozwój polskiej

wspólnoty narodowej, a nie ideologiczną piererkówkę Polaków, czemu dawał wyraz podczas zainicjowanej przez siebie programowej rywalizacji z kard. Stefanem Wyszyńskim w okresie obchodów tysiąclecia chrztu Polski. A w okresie tej właśnie rywalizacji w roku 1963 wchodziliśmy.

Zwróćmy uwagę na jeszcze jeden aspekt rozumowania Stommy z jego artykułu. Poseł odrzucał jednoznacznie dyktat polskiej „ulicy”, nacisk zrewoltowanego tłumu wychodzącego na ulice Warszawy z patriotycznymi hasłami. Jest to w ustach Stommy pozornie obrona zdrowego rozsądku, ale przy okazji niejako wyraża on niechęć do własnego społeczeństwa, jego mentalności i odruchów, które traktuje jako nieracjonalny i emocjonalny motłoch pomijany w politycznym rozumowaniu.

Wielokrotnie wraca też poseł Stomma do „antyrosyjskiego kompleksu” Polaków, napędzanego, jego zdaniem, przez nieodpowiedzialnych radykałów politycznych i romantycznych poetów. Radykałów politycznych oskarża on wprost o działanie w interesie Prus Bismarcka, który realizował już plan ostatecznego zjednoczenia Niemiec.

Stomma, co znamienne, wspomina w swoim tekście zarówno Piłsudskiego, jak i Dmowskiego, obu jako krytyków powstania styczniowego. Tak wyczulony na te nazwiska peerelowski cenzor tym razem nie zareagował. Sam Stomma, jak rozumiem, miał zamiar się wpisać w ich dziedzictwo, linię odpowiedzialnej polskiej polityki prowadzonej dla dobra wspólnoty.

Stanowisko prymasa

Kardynał Wyszyński podjął ze Stommą otwartą polemikę, wygłaszając 27 stycznia 1963 r. kazanie w archikatedrze warszawskiej, jak sam napisze, „ku chwale powstańców”. Jest to o tyle zaskakujące, że prymas sam uważany jest dziś za politycznego realistę, który w roku 1970, a przede wszystkim w 1980, mocno krytykował wszystkie odruchy insurekcyjne swych rodaków. Jednak nie poparł on refleksji Stommy i w swoich osobistych zapiskach już kilka dni wcześniej nazwie jego artykuł „pozbawionym wycucia narodowego”.



Stanisław Stomma uważał, że rozsądna polityczna ugoda z Rosją miała i ma sens

Na początku swego kazania prymas postawił pytanie: „Jak ja bym się wtedy zachował?”. Zwrócił uwagę na pragnienie wolności Polaków oraz na postawę władz rosyjskich, które uznały wszelką rozmowę o autonomii Królestwa Polskiego ustami Aleksandra II za mrzonkę – „point de rêveries”.

Hierarcha wezwał słuchaczy do ostrożności w ocenie, zaznaczył, że powstania „potępić nam [...] nie wolno”. Podkreślił, że zryw powstańcze chroniły byt narodowy i pozwoliły żywemu narodowi przetrwać, „choćby mocarze tego świata pragnęli, aby imię nasze wymazane było”. Namawiał słuchaczy do przyjęcia dłuższej perspektywy i zauważenia owocu ofiary powstańczej. Co ciekawe, wspominał w tym kontekście powstanie nie tylko styczniowe, ale i warszawskie.

Wzywał Polaków do przyjęcia perspektywy narodowej, by zdecydowali się „żyć w narodzie, [...] i dla narodu”. Jednocześnie twierdził, że nie wszystko jedno, jakim narodem się jest, bowiem „najbardziej smutnymi narodami są te, którym stawiano za ideał li tylko dążenia materialne”.

Bezpośrednio polemizując ze Stommowską tezą o chorobliwym kompleksie an- >>

>> tyrosyjskim Polaków, mówił, że nie ten kompleks, ale „zdrowe dążenie do wolności” było przyczyną powstania. Podobnie jak Stomma, prymas także nawiązywał do współczesności, mówiąc o prawie do wolności narodów, którego dziś nie odmawia się narodom wychodzącym z zależności kolonialnej, a co dopiero „narodom starym”, jak polski.

Swoje rozważania kard. Wyszyński podsumowywał znamienne: „Nie wszystkim historykom wierzę. [...] Zmysł rodzinny i narodowy każe mi myśleć samodzielnie nawet wtedy, gdy przewracam foliały prac historyków”.

Wartość powstania

Wartość zrywu powstańczego sprzed stulecia określił prymas jako pogłębienie wspólnoty wszystkich warstw społecznych. Na tej podstawie możliwe było stworzenie nowoczesnych programów politycznych, „myśli nowoczesnych Polaków”, jak mówił, nawiązując do Dmowskiego. Programy te pogłębiły wspólnotę ponad podziałami zaborowymi. Polacy łączyli się we „wspólnej pracy”, która znalazła ukoronowanie w 1918 r. Jego zdaniem symbolem tej pracy miał być Henryk Sienkiewicz.

„Naród bez tego zrywu, okupionego krwią, [...] nie oparłby się germanizacji i rusyfikacji” – zauważał prymas.

Moralnie przyznawał rację tym, którzy w powstaniu ginęli, dzięki ich ofierze naród polski bowiem mógł do dzisiaj powtarzać „non moriar, sed vivam” („nie umrę, ale żyć będę”).

Sens polemiki

Co właściwie znalazło się więc w centrum polemiki między prymasem Wyszyńskim a posłem Stommą?

Prymas nie bronił przecież ostro potrakowanych przez Stommę Padlewskiego i Bobrowskiego, ale bronił tych, którzy walczyli – zwykłych powstańców. Odczytał artykuł Stommy nie jako krytykę lekkomyślnej decyzji powstańczej, ale krytykę samej idei walki o wolność i podmiotowość narodu. W kontekście roku 1963 odczytał intencję Stommy jako wezwanie do wyrzeczenia się przez Polaków podmiotowości i zaakceptowania rzeczywistości PRL nie jako tymczasowej bolesnej konieczności, ale jako – nazwijmy to od siebie – nowej polskiej normalności.

Prymas w swym kazaniu zakwestionował jako fałszywą postawioną przez Stanisława Stommę alternatywę: albo uгода z mo-

carstwem ze wschodu i ze współczesnymi „Wielopolskimi” z PZPR, albo samobójczy insurekcjonizm, motywowany chorobliwym kompleksem nienawiści do Rosji. Zrównał ofiarę powstańców, trud organicznej pracy u podstaw oraz pielęgnowania kultury narodowej w kolejnym pokoleniu. Traugutt, Sienkiewicz i Dmowski znaleźli się u prymasa w jednym obozie, który słowami płk. Zygmunta Miłkowskiego, weterana powstania i zarazem prekursora Ligi Narodowej, można nazwać terminem obozu „obrony czynnej”. Obrony niezwykłych praw narodu wszelkimi sensownymi metodami do ofiary z życia włącznie...

Nie ma jednak u prymasa ani nienawiści do Rosji czy Niemiec, ani też złudzeń co do intencji dawnych i współczesnych zaborców

ZRYWY POWSTAŃCZE POZWOLIŁY ŻYWEMU NARODOWI PRZETRWAĆ, „CHOCIAŻ MOCARZE TEGO ŚWIATA PRAGNĘLI, ABY IMIĘ NASZE WYMAZANE BYŁO”

Polski, którym kardynał przypisuje chęć trwałego uzależnienia Polaków, a nawet ich likwidacji jako wspólnoty. Dyskurs Stommy o „mniej” i „bardziej” wrogich zaborcach nie ma więc sensu.

Polityka bieżąca

Kończąc nasze rozważania, docieramy do niewypowiedzianej wówczas otwarcie warstwy polemiki między prymasem a posłem katolickim, do różnic, jakie dzieliły obu polemistów, jeśli chodzi o politykę bieżącą.

Dowiadujemy się o nich z notatek „Pro memoria” prymasa. Jak zapisał tam kardynał, Stomma uznawał sytuację Kościoła i Polski za coraz „korzystniejszą” i nazywał Nikitę Chruszczowa, sekretarza generalnego KC KPZS, „Europejczykiem”, powołując się na sprawę Berlina, choć przecież Chruszczow doprowadził do wzniesienia muru

berlińskiego w 1961 r. Prymas polemizował, wskazując agresywną, motywowaną ideologicznie, politykę antyreligijną Chruszczowa.

Kard. Wyszyński zwracał w styczniu 1963 r. uwagę posłom koła Znak, że „tworzą nowy model katolickiego polityka. A jego obowiązkiem jest być przede wszystkim w prawdzie. [...] Kłamstwo stało się środkiem polityki dla komunistów. Kościół nie może tego zarzutu ściągnąć na siebie. Ja mówię to, co uważam za prawdę, jestem wyznawcą, i wobec p. Bieruta i Mazura, i Gomułki, i Cyrankiewicza [...]. Myślę, że mówiąc prawdę, prędzej dogadam się z komunistami, niż gdybym miał z nimi politykować”. Tego samego oczekiwał też od posłów znakowskich – świadectwa o prawdzie. Nie samobójczej autoekspresji, ale zdolności do dania świadectwa.

Stomma tymczasem wolał jednak z komunistami „politykować”. Wiemy, że już wówczas kształtował się popierany przez Stommę program, zainspirowany przez Gomułkę, a być może także przez Moskwę, zakładający wykorzystanie nowej dialogicznej polityki wschodniej papieża Jana XXIII do doprowadzenia do zawarcia przez Stolicę Apostolską konkordatu z PRL.

Jesienią tego samego 1963 r. poseł Stomma przywiezie na sobór do Rzymu tzw. opinię, sygnowaną przezeń jako stanowisko całego środowiska Znak. W dokumencie tym będzie domagał się nawiązania stosunków dyplomatycznych z PRL, rzekomo dla dobra Kościoła w Polsce. Zaangażuje się w to przedsięwzięcie, wiedząc, że dokładnie przeciwnego zdania jest prymas Wyszyński, dzięki któremu zresztą sam Stomma w Rzymie w ogóle się znalazł.

W podobnym duchu co opinia utrzymany był tekst innego posła Znak – Tadeusza Mazowieckiego, „Otwarcie na Wschód” opublikowany w „Więzi” (nr 11–12, 1963), w którym ten sam postulat politycznego porozumienia z komunistami był uzasadniany m.in. tym, że „zerwanie z politycznym antykomunizmem ma decydujące znaczenie dla autorytetu i rozwoju Kościoła na świecie”. Bez względu na późniejsze tłumaczenia członków tego środowiska te wypowiedzi miały za zadanie zdyskredytowanie prymasa Wyszyńskiego i uwikłanie Watykanu w porozumienie z komunistami, które nie poprawiałyby sytuacji Kościoła w Polsce, ale z pewnością utrudniałyby mu działalność.

Jednak wizja tego porozumienia za wszelką cenę ożywiła m.in. Stommę, który był gotów zaryzykować konflikt z prymasem. Styczniowa polemika wokół powstania była do tego konfliktu przegrzywką. ■



STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

W 2018 r. OBCHODZILIŚMY SETNĄ ROCZNICĘ ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI, PO 123 LATACH NIEWOLI. DWA LATA PÓŹNIEJ Z KOLEI ROCZNICĘ BITWY WARSZAWSKIEJ. DZIĘKI TYM NIEZWYKŁYM ROCZNICOM MOGLIŚMY JAKO OBYWATELE OBECNEGO PAŃSTWA POLSKIEGO PODJĄĆ REFLEKSJĘ NA TEMAT ZNACZENIA NIEPODLEGŁOŚCI, SUWERENNOŚCI W NASZYCH DZIEJACH. I TAK SIĘ STAŁO



**JAN
ŻARYN**

Ta refleksja była widoczna na różnych poziomach budowania wspólnoty, podczas Marszu Niepodległości na ulicach Warszawy, także dzięki licznym ceremoniom państwowym, ale nadto za sprawą tysięcy książek, artykułów, uchwał sejmowych czy senackich (te ostatnie powstawały również z moim udziałem w latach 2015–2019, jako wówczas senatora). Analizę stanu naszej zbiorowej kondycji niepodległościowej wypada zacząć jednak od decyzji

politycznych, które podjęliśmy jako Polacy w wyborach prezydenckich, a następnie parlamentarnych w 2015 r. (oczywiście także w 2019 r.). To wówczas prezydentem został Andrzej Duda, a parlament stworzył rząd Beaty Szydło za sprawą zwycięstwa Prawa i Sprawiedliwości. Wygrała formacja, która na swoich sztandarach wywiesiła biało-czerwoną flagę, odwołując się do polskiego patriotyzmu, do historii i woli upamiętnienia naszych bohaterów. Polacy okazali się zatem emocjonalnie znużeni formacją, która za nic miała wartości nadrzędne mieszczące się w tych trzech pięknych słowach: „Bóg, Honor, Ojczyzna”. Czy jednak to oznacza, że pokolenia dominujące w 2015 r. i wskazujące PiS jako formację zdolną do godnego zorganizowania 100-lecia odzyskania niepodległości i Bitwy Warszawskiej są

w prostej linii spadkobiercami pokolenia „niepokornych”, z Dmowskim, Paderewskim i Piłsudskim na czele? Oczywiście nie. Mamy dziś swoje motywacje, także inaczej definiujemy miłość do Ojczyzny.

Wydaje się jednak, że władze państwowe stanęły na wysokości zadania. Został uruchomiony program wieloletni „Niepodległa”, dzięki któremu w latach 2017–2021 wiele organizacji pozarządowych (NGO) mogło przygotować liczne uroczystości. Masowe uczestnictwo w marszu 11 listopada 2018 r. zorganizowanym przez środowisko Roberta Bąkiewicza pokazało, że mimo sporów politycznych jesteśmy w stanie ustąpić o krok, by razem honorować bohaterów z przeszłości. Gorzej nam poszło z próbą filmowego ujęcia tamtych czasów, jedynie „Legiony” Macieja Pawlickiego >>

>> i Adama Borowskiego zostaną zapamiętane i być może wpłyną na współczesną tożsamość Polaków. Niestety, nie powstał Łuk Triumfalny na Wiśle, gdyż rząd, a na pewno samorząd stolicy, nie odczuł potężnego nacisku ze strony społeczeństwa. Jednocześnie cieszy, że powstało dużo inicjatyw kulturalnych, z Muzeum im. Józefa Piłsudskiego w Sułejówku na czele, ale także z instytucją, którą mam honor prowadzić – Instytutem Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego J. Paderewskiego, odwołującym się z kolei do tradycji narodowo-katolickiej. Powstało wiele inicjatyw państwowych, naukowych i muzealnych, jak w Katowicach Instytut im. Wojciecha Korfańskiego czy też Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Osób Represjonowanych w Warszawie, w którym docenia się polskich bohaterów odwołujących się do tradycji czy to narodowej, czy piłsudczykowskiej. W Lublinie z kolei powstała placówka kultury dedykowana pamięci o polskich Kresach. To niepoprawna decyzja, a jakże istotna z racji naszej realnej wielopokoleniowej łączności z tymi ziemiami. Państwo polskie energicznie podjęło także łączność z emigracją, tymi 16–20 mln Polaków, w tym potomkami emigracji politycznej II wojny światowej, czy też żyjącym pokoleniem Solidarności. To jedynie nieliczne przykłady, świadczące o tym, jak Polska współczesna chciała pełnić funkcję depozytariusza pamięci o naszej przeszłości, w imię niepodległej przyszłości. Tym licznym upamiętnieniom wydarzeń lat 1914–1920 (z Bitwą Warszawską na czele) towarzyszył pewien optymizm społeczny, naruszony dopiero przez pandemię i jej destrukcyjne owoce.

Jednocześnie widać wyraźnie, jak bardzo się różniliśmy od naszych przodków, którzy oglądali na żywo powstanie Polski Odrodzonej. Kilka przykładów. W jednym z felietonów, który napisałem w 2018 r., zastanawiałem się: „Skąd istniała wówczas – zaraz po odzyskaniu niepodległości – względnie powszechna akceptacja wśród Polaków obecności duchowieństwa i Kościoła w życiu publicznym, w tym w życiu politycznym?”. W Sejmie Ustawodawczym zasiadało z wyboru ponad 30 posłów kapłanów, wśród nich ks. Zygmunt Kaczyński, chrześcijański demokrat, m.in. w latach II wojny światowej minister w rządach na uchodźstwie, czy też ks. Kazimierz Lutosławski, narodowiec, m.in. autor preambuły do konstytucji marcowej 1921 r. i jeden z najczynniejszych

parlamentarzystów. Dziś próba zdefiniowania poglądów politycznych biskupa czy większości kapłanów stanowi naruszenie dobrych obyczajów, tak jakby księża nie byli obywatelami tego samego państwa i nie mogli świadczyć w miejscach publicznych – poza kościołem – o swoich politycznych sympatiach. A i tak świadczą zresztą – wbrew biskupom – tyle że niektórzy – dziwnym trafem jedynie ci, którzy nie zamierzają nawiązywać do chrześcijańsko-narodowej tradycji posłów kapłanów Sejmu Ustawodawczego. Co najwyżej do marginalnej postaci ks. Eugeniusza Okonia, twórcy Republiki

CENA NIEPODLEGŁOŚCI ZAWSZE JEST WYSOKA, ZWŁASZCZA GDY MA SIĘ TAKIE POŁOŻENIE GEOGRAFICZNE

Tarnobrzeskiej. Oczywiście nie podważam wyboru samego Kościoła, że kapłanom nie wolno dziś kandydować do parlamentu czy uczestniczyć w pracach rządu (w II RP np. bp Adolf Szelażek w latach 1918–1924 był radcą w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, a następnie naczelnikiem wydziału katolickiego i dyrektorem ad personam tegoż resortu). Wypychanie Kościoła katolickiego przez komunistów do kruchty dziś ma kolejnych zwolenników i czynowników, mających olbrzymie wpływy medialne i kulturowe. Autorytet Kościoła w Polsce został poddany obecnie niezwyklej próbie; nie oszczędzono nawet Jana Pawła II, a wkrótce przyjdzie lawina pomówień, którymi zostanie opluty Prymas Tysiąclecia. Czy jesteśmy na to gotowi?

Obecnie coraz częściej pada dużo poważniejsze pytanie: czy jako Polacy jesteśmy zainteresowani niepodległością? Tego pytania nie stawiano u zarania II RP. Rząd Obrony Narodowej z lat 1920–1921

Wincentego Witosa, w obliczu nawałnicy bolszewickiej, był w stanie ogarnąć i reprezentować wszystkie niepodległościowe partie polityczne, od konserwatystów, przez narodowców i chadeków, po ludowców i socjalistów. Wydaje się, że dziś takiej jedności wokół kwestii niepodległości państwa nie ma. Nie tylko dlatego, że obecnych wrogów nie jest tak łatwo zdefiniować jak bolszewików. Dziś z jednej strony chcemy być w Unii Europejskiej, ale z drugiej widzimy, że rządzący nią mają ambicję, by odebrać suwerenność narodom niepokornym. Już niektóre samorządy w Polsce przeprosiły się z pieniędzmi unijnymi za cenę utraty honoru i godności, bo jakże inaczej ocenić zgodę na wycofanie się z promowania na swoim terenie tradycyjnej rodziny i jej potrzeb. Podobnie w ślad za innymi narodami stajemy się coraz mniej odporni na próbę narzucenia w nauczaniu powszechnym wzorców dalekich nie tylko od modelu wychowawczego z lat niewoli: „Polak katolik”, ale także od mniej pryncypialnej woli zdecydowanej większości narodu, przywiązanego do tradycji i normalności. Próby zawrócenia niezdrowych tendencji, podjęte przez ministra edukacji Przemysława Czarnka, natychmiast spotkały się z publicznymi oskarżeniami go o najcięższe przestępstwa. A zatem kto ma prawo do budowania charakteru narodowego Polaków: my sami czy też unijni urzędnicy? Czy jesteśmy zdolni, by, nie wychodząc z Unii Europejskiej, a szukając sojuszników wśród jej członków, narazić jednocześnie na szwank nasz budżet państwowy? Niepodległość ma oczywiście także inne imiona: to m.in. stosunek Polaków do tragedii smoleńskiej. Czy jesteśmy zainteresowani, by zmusić elity polityczne państwa do upublicznienia raportu, o którego istnieniu dowiedzieliśmy się z filmów dokumentalnych? A może jako Polacy czujemy, że ani NATO, ani osobno Waszyngton i Berlin, nie dają nam prawa do ujawnienia faktów, które zmusiłyby naszych sojuszników do reakcji? Już raz w historii niedawnej ludzkość przezwyciężyła ten dylemat, gdy Sowietci przygotowali (na szczęście nieudany) zamach na papieża Jana Pawła II. Cena niepodległości zawsze jest wysoka, zwłaszcza jak się ma takie położenie geograficzne. Mimo olbrzymich przemian, jakim zostali poddani Europejczycy, w tym my, w XX w. pozostajemy między Niemcami i Rosją, zdolni lub mniej zdolni do wyciągnięcia z tego wniosków.

POLSKA PRZEZ WIEKI

Jak zmieniały się granice polskiej państwowości – węzłowe okresy naszej historii

Polska za Mieszka I



Rzeczpospolita w XVI w.

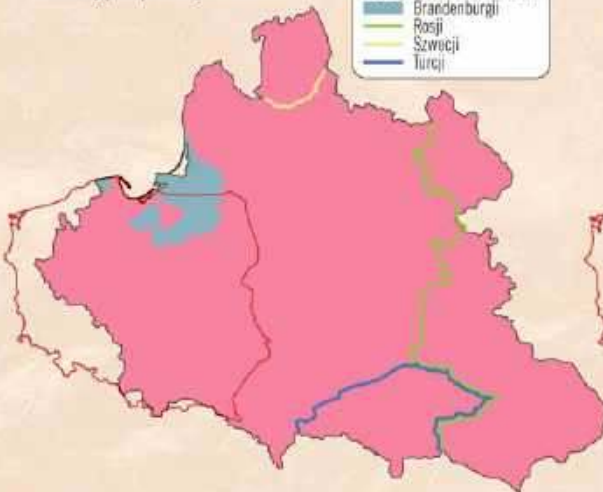


Polska za Kazimierza Wielkiego

Straty terytorialne
Rzeczypospolitej w XVII w.

Straty terytorialne na rzecz:

- Brandenburgii
- Rosji
- Szwecji
- Turcji



Rozbiory Rzeczypospolitej w XVIII w.

Granice zaborów:

- austraackiego
- pruskiego
- rosyjskiego



Królestwo Polskie



Druga Rzeczpospolita



Polska obecnie



REWOLUCJE I POWROTY

Damska moda 100 lat po stylu empire



KIEDY PRZEGLĄDAMY PUBLIKACJE POŚWIĘCONE MODZIE ORAZ SZTUCE I DOKONUJEMY PORÓWNAŃ DRUGICH DEKAD STULECI XIX I XX, MOŻEMY POCZYNIĆ BARDZO CIEKAWE SPOSTRZEŻENIA



**MARIA
MOŁENDA**

Przemiany w modzie są często efektem splotu złożonych czynników: zarówno obyczajowych, kulturowych, ekonomicznych, artystycznych, jak i przemysłowych. W początku XIX w. podtrzymywano formy stylowo odmienne od wyszukanych kreacji elit rokoka, które szyto z barwnych wzorzystych jedwabi i obficie

dekorowano. Przepychowi w arystokratycznych ubiorach hołdowały nie tylko kobiety. Pod jego wpływem pozostawali także mężczyźni. Zmiany zaczęły się we Francji w ostatnich dekadach XVIII w. i wiązały się m.in. z odważnymi modywnymi decyzjami Marii Antoniny.

Wyrafinowana lekkość

Królowa ta, poszukując wytchnienia od ceremonialnego dworskiego życia w modnej zabawie w wiejską pasterkę, sięgnęła po lekką elegancką suknię zwaną chemise. Tego typu suknie uznawane za skromniejsze, bardziej naturalne i eleganckie od paryskich nosiły

uprzednio kobiety z francuskiej kolonii na Saint-Domingue. W sukni chemise Maria Antonina pozwoliła się sportretować utalentowanej malarce Élisabeth Vigée Le Brun. Obraz, zaprezentowany szerszej publiczności w 1783 r., wywołał najpierw skandal, a potem przyczynił się do spopularyzowania tej kreacji. Chemise szyto przeważnie z lekkich tkanin, takich jak muslin, jedwab czy len, zwykle w delikatnych kolorach. Biel tego ubioru, jakkolwiek miała dawać wyraz umiłowaniu prostoty, także była elitarna, gdyż tylko najbogatsze kobiety mogły nosić białe musliny i jedwabie, nie martwiąc się o ubrudzenie czy zniszczenie kreacji.

Hołd dla antyku

Suknia chemise zapowiadała nadchodzące w modzie zmiany, które pogłębiły się zarówno poprzez rosnące zainteresowanie antykiem, wywołane odkryciami archeologicznymi, jak i wybuch rewolucji z jej egalitarnymi i wolnościowymi ideami. W latach 90. XIX w. stał się modny kolejny typ nowatorskiej kreacji, pozornie zbliżonej do sukni chemise, jednak pod wieloma względami odmienniej. Nowa suknia miała podniesiony stan, bardziej skomplikowany krój i wymagała dopasowania – w przeciwieństwie do regulowanej sznurkami chemise. Anglik, który odwiedzał Paryż przed i po rewolucji, zauważył różnice pomiędzy skromnymi sukniami chemise a „ateńskimi” muslinowymi tunikami dyrektoriatu, które odsłaniały biust, ramiona, a nawet nogi. Nowe suknie naśladowały antyczne greckie tuniki, ich biel nawiązywała do starożytnych posągów, a fason upodabniał sylwetkę kobiety do klasycznej kolumny. Aby osiągnąć ten efekt, konieczne było osadzenie talii pod biustem. Być może inspiracją do takiego rozwiązania było wiązanie szeroką szarfą sukien chemise, dzięki któremu, choć talia była na właściwym miejscu, uzyskiwało się optyczne wrażenie jej podniesienia. Rozwijana w pierwszych dziesięcioleciach XIX w. moda na antyk była lansowana i przeobrażana również m.in. przez cesarskie aspiracje Napoleona. W tym okresie forma sukni ulegała powolnej zmianie, do czego przyczyniły się zarówno powrót jedwabiu do łask, jak i zainteresowanie innymi historycznymi epokami, takimi jak średniowiecze i renesans, a także zmiany w konstrukcji, w których efekcie od ok. 1815 r. rozpoczęło się powolne obniżanie talii i poszerzenie spódnicy u dołu. Przez krótki czas w modzie empirowej nie stosowano gorsetu, jedynie lżejszą konstrukcję modelującą i podtrzymującą biust. Jednak gorset nie pozwolił się usunąć z historii mody i nie tylko szybko powrócił do łask, ale też zdomował się na stałe na kolejne stulecie. Bez gorsetu, halek i innych stelaży nie sposób wyobrazić sobie mody XIX w.

Polonika w modzie

Żurnale systematycznie dostarczały informacji o aktualnościach w modzie dotyczących sukien, okryć wierzchnich, nakryć głowy, obuwia, fryzur i akcesoriów.



**Królowa Maria Antonina
sportretowana przez Élisabeth
Vigée Le Brun**

W „Journal des Dames” z kwietnia 1810 r. zwrócono uwagę na łączące Francję i Polskę bliższe relacje, które przyczyniły się do mody na ubiory noszone przez mieszkańców Północy oraz samych Polaków. Co prawda nadejście wiosny uczyniło futra nieprzydatnymi, ale w bogatych toaletach wpływy polskie są nadal widoczne. Ważne było dopasowanie ubioru do pory dnia i wykonywanego zajęcia. Na wieczór zalecano suknię z białego atłasu i nakładaną nań otwartą polonezkę, wyróżniającą się kolorem. Rekomendowano szkarłatną czerwień, błękit nieba, żółć, zieleń, kolor liliowy oraz założenie nakrycia głowy dopasowanego do barwy polonezki. „Journal des Dames” wskazuje również na istotną rolę dworu w kształtowaniu mody, tradycyjnie uważano go bowiem za propagatora innowacyjnych pomysłów i trendów. Nowa małżonka Napoleona, Maria Luiza, podczas swego wjazdu do Compiègne nosiła ubiór bardzo podobny do powyżej opisanego, tj. suknię z białego atłasu i polonezkę z aksamitu karmazynowego, haftowaną złotem. Autor relacji domniemywał, że cesarzowa chciała się w ten sposób zaprezentować w ubiorze odpowiednim do aktualnych gustów francuskich. Przy okazji zauważył, że niebawem we Francji nie będzie innych gustów i mód niż te, które wprowadzi nowa małżonka Napoleona. W 1818 r. po zwieńczonej sylwetce nie zostało już wiele. Suknie poszerzane ku dołowi uległy skróceniu. Talia nadal znajdowała się wysoko, jednak brakowało dawnej smukłości, do której

dążono w pierwszym dziesięcioleciu. Kreacje kobiet obciążały wizualnie rozbudowane dekoracje biegnące pionowo wzdłuż spódnicy, a także poziomo u jej dołu. Modne były długie rękawy, a fryzury także utraciły subtelność, do łask wróciły długie włosy, upinane w wyrafinowane konstrukcje z loków, woali i szarf.

Sto lat nowocześniej

Jeśli przeniesiemy się teraz w czasie o 100 lat, dostrzeżemy, że w pewnym stopniu moda zatoczyła koło, choć nastąpiły niebawem zmiany w zakresie produkcji tkanin, którą usprawniono i unowocześniono. Wprowadzono rewolucyjne, zmechanizowane maszyny tkackie, wynaleziono nowe chemiczne barwniki, wyprodukowano nowe typy tkanin, zastosowano maszynową produkcję koronek i dekoracyjnych pasmanterii, masową sprzedaż gotowej odzieży, liczne domy mody zapewniały możliwość ubrania się od stóp do głów. W wielu gospodarstwach domowych pojawiły się maszyny do szycia. Nie bez znaczenia był rozwój prasy i zwiększony dostęp do informacji, także z zakresu higieny i zdrowia. Silny wpływ na modę miały też zmiany zapatrywania na rolę i akceptowalne zachowania kobiet, na ich udział w życiu publicznym, edukację czy zakres aktywności.

Formowanie sylwetki

Jednak mimo wzrastającego poczucia, że już najwyższy czas na przeformułowanie roli kobiety w społeczeństwie i uwolnienie jej spod dyktatu krępującej mody, jeszcze u progu XX w. kontynuowano formy wypracowane we wcześniejszym stuleciu. Skądinąd piękny i subtelny styl secesyjny wymagał noszenia gorsetu, który formował sylwetkę na kształt litery S. Pod suknię zakładano także kilka warstw białej bielizny oraz różnego rodzaju podkłady, np. na pośladki, biodra i również na biust. Modne wysokie stółki kołnierzyki zachowywały kształt dzięki wszywanym od spodu drucikom. Długie spódnice często zaopatrywano w treny. Noszone wyszukane fryzury, wymagające specjalnych podkładów (tzw. postiches), grzebieni i doczepianych włosów. Pod koniec lat 20. XX w. autor jednego z artykułów w gazecie przeznaczony do promowania zdrowego trybu życia wspominał ze zgrozą o „ciemnych >>

>> stronach” secesyjnej mody, która w jego opinii mogła rozleniwiać kobiety w kwestii utrzymania czystości i dbania o zdrowie fizyczne.

Jednak już pod koniec pierwszej dekady XX w. moda secesyjna zaczęła się przekształcać pod wpływem wyraźnych inspiracji, m.in. właśnie odległym o sto lat stylem empire z początku XIX w., a także sztuką, baletem i orientem. Duży wpływ na wprowadzenie ponownie do mody wpływów klasycznych miała tancerka Isadora Duncan, odziana podczas swoich zjawiskowych występów tanecznych w przejrzyste tuniki i szale na wzór antyku.

Skandalizujące nowinki

Artystyczne koncepcje Isadory stały się z kolei inspiracją dla Paula Poireta, francuskiego krawcy i projektanta, który niebawem zbudował krótkotrwałe modowe imperium, lansując nowoczesne ubiory na wzór m.in. egzotycznego orientu, empiru i zachwycających kostiumów baletów rosyjskich Siergieja Diaghilewa. Lata ok. 1909–1910 okazały się zatem przełomowe w dziedzinie mody: sylwetka kobiety powróciła do ideałów stylu z pierwszych dekad XIX w., stała się prosta, wysmukła, nie podkreślała naturalnego ułożenia talii, lecz zaznaczała ją pod biustem. Sięgając do antyku i orientu, Poiret wylansował również krótką tunikę noszoną na dłuższej sukni i starał się wprowadzić luźne spodnie zakładane pod skrócone spódnice. Ten ostatni pomysł okazał się szokujący, a do jakiego stopnia, informują nas wspomnienia aktorki Zofii Ordyńskiej, która opisała pojawienie się na rynku w Krakowie pewnej damy ubranej w ten sposób. Pani ta miała w zwyczaju, wracając z zagranicy, prezentować dość zachowawczym krakowianom, co też nowego w słynnych centrach mody ostatnio wymyślili znani krawcy i projektanci. Śmiały pokaz tzw. jupe-cullotów, czyli szerokich bufiastych spodni wkładanych pod sięgającą połowy łydek spódnice, wywołał piorunujący efekt. „Wokół paryskiej elegantki zebrał się tłum na pół Rynku. Jak na Lajkoniku! Kupcy powychodzili ze swych sklepów, przakupki odbiegły od straganów, tramwaje stanęły, a krakowskie andrusy gwizdały i wykrzykiwały: »Baba w portkach! Baba w portkach!!!«. A świętobliwe dewotki mało nie nabiły parasolkami tej elegantki”.

W omawianym okresie w Polsce pojawiały się także głosy, zwłaszcza ze środowiska artystycznego, że czas wreszcie zainteresować się rodzimą sztuką i z niej czerpać pomysły dla nowych mód. Styl zakopiański zatem to nie tylko tendencja w architekturze i aranżacji wnętrz – inspiracje ludowymi ornamentami pojawiły się w modzie. Nie przyjęły się one jednak powszechniej, a ich dłuższe stosowanie przetrwało w późniejszych latach głównie w dziecięcych ubrankach, co potwierdzają zachowane fotografie.

Co warto było mieć w szafie

Mimo mody na wysoko osadzoną talię wielu optowało za przywróceniem jej na naturalne miejsce lub choćby swobodnym funkcjonowaniem tego typu fasonów obok obecnie popularnych. Niektórzy uważali, że suknie z podniesioną i niezaznaczoną

ŚMIAŁY POKAZ TZW. JUPE-CULLOTÓW, CZYLI SZEROKICH BUFIASTYCH SPODNI WKŁADANYCH POD SIĘGAJĄCĄ POŁOWY ŁYDEK SPÓDNICĘ, WYWOŁAŁ PIORUNUJĄCY EFEKT

talią są odpowiednie dla osób o nieforemnych sylwetkach. Jednak osiągnięcie efektu zgrabnej figury nadal wymagało zastosowania gorsetu. Uległ on co prawda zmianie – w paryskich pracowniach gorsetowych tworzone konstrukcje z wydłużonym stanem, niezaznaczające zbytnio wcięcia i niewydatniające biustu ani bioder.

Odbiorczyniami prasy lansującej nowe modowe trendy były kobiety o różnym statusie i poziomie zamożności, czyli dwóch podstawowych czynników wpływających na stan posiadanej garderoby. W redakcjach gazet zdawano sobie z tego doskonale sprawę, dlatego dbano również o mniej zamożne czytelniczki, starając się dostarczyć im wiele wzorów i przydatnych

porad dotyczących konstruowania osobistej garderoby. Słusznie zwracano uwagę, że na brak środków finansowych często narzekają młode kobiety, dla których szczególnie atrakcyjny wygląd był niezwykle ważny. Wychodząc naprzeciw ich potrzebom, doradzano im więc np., aby znalazły się w posiadaniu jednego kostiumu tailleur, skromnego, ale zarazem szykownego, do którego można dodać piękny żabot, dzięki czemu całość znakomicie się sprawdzi jako suknia wizytowa. Poza tym potrzebna była jeszcze druga, strojnieszka suknia, np. z jedwabiu, ładnie wykończona, którą będzie można założyć na wizyty wieczorowe, do teatru czy na koncert. Oczywiście nie można się obejść bez praktycznej sukni, noszonej na co dzień. W garderobie przydadzą się jeszcze lekko strojna bluzka i koronkowa chusteczka z muslinu oraz kilka żabotów. Dzięki takiemu podejściu można mieć skromną, ale jednocześnie elegancką i wielofunkcyjną garderobę.

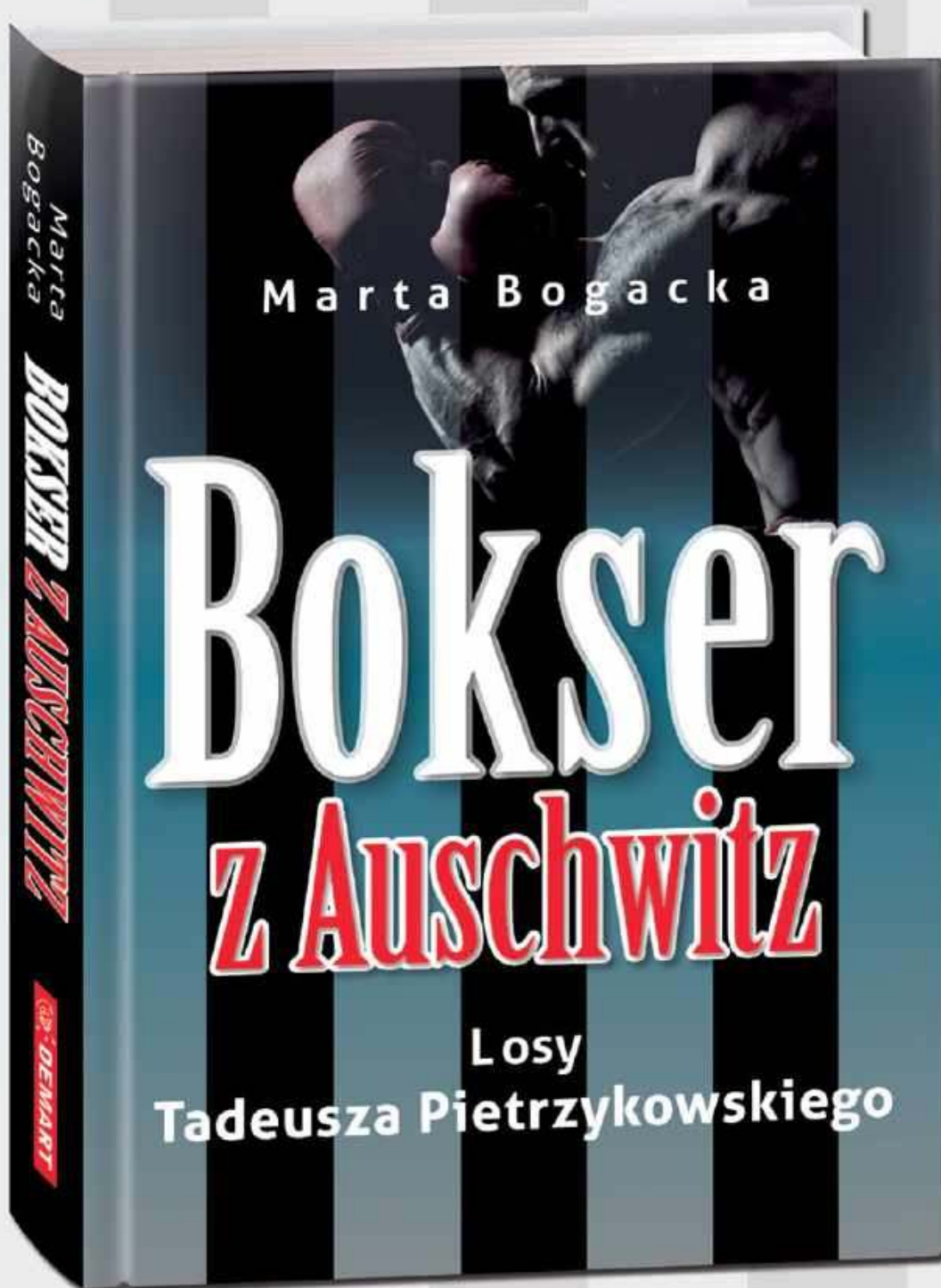
Konieczne uzupełnienie

Zarówno w pierwszych dekadach XIX, jak i XX w. niezwykle ważnym uzupełnieniem kreacji było nakrycie głowy. „Journal des dames” oraz inne pisma w obu tych okresach dostarczały wiadomości odnoszących się do modnych dodatków, lansując przy okazji nowości, rozbudzając wyobraźnię i pragnienia kobiet. Obie gwiazdy historii mody: Coco Chanel i Jeanne Lanvin, zaczynały jako modystki. Prawa mody i rynku były nieublagane – kiedy jakiś fason stał się zbyt popularny i nosiło go już zbyt wiele kobiet, czekał go rychły kres. Do smukłych kreacji z lat ok. 1909 do ok. 1912 zakładano znacznych rozmiarów wymyślne kapelusze, przystrojane piórami i kokardami. Nadawały one całej sylwetce kobiety niepowtarzalnego rysu. Dla wielu pań jednak moda ta była nieznośna i z utęsknieniem czekały na jej koniec.

Wybuch I wojny światowej spowodował poważne zmiany w modzie. W 1915 r. spódnice uległy skróceniu i poszerzeniu, ubiory stały się luźniejsze, choć trzeba przyznać, że nadal dość wymyślnie. Kobiety musiały wziąć na siebie wiele nowych obowiązków i prac. Domy mody zamknięto, a dodatkowe trudności w zaopatrzeniu sprawiły, że panie musiały być pomysłowe, jeśli chciały być modne. Kiedy brakowało wszystkiego, pozostawało sztukowanie, przerabianie i łatanie. Świat się zmieniał i nieuchronnie dążył do uproszczenia damskich kreacji. ■

Numer 77

mistrz, który bił Niemców jak chciał



DEMART

www.demart.com.pl



FOT. ANDRZEJ WIKTOR

Historia jak żywa

PRZYGODĘ Z OKŁADKAMI MAGAZYNU „wSIECI HISTORII” MOŻNA BYŁOBY ROZPOCZĄĆ OD WERSÓW AGNIESZKI OSIECKIEJ: „TO BYŁ MAJ, PACHNIAŁA SASKA KĘPA, SZALONYM, ZIELONYM BZEM...”, BO NA POCZĄTKU REDAKCJA MIEŚCIŁA SIĘ PRZY ul. SASKIEJ W WARSZAWIE, A PIERWSZY NUMER MIESIĘCZNIKA POJAWIŁ SIĘ W MAJU 2013 r.

Na początku okładki były ilustrowane, i to nie przez byle kogo: Marka Oleksickiego – autora serii komiksowej „Bradł”, Olgerda Ciszaka oraz Marka Madeja – współtwórców sukcesu gry „Wiedźmin”, Mariusza Kozika – autora ilustracji do kampanii reklamowych gier znanych na całym świecie („Rome”) oraz Emila Goskę, również odnoszącego sukcesy w dziedzinie digital painting, który finalnie wykonał dla nas najwięcej okładek. Pamiętam dzień, gdy redakcyjny kolega podekscytowany filmem „Bękarty wojny” westchnął rozmarzony, że fajnie byłoby na okładkach pokazywać zdjęcia odtwarzanych scen historycznych. Już wtedy współpracowałem z fotografem Andrzejem Wiktorem, w którego portfolio były m.in. portrety rekonstruktorów. Ich malarsko-filmowe oświetlenie dawało gwarancję, że nowa koncepcja okładek może wypalić. Na pierwszy ogień poszedł niezmiernie trudny temat do przedstawienia w jednym ujęciu – ratowanie Żydów przez Polaków podczas okupacji. Plan zdjęciowy powstał w mieszkaniu mojej cioci Marysi przy ul. Puławskiej (za co jeszcze raz dziękuję!). To wtedy mogłem się przekonać po raz pierwszy o kunszcie profesjonalnych rekonstruktorów. Krzysztof Zawidzki w mundurze oficera SS pijący herbatę przy stole, na którym stała patera z pączkami, wywoływał dreszcz. Obok przerażony Polak (Marcin Gniazdowski), a za jego plecami brutalny esesman (Piotr Szostak) szarpiący za włosy młodą Żydówkę, w której rolę wcieliła się Marta Węglarska. Obaj „Niemcy” byli członkami grupy GRF Bemowo, która później jeszcze 15 razy – przy różnych tematach – pojawiała się na naszych łamach. W mundurach Prusaków, Wehrmachtu, ZOMO, MO,

„Wyklętych” czy sowieckich wyzwolicieli wystąpili m.in. Artur Bielenin, Marcin Chojecki, Robert Kacprowicz, Piotr Kuchnio, Marcin Kożuch, Damian Parzelski, Mariusz Pawlik, Tomasz Prus, Krzysztof Wierzbicki, Przemysław „Wolf” Witowski. Tuż za GRF Bemowo pod względem liczby okładowych sesji zdjęciowych plasuje się Reko.Waw. Jan Natęć, założyciel grupy, historyk, archeolog, nauczyciel, to osoba wszechstronna, zawsze pełna energii i pomysłów. Zakres jego działalności rekonstrukcyjnej obejmuje okres od starożytnego Rzymu do PRL i formacji ZOMO.

Pojawienie się w naszej przygodzie Retro-Pasji Małgosi Retkowskiej i Michała Kępińskiego dodało nowych inspiracji. Kto był wypożyczalni kostiumów przy ul. Stępińskiej 3, wie, o czym mowa. Zawsze można też polegać na Grzegorzu Krynickim i SGH Zgrupowanie „Radosław”, nawet gdy trzeba wejść do rzeki po pas w wodę.

Ale okładki „wSieci Historii” to nie tylko II wojna światowa i stan wojenny. Marcin Lutomski i jego poznańska grupa Walhalla przywdziali zbroje oraz skóry, żeby oscarowo odtworzyć chrzest Mieszka i koronację Łokietka. Kompania Kaperska zabrała nas w rejs „Czarną Perłą” z samym królem Zygmuntem III Wazą (Marcin „Guta” Kuźma), Rycerze Gniewu pokazali żałobę nad mistrzem Ulrichem von Jungingenem (Jarosław Struczyński), Jacek Gradus oraz śp. Darek Senator z SHE im. 7. Pułku Lansjerów Nadwiślańskich odkryli tajemnice Kościuszki. Dobrym duchem wielu sesji był też Jan Meyer z Fundacji KPW. Zdjęcia okładowe na przestrzeni lat wykonali Andrzej Wiktor (99 proc.) oraz Cezary Pomykało i Jacek Szycht.

Wszystkim współpracującym przy okładkach dziękuję za pomoc w realizacji naszych sesji. Dzięki Waszej pasji historia jest żywa. ■

MICHAŁ KORSUN, DYREKTOR ARTYSTYCZNY „wSIECI HISTORII”

GRF Bemowo

Rok założenia: 2008; Liczba członków: 30
Informacje: www.grfbemowo.pl

Grupa Rekonstrukcyjno-Filmowa GRF Bemowo od początku była aktywnie zaangażowana w rekonstrukcję wydarzeń historycznych. Przełomem był debiutancki udział w produkcji serialu „Czas honoru”, gdzie mogliśmy zaprezentować na planie nasze mundury, sprzęt i wiedzę. Pracowaliśmy przy tym przedsięwzięciu nieprzerwanie przez siedem sezonów. Dziś na naszym koncie notujemy udział w ponad stu produkcjach telewizyjnych, filmowych i teatralnych. W ramach naszej działalności zajmujemy się kompleksową realizacją zamówień związanych z organizacją widowisk historycznych, inscenizacji oraz produkcji filmowych i telewizyjnych.

Na początku naszym głównym tematem, który przedstawialiśmy, była armia niemiecka z okresu II wojny światowej. Z czasem rozszerzaliśmy nasze zbiory o mundury różnych formacji, które działały na terenie Polski w czasie wojny. Obecnie posiadamy mundury większości formacji z tego okresu, mamy mundury, sprzęt i broń Wojska Polskiego, armii rosyjskiej, Wehrmachtu, US Army oraz żołnierzy Podziemia Niepodległościowego i Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.

Ciągle rozwijaliśmy nasze zbiory, dostosowując się do potrzeb naszych klientów. Skompletowaliśmy np. mundury z okresu I wojny światowej: pruskie, wojsk Rosji carskiej i bolszewickiej. Zbudowaliśmy własny park maszyn i współpracujemy z najwięk-

szymi kolekcjonerami pojazdów militarnych w Polsce.

Naszym celem jest przekazywanie wiedzy historycznej wszystkim miłośnikom historii oraz profesjonalna obsługa planów filmowych. Kierujemy się profesjonalizmem poprzez odpowiedni dobór sprzętu i wyposażenia oraz ciągłe pozyskiwanie nowych eksponatów.

Naszą ambicją jest możliwie najwierniejsze odtworzenie każdej formacji i profesjonalna prezentacja jej dla szerokiego kręgu publiczności. Dużą część naszej działalności stanowią tzw. żywe lekcje historii, które przeprowadzamy cyklicznie w szkołach lub na imprezach okolicznościowych.



FOT. ANDRZEJ WIKTOR



FOT. ANDRZEJ WIKTOR

REKO.WAW

Rok założenia: 1999; Liczba członków: 30
Informacje: www.reko.waw.pl

REKO.WAW to siedem znaków identyfikowanych z przedsięwzięciami rekonstrukcji historycznej w Polsce w ostatnich dwóch dekadach. REKO powstało ze scalenia trzech grup rekonstrukcji: „Najemnicy” (średniowiecze), „7. Pułk” (Piechoty Księstwa Warszawskiego), „Śródmieście” (1944). Od początku projekt prowadzi Jan Nałęcz, z wykształcenia archeolog i nauczyciel historii. REKO.WAW to zrzeszenie ludzi interesujących się żywą historią, archeologią eksperymentalną, militariami, dawnymi rzemiosłami, modelarstwem, grammi strategicznymi, techniką wojskową i wieloma innymi aspektami zjawiska zwanego rekonstrukcją historyczną. Naszym celem jest uczestnictwo i współtworzenie w kraju i za granicą wszelkiego rodzaju wydarzeń związanych z nowoczesnymi i alternatywnymi sposobami promocji wiedzy historycznej. Jeździmy na rekonstrukcje bitew, inscenizacje historyczne, turnieje rycerskie, festyny archeologiczne. Bierzemy udział w: konwentach, zawodach, obchodach rocznic wydarzeń historycznych, przemarszach, defiladach. Współpracujemy z muzeami, szkołami, ośrodkami kultury, instytucjami rządowymi, tworząc scenariusze, prowadząc lekcje żywej historii, gry terenowe, pokazy batalistyczne i rzemieślnicze, robimy wystawy, budujemy miniaturowe dioramy i duże scenografie. Występujemy w spektaklach, pracujemy na planach licznych filmów i seriali. Przykładem jest największe zeszłoroczne widowisko historyczne „Wdzięczni Bohaterom”, które mimo pandemii udało nam się stworzyć w setną rocznicę Bitwy Warszawskiej 1920 na Stadionie PGE Narodowym. Dwa lata wcześniej maszerowaliśmy w centralnej defiladzie wojskowej na stulecie niepodległości.

Rekonstrukcja to dla nas przede wszystkim hobby i pasja, również eksperyment, forma działalności zawodowej, naukowej, czasem aktywność sportowa. W naszych działaniach staramy się zaprezentować jak najwięcej aspektów z codziennego życia ludzi w przeszłości.

Retro-Pasje

Rok założenia: 2012;
Liczba członków: 200
Informacje: www.retopasje.pl

Historia Retro-Pasji zaczęła się w 2012 r., kiedy pasja i miłość połączyły Małgorzatę Retkowską i Michała Kępińskiego. Jednak korzenie tego projektu sięgają głębiej, gdyż tych dwoje było już wtedy doświadczonymi rekonstruktorami, twórcami i menedżerami. Małgorzata Retkowska zaczynała swoją przygodę z rekonstrukcją historyczną, piastując stanowisko dyrektora MDK w Mławie. W 2008 r. stworzyła Grupę Rekonstrukcji Historycznych Ludności Cywilnej „Mława” (obecnie GRHLC), która w szczytowym momencie liczyła ponad 180 osób i była pierwszą w Polsce grupą rekonstruktorów cywilnych. GRHLC brała udział w kilkudziesięciu rekonstrukcjach, w ponad 20 filmach i niezliczonych projektach edukacyjnych. Sztandarowym projektem Małgorzaty Retkowskiej było widowisko uliczne „Nalot bombowy na Mławę”.

Michał Kępiński, zafascynowany od najmłodszych lat historią Polski, a w szczególności okresem II wojny światowej i powsta-



FOT. ANDRZEJ WIKTOR

niem warszawskim, w 2004 r. był współtwórcą GH „Radosław”. W 2006 r. założył własną grupę GRH „Czata 49”. Równolegle rozwijał inną sferę swojej pasji – zajmując się okresem PRL, zwłaszcza komunistycznym aparatem represji. Efektem tych zainteresowań było założenie w 2005 r. pierwszej GRH Milicji Obywatelskiej.

Rok 2012 był przełomowy dla Małgorzaty i Michała, wtedy właśnie razem powołali do życia największy swój projekt: Retro-Pasje.

Coraz większe zapotrzebowanie branży filmowej na rekonstruktorów wymogło stworzenie zaplecza filmowego w postaci Agencji Artystycznej oraz wypożyczalni kostiumów historycznych. W 2016 r. powstał kolejny projekt: GRH „Dzieci Mokotowa”. Retro-Pasje wciąż się rozwijają, współpracując z wieloma rekonstruktorami, twórcami filmowymi i teatralnymi oraz z szeroko pojętą branżą kultury.

A miłość? Wciąż kwitnie!



FOT. ANDRZEJ WIKTOR

SGH Zgrupowanie „Radosław”

Rok założenia: 2005; Liczba członków: 67
Informacje: www.sghradoslaw44.pl

Wola, Stare Miasto, Czerniaków, Mokotów, Śródmieście – taki był w powstaniu warszawskim szlak bojowy Zgrupowania Armii Krajowej „Radosław”. Zgrupowania, w którego skład weszły legendarne oddziały: „Zośka”, „Parasol”, „Czata 49”, „Miotła”, „Pięść”, „Kolegium A” czy kobiece „Dysk”. 2,3 tys. żołnierzy „Radosława”, z biało-czerwonymi opaskami na rękawach, przez 63 dni bohatersko biło się z Niemcami.

Idealy, które im przyświecały, ich dzielność i determinacja stały się inspiracją do utworzenia Stowarzyszenia Grupa Historyczna „Zgrupowanie Radosław”. Jego celem jest przede wszystkim utrwalanie pamięci o Polskim Państwie Podziemnym i powstaniu warszawskim. Członkowie Grupy biorą udział w licznych przedsięwzięciach patriotycznych, ze szczególnym uwzględnieniem rocznic powstania warszawskiego i uroczystości związanych z walką o niepodległość w XX w.

SGH „Zgrupowanie Radosław” współpracuje z kombatanami z różnych środowisk kombatanckich i powstańczych. Członkowie Grupy mają zaszczyt pełnić służbę w pocztach sztandarowych oddziałów Zgrupowania AK „Radosław” oraz wielu innych. Od kilku lat bierzemy również aktywny udział w kolejnych etapach prac zespołu prof. K. Swagrzyska z Instytutu Pamięci Narodowej w zakresie poszukiwań szczątków naszych bohaterów.

Stowarzyszenie organizuje także liczne lekcje historii, spotkania z kombatanami,

pokazy rekonstrukcyjne, gry edukacyjne i wystawy. Wydajemy również własne publikacje oraz bierzemy udział w projektach filmowych poświęconych etosowi żołnierzy podziemia niepodległościowego. Od 2018 r. w ramach naszej działalności powstało Muzeum Pamięci Powstania Warszawskiego, znajdujące się w dawnej Reducie Banku Polskiego.

Naszą działalność traktujemy jako służbę pamięci, jako obowiązek wobec tych wszystkich, którzy walczyli o wolność naszej Ojczyzny. Chcemy ocalić od zapomnienia pamięć o tych, którzy dla wolnej Polski poświęcili życie.

WALHALLA

Rok założenia: 2001; Liczba członków: 30 osób, 3 konie
Informacje: www.walhalla.com.pl

Jesteśmy poznańską firmą, która zajmuje się rekonstrukcjami historycznymi. Jako jedyni w Polsce organizujemy inscenizacje historyczne w przedziale od antyku do wydarzeń II wojny światowej. Jesteśmy także pomysłodawcami i organizatorami festiwali oraz imprez popularyzujących archeologię doświadczalną i historię żywą. Piszemy programy i uświetniamy wiele ważnych imprez jubileuszowych, takich jak rocznice nadania praw miejskich, bitew czy innych ważnych wydarzeń historycznych. Nasza grupa od lat współpracuje z muzeami w Europie. Bierzemy też udział w ekranizacji filmów historycznych, gdzie odpowiadamy za układy walk, stroje i uzbrojenie. Możemy się poszczycić sukcesami na polu europejskiego ruchu rekonstrukcji historycznych, dzięki czemu jesteśmy częstymi gośćmi w Skandynawii, Niemczech, na Wyspach Brytyjskich, w Czechach itp. Oprócz zajmowania się organizacją imprez pragniemy popularyzować historię i tradycję naszych przodków. Tworzymy wystawy, nagrywamy w studio audiobooki nawiązujące do literatury historycznej, wydajemy publikacje. Nasze zaangażowanie i autentyczność działań zostały docenione przez wiele instytucji, w tym naukowych, dzięki czemu mieliśmy możliwość prowadzenia wykładów na uczelniach. Do naszych specjalności należą m.in. organizacja festiwali histo-



FOT. ANDRZEJ WIKTOR

rycznych i imprezy historyczne w czasie festynów miejskich, udział w produkcjach filmowych, przygotowujemy scenografię, szyczymy i wypożyczamy stroje z różnych epok. Przygotowujemy także niestandardowe lekcje żywej historii.

LANSJERZY

Rok założenia: 2011; Liczba członków: 15 osób, 10 koni
Informacje: www.facebook.com/Stowarzyszenie-Historyczno-Edukacyjne-im7-Pulku-Lansjerow-Nadwislańskich



FOT. ANDRZEJ WIKTOR

Nasze początki to nieformalna działalność grupy pasjonatów historii uczestniczących w rekonstrukcji historycznej okresu wojen napoleońskich jako 7. Pułk Lansjerów Nadwiślańskich. Formalnie stowarzyszenie zostało zarejestrowane w 2011 r. Głównymi członkami założycielami byli Jacek Gradus i Michał Malec oraz nieodżałowany przyjaciel śp. Dariusz Senator.

Obecnie do podstawowych zadań stowarzyszenia należy propagowanie tradycji oręża, podtrzymywanie świadomości narodowej oraz wspieranie wszelkich form działalności edukacyjnej odnoszących się do historii. Prowadzimy również muzeum, zarejestrowane w MKiDN, w którym gromadzimy pamiątki, eksponaty oraz wszelkie przedmioty związane z tradycją i historią Polski. Organizujemy lekcje historii w szkołach i instytucjach kultury, inscenizacje, wystawy, widowiska historyczne, pokazy mody. Bierzemy udział w produkcjach filmowych. Jesteśmy obecni na festynach i piknikach. Przeprowadzamy również warsztaty i gry edukacyjne o różnorodnej tematyce z zakresu historii i rękodzieła.

Zajmujemy się historią od XV do XX w. Swoimi działaniami obejmujemy tematy związane zarówno z wojskowością, jak i życiem codziennym społeczeństwa polskiego na przestrzeni wieków. Można nas spotkać m.in. na polach bitwy pod Grunwaldem, podczas przedstawiania hołdu ruskiego. Odtwarzamy sceny z powstań: kościuszkowskiego, listopadowego, styczniowego. Angażujemy się w rekonstrukcje bitew z okresu wojen napoleońskich, I wojny światowej, wojny polsko-bolszewickiej, kampanii wrześniowej 1939 r. Tworzymy sylwetki uczestników powstania warszawskiego, żołnierzy wyklętych i formacji Ludowego Wojska Polskiego. To szerokie spektrum aktywności umożliwia działanie w naszych szeregach osobom w różnym wieku, zarówno kobietom, jak i mężczyznom, interesującym się różnymi aspektami historii.

CYVILBANDE REGIMENT

Rok założenia: 2007; Liczba członków: 16

Informacje: www.facebook.com/CywilBande-Regiment/

Jesteśmy grupą rekonstrukcji historycznej, zajmujemy się tzw. żywą historią. Odtwarzamy nie tylko postacie żołnierzy: muszkieterów, pikinierów, ale także postacie czeladzi obozowej, czyli wszelkich cywilów żyjących obok wojska: kobiet, dzieci, rzemieślników czy muzyków. Interesujący nas okres historii to epoka Wazów, czyli pierwsza połowa XVII w.

Jako grupa i każdy z osobna staramy się najdokładniej odwzorować ubiór i ryś tunek żołnierzy, ich rodzin, rzemieślników. Pomagają nam w tym XVII-wieczne źródła pisane, obrazy, zbiory muzealne, współczesne opracowania i książki. Dzięki nabytej wiedzy, praktycznym doświadczeniom i naszym rzemieślnikom możemy odtworzyć świat przedmiotów, których używali ludzie w XVII w. Odtwarzamy też kulturę żołnierską i wojskową, na nowo odkrywamy XVII-wieczną dietę i pokarm dla głodnych żołnierskich żołądków, wyrafinowane przysmaki ze stołów mieszczan, a także pieśni i zabawy – pokarm dla duszy.

Bierzemy udział w inscenizacjach historycznych bitew w Polsce (Zamość, Gniew, Bolków, Tykocin, Radom, Warszawa, Lublin, Byczyna) oraz reprezentujemy Polskę i polską kulturę za granicą (Groenlo, Bourtange, Tata, Kamieniec Podolski, Beresteczko, Moskwa, Palmanova, Eliopoli).

W gronie przyjaciół organizujemy warsztaty historyczne, manewry oraz imprezy obozowe. Koordynujemy również wyjazdy Polskiego Regimentu na imprezy zagraniczne.

Grupa skupia pasjonatów z całego kraju, którzy uczestniczą w imprezach rekonstrukcyjnych jako mieszczanie, muzycy, rzemieślnicy czy też jako żołnierze w szeregach formacji cudzoziemskiego autoramentu.

Naszym motto jest sentencja „Tandem bona causa triumphat” („Wreszcie słuszna sprawa zwycięża”).



FOT. ANDRZEJ WIKTOR

INOIGICI

Rok założenia: 1999; Liczba członków: 20

Informacje: www.facebook.com/odn.inogici/



FOT. MATERIAŁY Z ARCHIWUM PIOTRA DELEJA

Oliwska Drużyna Najemna Inogici to grupa rekonstrukcji historycznej zajmująca się odtwarzaniem realiów średniowiecza, z naciskiem na rzemiosło wojenne. Założona została w marcu 1999 r., chociaż niektórzy członkowie działali wcześniej w szeroko pojętym ruchu rycerskim. Drużyna jest jednym z pionierskich tego typu projektów na Pomorzu.

Obecnie w ramach drużyny są dwa nurty: pierwszy to rekonstrukcja okresu wczesnego średniowiecza – czasów Wikingów i Słowian, czyli IX–XI w., druga grupa zajmuje się pierwszą połową XV w., ze szczególnym uwzględnieniem inscenizacji grunwaldzkiej. Inogici przez 20 lat wzięli udział w ponad 200 turniejach w całej Europie i Chinach. Członkowie drużyny na swym koncie mają wiele medali w mistrzostwach Polski i świata w walkach rycerskich i łucznictwie tradycyjnym.

– W latach 90. ubiegłego wieku było ogromne zapotrzebowanie wśród młodzieży na tworzenie bractw rycerskich. Były to czasy ogromnego rozkwitu tzw. ruchu rycerskiego. Po pierwszych rozczarowaniach stwierdziłem, że ludzie, z którymi się zetknąłem, nie do końca mają tę samą ideę co ja, i postanowiłem zrobić coś innego. Dla mnie, który swoje wartości wyniosłem z harcerstwa, najważniejsze były honor, męstwo i szlachetność, lecz również pokora i szacunek do innych – opowiada Adam „Benedict” Maślaczyk, założyciel i pierwszy kapitan drużyny. – Te wartości chciałem krzyczeć i przekazywać innym. Grupę, którą założyłem w marcu 1999 r., nazwałem Oliwską Drużyną Najemną Inogici, żeby nie nawiązywać w żaden sposób do tzw. wówczas rycerstwa. Członkowie drużyny podkreślają, że najważniejszym elementem była i jest możliwość zawarcia przyjaźni na całe życie. Przez 20 lat istnienia przewinęło się przez treningi ok. 200 osób, które bardzo często pozostają w serdecznych i bliskich relacjach, coraz rzadszych we współczesnym świecie.

PROJEKT WISŁOUJŚCIE

Rok założenia: 2017/2018, Liczba członków: 14
Informacje: www.facebook.com/projektwisloujscie/

Projekt Wisłoujście to grupa rekonstrukcji historycznych dedykowana załodze i mieszkańcom Twierdzy Wisłoujście oraz flocie królewskiej bitwy pod Oliwą. Obecnie Projekt Wisłoujście skupia się na okresach historycznych: XVI w.: Oblężenia 1577 r., kiedy załoga Twierdzy Wisłoujście dzielnie i skutecznie odparła ataki wojsk dowodzonych przez króla Stefana Batorego; XVII w.: Twierdza Wisłoujście jako baza królewskiej floty wojennej. Epizod znany jest dzięki wydarzeniom z poranka 28 listopada 1627 r. – bitwie morskiej stoczonej na redzie Gdańska pomiędzy flotą polską a eskadrą okrętów szwedzkich.

Twierdza Wisłoujście funkcjonowała w czasie wojny i pokoju, wśród garnizonowych obowiązków toczyło się zwykłe życie osady. Pomimo ciężkiej codziennej służby i szerzących się chorób załoga Twierdzy Wisłoujście i członkowie ich rodzin bawili się na festynach i uczestniczyli w różnych uroczystościach. Wizytacje znanych i możnych osobistości urozmaicały ich codzienną prozę życia. Armatniami salwami witano wielkie okręty oraz świętowano m.in. Boże Narodzenie, Wielkanoc, Zielone Świątki, przede wszystkim Nowy Rok. Natomiast salwą z muszkietów chętnie fetowano wizytacje urzędników gdańskich. Z okazji wizytacji dostojników w fortalicii organizowano



FOT. HOF FOTOGRAF

wystawne uroczystości, na stołach pojawiały się najlepsze wina i kulinarne specjały.

Docelowo chcemy jednoczyć wokół Twierdzy i żeglugi jej pasjonatów zarówno w cywilnej, jak i militarnej rekonstrukcji wszelkich epok dziejowych Gdańska i regionu Pomorza. Interesuje nas odtwarzanie formacji wojskowych, życia codziennego rodzin w Wisłoujściu, załóg okrętowych i żeglarzy oraz warsztatów rzemiosł.



FOT. KSENIA BOJKO

GRH „BLUSZCZ”

Rok założenia: 2009; Liczba członków: 15
Informacje: www.facebook.com/GRHBluszczy/

Zwykle rekonstrukcje historyczne kojarzą się z mundurami i bronią. Grupa Rekonstrukcji Historycznej „Bluszczy” stawia sobie za cel pokazanie losu kobiet w czasie działań wojennych oraz w czasach pokoju, co jest niezbędnym uzupełnieniem całości historycznych widowisk. Dlatego bierzemy udział nie tylko w inscenizacjach militarnych, ale także w pokazach mody retro oraz innych wydarzeniach kulturalnych, nawiązujących swoim charakterem do minionych dekad.

Z założenia jesteśmy grupą żeńską, nie ma jednak w żaden sposób charakteru ideologicznego, ale raczej praktyczny. Rekonstrukcja z udziałem kobiet, a szczególnie rekonstrukcja mody cywilnej, rządzi się swoimi prawami, zazwyczaj innymi od potrzeb i celów grup skupionych na militariach.

Zajmujemy się odtwarzaniem sylwetek kobiecych z lat 1900–1960. Pomysł na nazwę naszej grupy wziął się od tytułu kobiecego czasopisma „Bluszczy”, które ukazywało się w latach 1865–1939. Nasze działania obejmują rekonstrukcję strojów cywilnych z uwzględnieniem pełnej ich różnorodności – prezentujemy modę codzienną, wyjściową, balową, stroje sportowe czy okolicznościowe. Odtwarzamy także sylwetki militarne – sanitariuszek i członkiń służb pomocniczych z okresu II wojny światowej z różnych frontów, np. Lumberjills, czyli brytyjskich drwalek, czy pielęgniarek z DRK. Rekonstrukcja to dla nas nie tylko dobra zabawa, ale też styl życia. Na wspólnych wyjazdach staramy się odkrywać uroki dawnych rozrywek: zajmujemy się rękodziełem, gotujemy ze starych przepisów, strzelamy, gramy w brydża – i obowiązkowo kręcimy loki. Przez naszą pasję chcemy przekazać wiedzę o modzie, o sytuacji kobiet, o ich roli w społeczeństwie, a także o wartościach i kindersztubie, które obowiązywały w pierwszej połowie XX w., a dziś często idą w zapomnienie.

PRO ANTICA

Rok założenia: 2001; Liczba członków: 25
Informacje: www.facebook.com/ProAntica/

Stowarzyszenie Pro Antica powstało w 2001 r. i jest najstarszą istniejącą w Polsce grupą rekonstruującą historię militarną okresu Imperium Rzymskiego. Grupa to przede wszystkim Legion XIII GMV, czyli legion czternasty, bliźniaczy Marsa zwycięskiego. Legion ten był jednym z najdłużej istniejących w historii militarnej Rzymu, sformowany pierwotnie przez Juliusza Cezara w 58 r. p.n.e., pomimo strat w potyczkach i na polach bitew był formowany na nowo, by istnieć aż do schyłku epoki starożytnej.

Grupa jest nastawiona na krzewienie znajomości wojskowości Rzymu; poza najbardziej rozpowszechnionym obrazem legionisty z czasów schyłku I w. n.e. prezentujemy także rekonstrukcję uzbrojenia z bardzo obszernego, bo ponad 800-letniego, okresu od V w. BC do IV w. AD.

Specjalnością męskiej części grupy są pokazy musztry z komendami wydawanymi po łacinie. Jako grupa głównie militarnostyczna szczególną uwagę przykładamy do rynsztunku. Zależy nam, aby kopie uzbrojenia jak najbardziej oddawały realia minionych czasów. W obozowisku poza uzbrojeniem można zobaczyć, jak legionieści spędzali czas wolny, co jedli, gdzie spali,

FOT. MATERIAŁY PRASOWE PRO ANTICA



jakie gry były najpopularniejsze dawniej i czym różniły się od nam współczesnych.

Ponieważ członkami naszego stowarzyszenia są również kobiety, można się zapoznać z rekonstrukcją elementów stroju, biżuterii, wyposażenia damskiej części domostwa oraz posłuchać o roli i pozycji kobiety w antyku. Niekiedy można także spróbować potraw opisanych przez starożytnych.

W ciągu 20 lat działalności występowaliśmy w ponad 100 imprezach historycznych, w telewizji, reklamie, na okładkach gazet oraz książek popularnonaukowych. Stowarzyszenie składa się obecnie z 25 osób. Na przestrzeni lat współpracowało z nami ok. 120 osób. ■



FOT. ANDRZEJ WIKTOR

ZAMEK GNIEW

Rok założenia: 1996; Liczba członków: 45 osób, 35 koni
Informacje: www.facebook.com/HusariaPolskaPL

Husaria uznawana jest za najwspanialszy wytwór staropolskiej sztuki wojennej. To jedyny typ jazdy, która zachowała przez ponad sto lat absolutną sprawność, wobec zmieniającego się wokół sposobu wojowania. Husaria prawie zawsze stawiała przeciwko wielokrotnie przeważającej sile przeciwnika, pokonując wszelkie formacje kawaleryjskie i piechotne uderzeniem w zwartym szyku z kopiami. O spektakularnych triumfach husarii uczył szkoły wojskowe na całym świecie. W chorągwiach husarskich służyły elity Rzeczypospolitej. Husaria stanowi powód do niewyobrażalnej dumy dla wszystkich pokoleń Polaków.

W 2004 r., z inicjatywy Jarosława Struczyńskiego, kasztelana gniewskiego, list przypominający na zaciąg 20-konnej chorągwi husarskiej województwa pomorskiego otrzymał Jan Kozłowski, ówczesny marszałek, który porucznikostwo chorągwi powierzył właśnie Struczyńskiemu. W chorągwi służył ponad 45 osób płci obojga, w tym 10 niewiast skupionych w paradnym Poczcie Dam Chorągwi Husarskiej. Chorągiew stacjonuje w Zamku Gniew.

Jarosław Struczyński po studiach wrócił do Gniewu i jako dyrektor Miejsko-Gminnego Ośrodka Kultury realizował program korzystania, wytwarzania i upowszechniania kultury. Jest pomysłodawcą odbudowy i ożywienia Zamku Gniew, od ponad 25 lat jednego z głównych w Polsce ośrodków popularyzowania historii, tradycji oraz krzewienia patriotyzmu. Twórca i uczestnik wielu grup rekonstrukcji historycznej. Założyciel i członek chóru gregoriańskiego Schola Cantorum Gymnensis. Współzałożyciel Kapituły Rycerstwa Polskiego. Współorganizator inscenizacji bitwy pod Grunwaldem, odtwarzający rolę wielkiego mistrza Ulricha von Jungingena. Prekursor współczesnych konnych rycerskich turniejów kopijniczych w Polsce. Zwycięzca indywidualny w licznych turniejach rycerskich. Uczestnik wielu produkcji telewizyjnych i filmowych, promujących dziedzictwo kulturowe oraz historię Polski i Europy. ■

MORSKIE SUKI

Rok założenia: 2014; Liczba załogantek: 30
Informacje: www.facebook.com/femeagle/



FOT. ZUZANNA ANDRZEJCZAK

To my, Żeńska załoga „Orła Jumne”. Dziewczyny, rekonstruktorzy, koleżanki, drużyniczki. Niektóre z nas znały się wcześniej, niektóre poznały się dopiero na „Orle”.

Pomysł żeńskiej żeglugi narodził się w 2014 roku. „Orzeł Jumne” to należąca do skansenu wolińskiego replika wczesnośredniowiecznej łodzi, aktywnie wykorzystywana na wodzie, przez żądnych przygody rekonstruktorów, żeglarzy i wioślarzy. Zazwyczaj są to jednak mężczyźni – wprawianie „Orła” w ruch za pomocą pięciu par ciężkich drewnianych wiosł jest fizycznym wyzwaniem. Swoją wyprawę na „Orle” odbyli między innymi chłopcy z naszych drużyn – opowieści, które przywieźli, słuchałyśmy z wypiekami na policzkach. Co za przygoda! Wiosła, żagle, pełne morze, niespodziewane zmiany wiatru (ach, gdzie poniesie?), noclegi na łodzi, zapadające w pamięć momenty – te śmieszne, te groźne, te nostalgiczne... I pojawiło się takie wzdychanie pod nosem – też bym tak chciała! Czemu my tak nie możemy? No właśnie, dlaczego nie? I tak uformowała się żeńska załoga „Orła”.

Żeglujemy we wczesnośredniowiecznym ekwipunku, gotujemy i śpimy na łodzi. Oprócz niezmiennie żeńskiej załogi w rejsach udział biorą skipper i bosman – nasi przewodnicy i nauczyciele.

Przez te kilka lat zdążyłyśmy odbyć trzy rejsy na „Orle Jumne”. Gdy łódź trafiła do zaskłużonej renowacji, uznałyśmy, że wykorzystamy ten czas na pływanie i nabieranie doświadczenia na innych łodziach z epoki. Obecnie współpracujemy z innymi załogami, odbyłyśmy próbny rejs na Świętosławie II, planujemy kolejne. Za nami żegluga po Bałtyku i po Zalewie Szczecińskim, wizyty w pięknych portach, nocne przeloty pod żaglem... ale i zimne poranki, gwałtowne zmiany pogody i wielogodzinne trasy na wiosłach. Co przed nami? To samo! Tylko więcej i dalej. Nie składamy wiosł – do zobaczenia gdzieś na szlaku!

GRÓD POBIEDZISKA oraz DRUŻYNA GRODU POBIEDZISKA

Rok założenia: 2007; Liczba członków: 16
Informacje: www.facebook.com/GrodPobiedziska/

Jesteśmy grupą entuzjastów wczesnego średniowiecza. Zajmujemy się rekonstrukcją historyczną w wielkim stylu. Budując średniowieczne maszyny wojenne, chcieliśmy umożliwić pasjonatom historii uzyskanie podstawowej wiedzy o maszynach i technikach oblężniczych, bez której nie jest możliwe pełne zrozumienie idei architektury obronnej. Od lat zajmujemy się unikatowymi na skalę światową projektami, szczegółowo odtwarzając najróżniejsze konstrukcje na podstawie dostępnych źródeł. Dbamy, aby powstałe dzieła były nie tylko wierne historycznie, ale też maksymalnie interaktywne i bezpieczne, gdyż wyznajemy zasadę, że dla dzieci i młodzieży zabawa jest najlepszym sposobem na naukę. Efekty naszej pracy staramy się prezentować w miejscach często odwiedzanych, aby jak największej publiczności przekazać wiedzę o tej zapomnianej części naszego dziedzictwa kulturowego. Dotychczas nasze ekspozycje można było oglądać m.in. na zamkach w Malborku, Toruniu oraz Czersku. Obecnie przygotowane przez nas wystawy pokazywane są na przy ruinach Zamku „Krwawego Diabła” w Wenecji oraz w Grodzie Pobiedziska. Jako drużyna Grodu Pobiedziska koncentrujemy się przede wszystkim na broni miotającej. Oprócz katapult prezentujemy umiejętności strzelania z łuku i procy, a także miotania oszczepami oraz toporkami. Nasze zaangażowanie w pracę z dziećmi oraz nowatorskie metody uczenia poprzez zabawę były wielokrotnie nagradzane. Komes Grodu Pobiedziska jest z kolei członkiem Rady Naukowo-Programowej Szlaku Piastowskiego oraz członkiem Zarządu Kłastru Turystycznego Szlak Piastowski w Wielkopolsce. Nasze wystawy były wielokrotnie plenerami filmowymi polskich i zagranicznych stacji telewizyjnych. Między innymi na terenie wystawy maszyn oblężniczych w Malborku powstały zdjęcia do dwóch odcinków serii „Battle Castle” stacji BBC Channel.



FOT. ANDRZEJ WIKTOR

Wrzesień


**MICHAŁ
KOMUDA**
1 IX 1939

Wraz z niemieckim atakiem na Polskę w morze wyszły wszystkie polskie okręty podwodne: „Orzeł”, „Sęp”, „Wilk”, „Rys” i „Żbik”. Ich celem było ochranianie Półwyspu Helskiego. Mimo niemożności wykonania tego rozkazu i przegranej kampanii obronnej żadna ze wspomnianych jednostek nie została zatopiona ani nie wpadła w ręce wroga.


2 IX 1621

400 lat temu na chocimski obóz wojsk Rzeczypospolitej uderzyła ponad dwukrotnie liczniejsza armia sułtana Osmana II. Po prawie miesięcznych wyniszczających walkach, w trakcie których zmarł schorowany hetman wielki litewski Jan Karol Chodkiewicz, podjęto rokowania zakończone podpisaniem 9 października traktatu pokojowego kończącego turecki najazd.


6 IX 1831

190 lat temu, podczas powstania listopadowego, rosyjski feldmarszałek Iwan Paskiewicz rozpoczął atak na Warszawę, w trakcie którego zdołał zdobyć linię wolskich umocnień. Wznowione następnego dnia ciężkie walki doprowadziły do podpisania przez polskie dowództwo honorowej kapitulacji.


7 IX 1956

W Chorzowie przyszedł na świat legendarny lider zespołu Dżem, autor tekstów i ikona polskiego blues rocka, Ryszard Riedel. Mimo krótkiego, naznaczonego walką z narkotykowym uzależnieniem życia, na stałe wpisał się w historię polskiej muzyki popularnej, a jego utwory codziennie goszczą na falach stacji radiowych.


19 IX 1551

Urodził się przyszły pierwszy elekcyjny król Polski, Henryk Walezy. Po ucieczce z Rzeczypospolitej został ostatnim władcą Francji z dynastii Walezjuszów.


23 IX 1941

W Wielkiej Brytanii, po przeprowadzonym ćwiczeniu spadochronowym, wizytujący je Naczelnny Wódz gen. Władysław Sikorski powołał 1. Samodzielną Brygadę Spadochronową. Dowodzona przez płk. Stanisława Sosabowskiego elitarna jednostka, według niezrealizowanych planów, miała być pierwszym polskim oddziałem, który zostałby przerzucony do Polski.


24 IX 1821

200 lat temu urodził się poeta, dramatopisarz, prozaik i malarz, polski wieszcz Cyprian Kamil Norwid. Jego wybitna i wymagająca twórczość wyprzedziła czasy, w których żył. Poezja Norwida w pełni została odkryta dopiero kilkadziesiąt lat po jego śmierci, w okresie Młodej Polski.

➤ 12 IX 1916

W Piotrogradzie, w wieku niespełna 58 lat, zmarł jeden z twórców oraz najważniejszych ideologów polskiego ruchu narodowego, publicysta i socjolog, Zygmunt Balicki.

Początkowo, w trakcie studiów, związał się z kołami socjalistycznymi. Zaangażowanie to przyjęło bardzo aktywną, a nawet bezkompromisową, formę. W 1881 r., już po zakończeniu studiów, został współtwórcą Socjalistycznego Stowarzyszenia Lud Polski. Konsekwencją tej działalności było aresztowanie, a następnie opuszczenie kraju. W trakcie pobytu w Szwajcarii kontynuował edukację, czego uwieńczeniem była obrona doktoratu. To wówczas poznał działacza niepodległościowego, płk. Zygmunta Miłkowskiego, pod którego wpływem w 1887 r. wstąpił do tajnej Ligi Polskiej i zaczął się reorientować w stronę poglądów narodowych. Niebawem Balicki potajemnie udał się do kraju i powołał do życia konspiracyjny, akademicki Związek Młodzieży Polskiej „Zet”, który swym zasięgiem ogarnął trzy zabory. Sześć lat później, w oparciu o działaczy związanych z tą organizacją, wraz z Romanem Dmowskim i Janem Ludwikiem Popławskim doprowadził do przekształcenia Ligi Polskiej w Ligę Narodową, walnie przyczyniając się do rozwoju jej struktur. Współpracował również przy utworzeniu reprezentacji politycznej Ligi, Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego. Po powrocie z emigracji, w 1902 r. wydał swoją najważniejszą pracę „Egoizm narodowy wobec etyki”. Od 1908 r. redagował miesięcznik „Przegląd Narodowy”, który stał się głównym organem Narodowej Demokracji. Po wybuchu I wojny światowej został członkiem Komitetu Narodowego Polskiego i opowiedział się za walką zbrojną u boku Rosji. W trakcie pobytu w Piotrogradzie stan jego zdrowia zaczął się pogarszać. Zmarł na atak serca.



➤ 20 (lub 22) IX 1939

W zajętych przez Niemców Krakowie Polacy utworzyli jedno z pierwszych konspiracyjnych stowarzyszeń II wojny światowej – Organizację Orła Białego. Krok ten podjęto kilkanaście dni przed zakończeniem kampanii obronnej.

Niemieckie wojska zajęły Kraków rankiem 6 września 1939 r., przeprowadzając tego samego dnia łapanki uliczne. W mieście wprowadzono stan wojenny. Niebawem też cele więzienia policyjnego przy ul. Montelupich 7 zaczęły się wypełniać polskimi więźniami. W odpowiedzi na okupację miasta, 19 września wydano pierwszy numer konspiracyjnego pisma „Polska Żyje”. Natomiast najprawdopodobniej dzień później, nie czekając na zakończenie trwających na terenie kraju walk regularnych wojsk, powołano do życia Tajną Organizację Wojskową „Związek Orła Białego”, nazywaną później



Kazimierz
Kierzkowski

Organizacją Orła Białego. Jej twórcą i przewodniczącym był odpowiedzialny za rozwijanie struktur krakowskiej dywersji pozafrontowej mjr Kazimierz Kierzkowski „Prezes”. Zastępcą, a także komendantem głównym OOB, został niedawny szef sztabu 18. Dywizji Piechoty, ppłk Kazimierz Pluta-Czachowski „Gołdyn”. Natomiast funkcję drugiego zastępcy powierzono dowódcy oddziałów samoobrony powiatu Wyrzysk, komisarzycznemu prezydentowi Inowrocławia i członkowi sztabu Dowódcy Etapów Armii „Pomorze” oraz „Poznań”, ppor. Ludwikowi Muzyczce „Ludwikowi”. Wszyscy wymienieni oficerowie mieli za sobą służbę w Legionach Polskich i Polskiej Organizacji Wojskowej, a także pełnienie najwyższych funkcji w przedwojennym Związku Strzeleckim. Właśnie na bazie tej ostatniej organizacji, placówek dywersji pozafrontowej oraz członków Przysposobienia Wojskowego i harcerstwa postanowiono zbudować struktury OOB. Dzięki temu, jak pisał o początkach tego tajnego stowarzyszenia ppłk Pluta-Czachowski: „Nie trzeba było improwizować ani programu, ani zadań, ani kadr, ani stanów, gdyż wszystkie te elementy już istniały. Zbierano się tylko z wojennego rozproszenia lub rozbicia i przestawiano z dotychczasowego współdziałania z wojskiem i władzami państwa na działalność w nowym położeniu”. Celem organizacji było wypełnienie pustki powstałej w wyniku niepowodzeń frontowych, izolacji oblężonej Warszawy i utraty łączności z rządem RP, a także pokierowanie rozbudzoną wśród obywateli chęcią oporu przeciw najeźdźcy. Przyjęty sposób działania zaowocował szybkim rozrostem szeregów OOB oraz tworzeniem jej struktur w kolejnych województwach. Prowadzono akcje dywersyjne, wywiadowcze, propagandowe oraz uruchamiano trasy kurierskie. Jednocześnie od początku dowódcy OOB podkreślali konieczność nawiązania łączności z władzami centralnymi. Dlatego już w październiku 1939 r. organizacja podporządkowała się Dowódcy Głównemu Służby Zwycięstwu Polski gen. Michałowi Karaszewiczowi-Tokarzewskiemu, a na początku kolejnego roku scalila się ze Związkiem Walki Zbrojnej.

Październik

3 X 1501

Obradujący w Piotrkowie sejm obrał Aleksandra Jagiellończyka królem Polski. Trwające niespełna pięć lat panowanie było ważnym okresem dla kształtowania się demokracji szlacheckiej.



7 X 1641

Na dziedzińcu Zamku Królewskiego w Warszawie władający Prusami Książęcy margrabia brandenburski Fryderyk Wilhelm Hohenzollern złożył królowi Władysławowi IV ostatni w historii hołd lenny.



14 X 1861

W odpowiedzi na organizowane przez Polaków manifestacje patriotyczne car Aleksander II nakazał wprowadzić na terenie Królestwa Kongresowego stan wojenny. Ograniczenia swobód zostały narzucone polskiemu społeczeństwu dokładnie dzień przed rocznicą śmierci Tadeusza Kościuszki.



19 X 1991

W Warszawie zmarł uczestnik wojny polsko-bolszewickiej, kampanii wrześniowej i Powstania Warszawskiego, publicysta oraz pisarz, ksiądz Jan Zieja. W trakcie swojej wieloletniej posługi duszpasterskiej, podczas okupacji był kapłanem podziemia niepodległościowego, a także współpracownikiem Rady Pomocy Żydom „Żegota”, a w okresie PRL działaczem opozycyjnym i współtwórcą Komitetu Obrony Robotników.



21 X 1831

Niepokonana w walce załoga twierdzy Zamość podpisała z rosyjskim dowództwem akt honorowej kapitulacji. Był to ostatni polski bastion powstania listopadowego i złożenie broni przez jego komendanta gen. Jana Krysińskiego stało się finalnym akordem całej insurekcji.



24 X 1946

Pod wsią Malinówka zostali zamordowani dowódca Samodzielnego Batalionu Operacyjnego Narodowych Sił Zbrojnych, mjr Antoni Żubryd „Zuch” oraz jego żona, Janina. Zabójstwo zostało wykonane na polecenie Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego przez uprzednio wprowadzonego do oddziału agenta, późniejszego reżysera i scenarzystę, Jerzego Vaulina.



26 X 1956

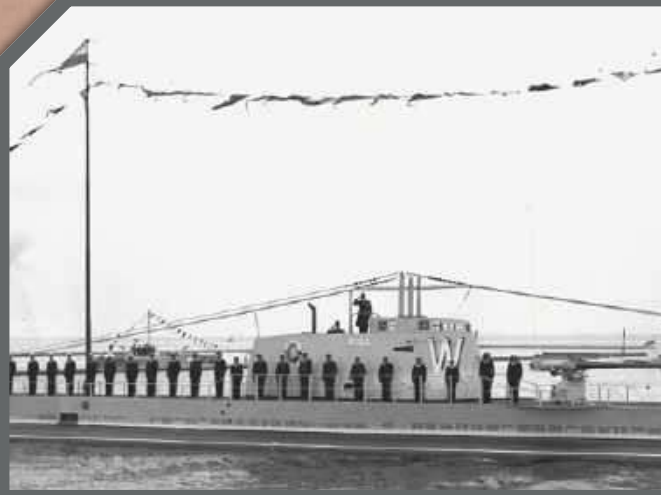
Po ponad trzech latach internowania przez komunistyczne władze uwolniony został prymas Polski Stefan Wyszyński. Jak odnotował w swoim dzienniku: „O godzinie 9.00 rano zgłosili się do klasztoru w Komańczy wiceminister Sprawiedliwości Zenon Kliszko i poseł Władysław Bieńkowski, z polecenia Władysława Gomułki [...]. Oświadczyli mi, że przybywają z ramienia towarzysza Wiesława, dla przedłożenia pewnych spraw do rozważenia. Nowy Sekretarz PZPR stoi na stanowisku, że konieczny jest jak najszybszy powrót Prymasa do Warszawy i objęcie urzędowania”.



27 X 1939

Niemiecki okupant aresztował prezydenta Warszawy Stefana Starzyńskiego, symbol niedawno zakończonej obrony stolicy. Choć Służba Zwycięstwu Polski podjęła przygotowania do jego uwolnienia, z obawy przed niemieckim odwetem na ludności cywilnej Starzyński zrezygnował z ucieczki, która mogła go uratować od stracenia.





➤ 2 X 1939

Na broniony od pierwszych godzin II wojny światowej Półwysep Helski wkroczyły niemieckie wojska. Polscy dowódcy, mimo walki prowadzonej samotnie oraz kapitulacji, do końca zachowali godną postawę.

W trakcie ponad miesięcznych wrogich natarć Hel był bombardowany przez Luftwaffe, ostrzeliwany przez artylerię dalekosiężną, a także działa okrętów Kriegsmarine. Jednocześnie od strony Władysławowa trwały ataki lądowe. Mimo oczywistej dysproporcji sił i braku szans na pomoc polska obrona, na czele z załogą baterii im. Heliadora Laskowskiego, prowadziła równą walkę, zestrzeliwując niemieckie samoloty i rażąc okręty. Na jej czele stał dowódca Obrony Wybrzeża kadm. Józef Unrug oraz dowódca Rejonu Umocnionego Hel kmdr Włodzimierz Steyer. Gdy 28 września padła Warszawa, a dzień później Twierdza Modlin, Hel został ostatnim bastionem. Ostatecznie 1 października pojawiło się widmo wyczerpania amunicji i polska strona podjęła rokowania. Jeszcze tego samego dnia kmdr Marian Majewski i kpt. Antoni Kasztelan udali się do sopockiego Kasino-Hotel, gdzie wynegocjowali akt honorowej kapitulacji. Przed wyznaczonym na następny dzień wkroczeniem Niemców niszczone lub zatapiano broń, stanowiska artyleryjskie, zamki dział, dokumenty oraz pieniądze. Jednocześnie za przyzwoleniem polskiego dowództwa podejmowano próby ucieczek przez morze. Gdy 2 października do helskiego portu przyplłynął kadm. Hubert von Schmundt, rozmawiający z nim dawny oficer Kriegsmarine (na fot. trzeci od lewej), kadm. Unrug (na fot. trzeci od prawej) nie zgodził się przejść na język niemiecki. Z kolei ranny dowódca baterii Laskowskiego, kpt. Zbigniew Przybyszewski, usłyszawszy rozkaz zdania broni, ostentacyjnie minął wrogich oficerów i na ich oczach cisnął swój kordzik w morze.

➤ 31 X 1931

We francuskim porcie Cherbourg podniesiono banderę na okręcie podwodnym ORP „Wilko”. We wrześniu 1939 r. został pierwszą z dwóch polskich jednostek, które po walkach w obronie Półwyspu Helskiego zdołały się przedrzeć do Wielkiej Brytanii.

Budowę „Wilka” rozpoczęto we Francji w 1927 r., a dwa lata później zwodowano go jako pierwszy z zamówionych przez Marynarkę Wojenną okrętów torpedowo-minowych. Na podstawie wspomnianego kontraktu wybudowano i w 1931 r. przekazano II RP „Rysia” oraz „Wilka”, a rok później „Żbika”. Wszystkie one docelowo utworzyły Dywizjon Okrętów Podwodnych, który w okresie międzywojennym prowadził działania szkoleniowo-rozpoznawcze oraz uczestniczył w wizytach zagranicznych. Już w 1939 r.

zespół został wzmocniony dwoma nowoczesnymi okrętami torpedowymi – „Orłem” oraz „Sępem”. Rankiem 1 września ORP „Wilko”, zgodnie z planem przygotowanym przez kmdr. por. Aleksandra Mohuczego, opuścił Gdynię i wraz z całym dywizjonem rozpoczął swoją pierwszą w historii operację bojową. Jak relacjonował służący na tym okręcie por. Bolesław Romanowski: „Wyszliśmy szybko z portu i – gdy tylko głębokość nam pozwoliła – zanurzyliśmy się. [...] otrzymaliśmy sygnał: »Otworzyć kopertę X«. Zawierała ona zarządzenie następującej treści: »Wojna z Niemcami, rozpocząć operację »Worek«”. Zgodnie z jej założeniami dowodzony przez kpt. Bogusława Krawczyka ORP „Wilko” przystąpił do obrony Półwyspu Helskiego, operując w rejonie wejścia do Zatoki Gdańskiej. Drugiego dnia wojny, w trakcie próby ataku na wrogi niszczyciel, został wykryty. Niemieckie jednostki błyskawicznie przystąpiły do kontrataku za pomocą bomb głębinowych, w wyniku czego polski okręt nie tylko został uszkodzony, lecz poprzez wyciek paliwa zdradzał swoją pozycję. Mimo to dowódca ORP „Wilka” po kilku godzinach zdołał się wymknąć pościgowi. Kolejne dni przyniosły dalsze, nieustanne ataki ze strony niemieckiej floty i lotnictwa, które zmuszały załogę okrętu do schodzenia na głębokość przekraczającą wytrzymałość kadłuba. Pomimo tak tragicznej sytuacji kpt. Krawczyk zdołał wykonać powierzone mu zadanie stawiania zapory minowej. Z wyznaczonego sektora odszedł dopiero na rozkaz 9 września. Polskie dowództwo, wiedząc o uszkodzeniach ORP „Wilka”, poleciło mu udanie się na internowanie do Szwecji lub podjęcie ryzykownej próby przebicia się do Wielkiej Brytanii. Załoga wybrała kontynuowanie walki i poprzez Sund, 20 września, na resztkach paliwa dotarła do brytyjskich wybrzeży. Dumny moment wejścia do sojuszniczego portu opisał por. Romanowski: „Każy okręt, który mijaliśmy, witał nas trzykrotnym okrzykiem »hurrey!« wznoszonym przez załogę. Na większych okrętach poprzędzony był zapowiedzią podaną przez rozgłośnie: Salut to the brave Polish submarine!”. ORP „Wilko”, podobnie jak ORP „Orzeł”, który przedarł się prawie miesiąc później, wykonywał u boku Royal Navy patrole bojowe. Po odniesieniu w ich trakcie uszkodzeń został w sierpniu 1941 r. wyremontowany, a następnie przesunięty do działań szkoleniowych. Po wojnie historyczny okręt powrócił do komunistycznej Polski, gdzie został niestety zezłomowany.

PIECZĘCIE KRÓLEWSKIE



Lakowa pieczęć sygnetowa
Stanisława Leszczyńskiego (1725 r.)



**JACEK
KROCHMAL**

Atrakcyjność pieczęci od dawna była powodem zainteresowań kolekcjonerów, którzy niestety nie zawsze pamiętają o jej integralnym związku z dokumentem. Nieodpowiedzialne poczynania części z nich spowodowały, że w wielu archiwach znajdujemy dziś liczne dokumenty pozbawione pieczęci, choć – co oczywiste – ich utrata była spowodowana także innymi przyczynami. Mają one związek z długimi losami archiwów, w tym stratami wojennymi i przemieszczeniami zasobu. Biorąc pod uwagę liczbę właścicieli (dysponentów) i odmian pieczęci wytworzonych na przestrzeni kilku stuleci, od średniowiecza do końca XVIII w., najwięk-

**NIEODŁĄCZNYM
ELEMENTEM DOKUMENTU
BYŁA PIECZĘĆ,
UWIERZYTELNIAJĄCA
JEGO TREŚĆ,
A ZARAZEM
NIOŚĄCA
PRZEKAZ
INFORMUJĄCY
O JEGO WYSTAWCY.
Z TEGO POWODU
PIECZĘCIE, NIEZALEŻNIE
OD SAMYCH
DOKUMENTÓW, STAŁY
SIĘ PRZEDMIOTEM
BADAŃ HISTORYCZNYCH,
SFRAGISTYCZNYCH,
HERALDYCZNYCH
I GENEALOGICZNYCH**

szy ich zbiór w Polsce jest przechowywany w Archiwum Głównym Akt Dawnych w Warszawie. Szczególne znaczenie mają wśród nich pieczęcie władców, nie tylko polskich, lecz także obcych. Wynika to z charakteru AGAD, gromadzącego archiwalia wytworzone zarówno w polskich kancelariach książęcych i królewskiej, jak i dokumenty przysyłane z kancelarii papieskiej, cesarskiej, dożów weneckich oraz królów i książąt z niemal wszystkich chrześcijańskich państw europejskich, a także przez sułta-

nów tureckich, szachów perskich i chanów krymskich. Spośród tysięcy dokumentów zgromadzonych w AGAD tylko przy części do naszych czasów zachowały się pieczęcie. Bezcenne, choć wykonywane w schematyczny sposób, z przedstawieniem świętych Piotra i Pawła Apostołów, są ołowiane bulle kolejnych papieży, spośród których najstarsza jest pieczęć Honoriusza III z dokumentu z 1219 r. Do ciekawszych należy odcisnięta w wosku zabarwionym na zielono pieczęć króla Francji Filipa Pięknego z dokumentu z 1301 r. Na uwagę zasługują też liczne pieczęcie cesarskie, poczynając od Maksymiliana I z dokumentów z 1515 i 1518 r. i Karola V przy dokumentach z 1549 i 1553 r., a kończąc na pieczęciach cesarzowej Marii Teresy (1758, 1775, 1778, 1780) oraz cesarza Józefa II (1780) i Franciszka II (1797 i 1800). W AGAD znajdziemy również pieczęć carycy Elżbiety I przy dokumencie z 1742 r. i cara Pawła I z 1798 r. Co oczywiste, w AGAD jest też okazały zbiór pieczęci XIX-wiecznych, by dla przykładu wymienić pieczęć cesarską Napoleona Bonaparte'go.

Najwięcej jest pieczęci władców polskich. Najstarsze z nich to pieczęcie książąt piastowskich z okresu rozdrobnienia dzielnicowego. Należy do nich pieczęć konna Konrada I Mazowieckiego spod dokumentu z 1220 r. i pieczęć księcia Władysława Łokietka, „dziedzica Królestwa Polskiego”, przy dokumencie potwierdzającym przywileje miasta Kalisza z 1314 r. Pamiątką po czasach książąt piastowskich, przez dwa stulecia utrzymujących niezależność od zjednoczonego Królestwa Polskiego, jest pieczęć herbowa ostatnich książąt mazowieckich Stanisława i Janu-

**Tłok pieczęci
wielkiej litewskiej
Jana III Sobieskiego
(1676 r.)**



Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego. Są to więc wielkie, średnie i mniejsze pieczęcie koronne lub litewskie. Pieczęcie królewskie przedstawiają herby państwowe, najpierw z czasów Królestwa Polskiego jest nim koronowany Orzeł, któremu od czasów unii polsko-litewskich towarzyszy

(„Dei gratia regie senioris Poloniae”), siostrę Kazimierza Wielkiego, która po jego śmierci w latach 1370–1380 sprawowała w Polsce rządy regencyjne w imieniu swego syna, króla Ludwika Węgierskiego.

Zadna pieczęć nie mogłaby powstać bez typariusza, czyli tłoka pieczętnego. Jego unikatowy egzemplarz zachował się w AGAD. Jest nim srebrny tłok pieczęci wielkiej litewskiej króla Jana III. Mówiąc o tłokach pieczętnych, warto dodać, że nie zawsze po śmierci króla niszczonego używany przez niego typariusz, ten bowiem niekiedy dziedziczyli po nim jego następcy. Dowodem na to jest analiza odcisków pieczętnych, w których odnaleźć można wyraźne przeróbki w legendzie polegające na zmianie imienia króla. Ślady wskazujące na dziedziczenia typariusza

Pieczęć króla Władysława Jagiełły (1434 r.)

sza III spod dokumentu z 1523 r. Mówiąc o polskich pieczęciach królewskich przechowywanych w AGAD, należy pamiętać o ich różnorodności wynikającej z formy kancelaryjnej, materiału użytego do odcisnięcia czy wreszcie samego sposobu przymocowania pieczęci do dokumentu. Były to więc pieczęcie woskowe odciskane w wosku naturalnym (żółtym), jak i pieczęcie barwione na czerwono. W różny sposób mocowano je do dokumentu pergaminowego lub papierowego, co czyniono za pomocą sznurów albo paska pergaminowego. Odcisk pieczęci był zabezpieczany przez umieszczenie w woskowej miseczce lub drewnianej albo metalowej puszcze. Z czasem, gdy z kancelarii królewskiej każdego dnia wychodziły bardzo liczne dokumenty spisywane na papierze, pieczęcie odciskano już bezpośrednio na nich, często w wosku przez papier. W połowie XVII w. oprócz powszechnie używanego wcześniej wosku do pieczętowania dokumentów zaczęto wykorzystywać także łatwiejszy w użyciu lak, zwykle barwiony na czerwono, choć królowa Maria Kazimiera Sobieska do pieczętowania korespondencji używała laku czarnego.

Zgromadzone w AGAD pieczęcie polskich królów i królowych występują aż w 205 odmianach. Zachowały się pieczęcie wszystkich królów, począwszy od Władysława Łokietka aż do Stanisława Augusta. Są one znane z różnych odcisków. Występują więc pieczęcie majestatyczne, pieczęcie wielkie, średnie, mniejsze, małe, sygnetowe i gabinetowe (tych ostatnich używał August II). Z czasów Rzeczypospolitej znane są odrębne pieczęcie kancelarii

Pieczęć królowej Anny Jagiellonki (1581 r.)

Pogoń. Za panowania królów elekcyjnych uzupełnieniem herbu Rzeczypospolitej był herb aktualnego władcy umieszczany zwykle w tarczy sercowej (środkowej). W najbardziej dostojnych, ale też największych, sięgających 13 cm średnicy, pieczęciach majestatycznych oraz pieczęciach wielkich były umieszczane także herby ziem znajdujących się pod berłem aktualnego władcy.

Na uwagę zasługują pieczęcie polskich królowych. Wśród nich są zarówno pieczęcie koronowanych królewskich małżonek (Zofia, Elżbieta, Bona, Konstancja, Cecylia Renata, Ludwika Maria, Eleonora, Maria Kazimiera, Maria Józefa), jak i królowych, które były polskimi monarchami. Jest tutaj mowa o królowych Jadwidze i Annie. Na pieczęci Jagiellonki, oprócz herbu Rzeczypospolitej (Orla i Pogoń), w tarczy sercowej widnieje jeszcze herb Sforzów odziedziczony po jej matce – Bonie. Mówiąc o władczyniach, trzeba wymienić także, nieco dziś zapomnianą, Elżbietę Łokietkównę

Pieczęć majestatyczna Kazimierza Wielkiego (1367 r.)

odnajdujemy w odciskach pieczęci synów Zygmunta III – Władysława IV i Jana Kazimierza, oraz w pieczęci Augusta III używającego typariusza odziedziczonych po Augustie II. Co oczywiste, praktyka dziedziczenia typariusza była sporadyczna i wymienieni władcy mieli także swoje nowe pieczęcie.

Opisane pieczęcie znajdują się w kilku zespołach i zbiorach archiwalnych przechowywanych w AGAD: w zbiorach pieczęci pergaminowych i papierowych, w Archiwum Warszawskim Radziwiłłów, Archiwum Zamoyskich, Archiwum Publicznym Potockich, tzw. metryce Litewskiej, Zbiorze Aleksandra Czołowskiego, Zbiorze Sfragistycznym i innych.



Polska piechota
w marszu

OSTATNIE ROZKAZY II RP

**DZIAŁANIA
SAMODZIELNEJ
GRUPY OPERACYJNEJ
„POLESIE” PODCZAS
WOJNY OBRONNEJ
1939 r. SĄ DOBITNYM
DOWODEM TEGO, ŻE
W MOMENCIE KRYZYSU
TO WŁAŚNIE WOJSKO
POLSKIE POZOSTAJE
OSTATNIĄ OSŁONĄ
STRUKTUR POLSKIEJ
PAŃSTWOWOŚCI**



**RAFAŁ
KIERZKOWSKI**

Na tragedię strategicznego położenia Polski we wrześniu 1939 r. złożyły się tysiące małych aktów dramatu na poziomie taktycznym, których uczestnikami były poszczególne oddziały Wojska Polskiego. Heroizm żołnierzy nie ograniczał się do pola bitwy, gdzie – jak wiemy z przykładów Mokrej, Mławy, Oksywiu czy Jordanowa – mimo przygniatającej niekiedy przewagi wroga Polacy potrafili skutecznie zatrzymać nieprzyjaciela i zadawać mu ciężkie straty. Takiego samego bohaterstwa i samozaparcia wymagał niekończący się wrześniowy marsz polskiego żołnierza wy-

wołany ciągłą zmianą sytuacji na froncie. Dziesiątki kilometrów na dobę, z pełnym obciążeniem, z bronią, amunicją, ciężącym tornistrem, pokonywane często nocą, bez zaopatrzenia, należytego odpoczynku, w stałej gotowości do walki. Poranione stopy polskiego piechura, odparzone nogi ułanów, skrwawione kopyta i pęciny ich koni – to obrażenia nie mniej godne od tych zadanych kulami i odłamkami pocisków wroga... Szacunek i pamięć należą się tym, którzy walczyli, maszerowali oraz ginęli przez wszystkie pięć kolejnych tygodni września. Trzeba jednak pamiętać też o tych, dla których wojna obronna nie skończyła się w tamtym miesiącu.

Tych, którzy oparli się demoralizacji...

Pogarszająca się sytuacja na linii frontu i niemieckie zagony, które z kierunku Prus Wschodnich i Słowacji zagroziły swoją obecnością środkowym obszarom Polski, spowodowały konieczność organizowania doraźnych struktur mogących stawić opór wewnątrz kraju. Cechy trwałej improwizacji, która została następnie profesjonalnie scementowana, nosiła przeciwieśną organizację obrony Warszawy czy Lwowa. W podobny sposób musiały zareagować ośrodki położone na Kresach Wschodnich, m.in. na obszarach Polesia. Rozpatrywane dotychczas głównie jako zaporę przeciwko

bolszewikom, poleskie bagna w drugim tygodniu września zostały przez Sztab Naczelny Wodza uwzględnione również w planach przeciwko niemieckiej ofensywie. Było to możliwe dzięki istnieniu w miastach takich jak Brześć, Kobryń, Baranowicze czy Pińsk struktur wojskowych, Komend Rejonów Uzupełnień i ośrodków zapasowych. Mimo ciężkiej sytuacji, bombardowań, pożarów i działalności sowieckiej dywersji (a na południu obszaru również ukraińskiej) trwały one na posterunku, mobilizując społeczeństwo do walki. Ochotnicy i żołnierze rezerwy, pomni przysięgi wojskowej, mimo skrajnego zmęczenia nie rzucili karabinów, lub z kartami mobilizacyjnymi byli w stanie maszerować po mundur i broń do ośrodków zapasowych dziesiątki i setki kilometrów. Nie załamali się nawet po 17 września, kiedy po sowieckiej agresji Polska musiała rozpocząć walkę na dwa fronty.

Z dalekiego Polesia...

Gen. Franciszek Kleeberg, dowódca Okręgu Korpusu Nr IX Brześć, rozkaz organizacji obrony na linii poleskich bagien pomiędzy Brześciem, Pińskiem a wschodnią granicą RP otrzymał 9 września. Wymagało to objęcia komendą i łącznością wszystkich struktur wojskowych, jakie znajdowały się na tym rozległym obszarze. Pod komendę gen. Kleeberga trafiły m.in. Flotylla Pińska i ośrodki zapasowe 9, 20 i 30 Dywizji Piechoty. Działania osłonowe na tej linii i walki z niemieckim XIX Korpusem Pancernym trwały kilka dni. Agresja sowiecka zniweczyła ostatecznie realizowane plany obronne. Wychodząc spod ciężkich nacisków niemieckich i sowieckich kleszczy, gen. Kleeberg przegrupował swoje wojska na południe w rejon Kowla i Włodawy, tocząc walki z ukraińskimi oraz komunistycznymi dywersantami, a także z niemieckimi i sowieckimi patrolami. Zbierał i porządkował napotkane grupy żołnierzy z rozbitych jednostek, którzy chcieli walczyć dalej. Przyjmował też pod komendę nierozbite jednostki, m.in. Dywizję Kawalerii „Zaza” gen. Zygmunta Podhorskiego, z którą nawiązał kontakt drogą lotniczą, i pododdziały Korpusu Ochrony Pogranicza. Pierwotny zamiar, aby iść na pomoc walczącej stolicy, upadł w momencie jej kapitulacji. Nowa sytuacja wymagała nowych rozkazów.

Sam. Grupa Op. Polesie.
L. dz. 1/5/Op.
M.p., dnia 5.X.1939 r. godz. 16.30.

Żołnierze.
Z dalekiego Polesia z nad Barw, z jednostek, które się
spary w Kewli demoralizacji - zebratem was pod swoją komendą.
Chciałem iść wpiern na południe - gdy to stało się
niemieckim - nieśco pewno Warszawa.
Warszawa padła nie daliśmy.
Nimie to nie strasiliście nadzieli i walczyliscie dalej.
Najpierw z bolszewikami - ostatnie w trzydniowej
bitwie pod Gierakami z Niemcami.
Wykazaliście hart i odwagę w naszej zwycięstwie i dechawa-
liście wiarę Ojczyźnie do końca.
Dziś jesteśmy stoczni, a amunicja i żywność jest na
wyczerpaniu.
Dalsza walka nie rekuje nadzieli, a tylko rozleje krew
żołnierską, która jeszcze przydać się może.
Przywilejem dowódcy jest brać odpowiedzialność na sie-
bie.
Dalsz bierzę ja w tej najcięższej chwili - każę zapra-
wić walki by nie przelano krwi żołnierskiej nadaremno.
Dziękuję was za waszą odwagę i waszą karność - wiem,
że staniecie gdy będzie trzeba.
Jeszcze Polesie nie aginęła. I nie aginie.
Pewnyś reakcja przyczyniła przed frontem wszystkich
oddziałów.

Rozdzielnik operacyjny.

Dowódca S.G.O. Polesie
K L E E B E R G
Gen. bryg.

Ostatni rozkaz gen. Kleeberga

Na kierunek marszu gen. Kleeberg wybrał Kock i Dęblin. Przedzierając się w ciągłym boju, w celu kontynuowania walki postanowił zaopatrzyć swoje liczące już ok. 20 tys. żołnierzy oddziały w amunicję z magazynów wojskowych na Stawach koło Dęblina. SGO „Polesie” była na tym etapie dobrze zorganizowanym, choć złożonym z przeróżnych rodzajów wojsk i oddziałów, zbrojnym organizmem. W zachowanych rozkazach gen. Kleeberga widnieją jasne polecenia kierunków marszu i zadań bojowych, organizacji taborów, zaopatrzenia, obrony przeciwlotniczej, ale też wypłacania żołdu i dodatków żywnościowych. Z kolei w rozkazie płk. Adama Eplera, dowódcy 60 Dywizji Piechoty „Kobryń”, duży nacisk kładziony jest na kwestię podtrzymywania morale. Pięknie i wzruszająco sformułowano polecenie organizowania apeli w celu wyjaśniania żołnierzom położenia oraz śpiewania dla podniesienia ducha pieśni „Boże, coś Polskę”.

I nie zginie...

Aby dojść do Dęblina w rejonie Kocka, SGO „Polesie” musiała się zmierzyć z niemieckimi oddziałami 13 i 29 Dywizji Piechoty Zmotoryzowanej. W krwawym boju pod Wolą Gułowską i Serokomlą w dniach 2-5 października pododdziały SGO „Polesie” częściowo pobiły, a częściowo zmusiły do odwrotu, pierwszą z wrogich dywizji. Po wyczerpujących, ale zwycięskich, walkach wieczorem 5 października do sztabu gen. Kleeberga zaczęły spływać straszliwe w treści meldunki o zupełnym wyczerpaniu amunicji karabinowej i artyleryjskiej. Polski żołnierz, mimo że zwycięski, nie miał już czym strzelać do przeciwnika. Dalsza walka była niemożliwa. O głębokim realizmie i szacunku dla żołnierskiej krwi świadczy legendarny ostatni rozkaz dowódcy SGO „Polesie”, w którym – dziękując żołnierzom za poświęcenie – informuje o przyczynie przerwania walki; jednocześnie podkreśla, że robi to, „by nie przelewać krwi żołnierskiej nadaremno... która jeszcze przydać się może...”, oraz że „jeszcze Polska nie zginęła. I nie zginie”.

W zasobie Archiwum Akt Nowych znajduje się liczące kilkadziesiąt oryginalnych dokumentów archiwum SGO „Polesie”, które – choć trudno w to uwierzyć – przetrwało wojnę i okres komunizmu. Dziś, obok żołnierskich mogił i pomników na szlaku żołnierzy gen. Kleeberga, stanowi jedno z najważniejszych świadectw walk ostatnich bohaterów wojny obronnej 1939 r.



Gen. Franciszek Kleeberg – dowódca SGO „Polesie

GEN. KLEEBERG NA OCZYSZCZONYM Z DYWERSANTÓW I WROGICH PATROLI OBSZARZE USTANOWIŁ WŁADZĘ PAŃSTWOWE

Wojsko Polskie – ostoja państwowości w dobie kryzysu

Decyzję o dalszej walce gen. Kleeberg podjął nie w geście romantycznego uniesienia, ale z racjonalnych powodów, chcąc „...przedłużać tę wojnę. Demonstrować światu, że Hitler nie podbił Polski w 18 dni, jak się chełpił...”.

27 września we Włodawie wydał rozkaz nadający pełną nazwę i reorganizujący Samodzielną Grupę Operacyjną „Polesie”. Tym samym rozkazem ustanowił na oczyszczonym z dywersantów i wrogich

patroli obszarze władze państwowe, mianując komisarzem cywilnym przebywającego w tym rejonie wojewodę krakowskiego (jednocześnie pułkownika w stanie spoczynku) Michała Gnoińskiego. W mieście uruchomiono ponownie urzędy, pocztę, starostwo i biuro burmistrza. Przykład ten dobitnie wskazuje, że w dobie ciężkiego kryzysu jedynie obecność oddziałów wojskowych jest w stanie utrzymać strukturę państwa (odnosząc się do współczesności, to kolejny argument potwierdzający słuszność koncepcji Wojsk Obrony Terytorialnej, które nasycają pododdziałami cały obszar kraju).

Jan Tomasz Drohojowski należał do grona zaufanych dyplomatów króla Stefana Batorego. Ilustracja: „Batory pod Pskowem”, obraz Jana Matejki z 1872 r.



MAŻ STANU CZY WARCHOŁ



HENRYK
LITWIN

W książce Władysława Łozińskiego został przedstawiony w roli warchoła prowadzącego zaciekle wojny prywatne, z których ostatnia przyniosła mu śmierć w potyczce z oddziałami adversarza (19 listopada 1605 r.), a jego rodzinie bankructwo i upadek. W chwili zgonu był 70-latkem i miał za sobą długie życie składające się nie tylko z sądowych sporów i zajazdów, ale przede wszystkim ze służby publicznej i wojskowej.

W kręgu królów

Drohojowski wywodził się ze znanego i wpływowego na Rusi Czerwonej rodu

JAN TOMASZ DROHOJOWSKI STAŁ SIĘ ZNANY WŚRÓD POLSKICH MIŁOŚNIKÓW HISTORII JAKO JEDEN Z BOHATERÓW PAMIĘTNEJ KSIĄŻKI WŁADYSŁAWA ŁOZIŃSKIEGO „PRAWEM I LEWEM”. KTÓRA CZĘŚĆ ŻYCIA STAROSTY PRZEMYSKIEGO POWINNA ZADECYDOWAĆ O GENERALNEJ OCENIE JEGO DOROBKU? ZASZCZYTNA SŁUŻBA PUBLICZNA CZY UDZIAŁ W PRYWATNYCH WOJNACH Z JEGO TRAGICZNYMI SKUTKAMI?

herbu Korczak. Ta szlachecka familia pochodzenia ruskiego w XV i na początku XVI w. była jeszcze wierna prawosławiu. W czasach Zygmunta Augusta wielu Drohojowskich znalazło się w obozie reformacji. Tak potoczyły się losy m.in. Jana Tomasa, który odbył studia na protestanckich uniwersytetach w Wittenberdze, Tybindze i Bazylei (1555–1560), choć rozpoczynał edukację na Akademii Krakowskiej. W latach 60. wrócił do Polski i rozpoczął prestiżową służbę przy królu jako dworzanin konny (aulicus). Dzięki reputacji człowieka wykształconego i poliglota – poza łaciną znał także włoski i francuski – był wykorzystywany w kancelarii królewskiej i jeszcze przed 1569 r. zaliczony w poczet sekretarzy. W tym czasie odbył dość tajemniczą misję do Italii, rozpoczynając w ten sposób swoją karierę dyplomatyczną. Był jednym z dworzan towarzyszących Zygmuntowi Augustowi w ostatnich dniach i godzinach życia (lipiec 1572). W czasie sejmu konwokacyjnego (1573) był rzecznikiem grupy dworzan, którzy wystąpili z oskarżeniem, że część ich kolegów dokonała rabunku kosztowności królewskich. Sprawa ta była wielkim skandalem owych czasów, a postawa Drohojowskiego zapewniła mu wśród sejmującej i sejmikującej szlachty reputację uczciwego urzędnika.

W czasie bezkrólewia cały ród Drohojowskich, w tym Jan Tomasz, stanowił jeden z filarów stronnictwa Henryka Walezego na Rusi Czerwonej. Uczestniczył w sejmie koronacyjnym i był uważany za człowieka powiązanego z dworem. Po ucieczce króla do Francji Drohojowski wraz z księdzem Hieronimem Rozrażewskim zostali wysłani przez ogólnokrajowy zjazd senatorsko-szlachecki, zwany drugą konwokacją (sierpień–wrzesień 1574) z poselstwem do Henryka Valois. Posłowie zostali dwukrotnie przyjęci przez króla w styczniu 1575 r. w Lyonie i Awinionie, ale uzyskali jedynie zapowiedź powrotu Henryka w bliżej niesprecyzowanym terminie i pilnego przysłania francuskiego poselstwa do Polski. Drohojowski realistycznie ocenił wyniki poselstwa i na zjeździe w Stężyicy w maju 1575 r. przedstawił oficjalny raport oraz swoją analizę sytuacji. Wynikało z niej, że w związku z sytuacją we Francji nie można liczyć na rychły powrót Walezjusza do Polski.

W wielkiej dyplomacji

W kolejnych fazach bezkrólewia Jan Tomasz Drohojowski zbliżył się politycznie do

Jana Zamoyskiego i stronnictwa batoriańskiego. Szczególnie zasłużył się nowemu królowi już po koronacji Stefana Batorego, kiedy wybuchła wojna z nieuznającym siedmiogrodzianina Gdańskiem. Drohojowski wraz ze swoją chorągwią jazdy wziął udział w zwycięskiej bitwie nad Jeziorem Lubieszowskim i innych działaniach wojskowych przeciwko gdańszczanom.

Pod koniec roku Drohojowski był już z powrotem na Rusi Czerwonej, a nawet gościł w Przemyślu Stefana Batorego. W tym czasie działał aktywnie jako jeden z lokalnych liderów stronnictwa dworskiego. Korespondował z Janem Zamoyskim i regularnie przekazywał raporty o sytuacji w województwie ruskim. Utrzymywał także kontakty listowne

SPRAWA RABUNKU KOSZTOWNOŚCI KRÓLEWSKICH BYŁA W 1573 r. WIELKIM SKANDALEM, A POSTAWA DROHOJOWSKIEGO ZAPEWNIŁA MU WŚRÓD SEJMUJĄCEJ I SEJMIKUJĄCEJ SZLACHTY REPUTACJĘ UCZCIWEGO URZĘDNIKA

Nagrodą za prokrólewską postawę było nadanie mu w 1578 r. przynoszącego znaczny dochód starostwa przemyskiego.

Latem tegoż roku odbył jedną ze swych najważniejszych misji. Został wysłany do Kurlandii, Inflant i Rygi, by przygotować te kraje do planowanej wojny ofensywnej i wytłumaczyć zamysł Batorego, który chciał je uwolnić od moskiewskiej agresji poprzez podjęcie głównych działań wojskowych na zapleczu wroga, z dala od Inflant. Zastał na północy sytuację wielce zatrzważającą, bo Inflantczycy jego zdaniem „nie przykryli się Moskiewskiemu; nie gardzili Szwedem, aż i Duńskim Królem”. Ze sprawozdania wysłanego do Jana Zamoyskiego wiemy, że Drohojowski spotkał się w Mitawie z księciem kurlandzkim Gothardem Kettlerem, „convocował Curlandiae nobilitatem”, a następnie w asyście posłów księcia Kurlandii zwołał w Rydze zjazd „nobilitatem et ordines” Inflant. Uzyskawszy od wszystkich zapewnienia, że „gardła swe pod nogi Króla JM kładą”, rozpoczął rozmowy z rajcami Rygi, która w owym czasie cieszyła się statusem wolnego miasta. Te negocjacje okazały się trudniejsze, ale zostały również zakończone względny sukcesem, gdyż ryżanie zapewnili, że „chcą być in fide et obedia tate statetini”, choć jednocześnie nie chcieli obiecać pomocy wojskowej. Drohojowski mógł więc z satysfakcją oznajmić Zamoyskiemu: „O Inflanciech już Król JM niech nie wątpi, bo są dobrze utwierdzeni i trwać będą”.

z przyjaciółmi we Włoszech i w Niemczech, informując czasem Zamoyskiego o zagranicznych odgłosach sytuacji w Rzeczypospolitej.

W 1579 i 1580 r. wraz z własną chorągwią brał udział w wyprawach na Połock i Wielkie Łuki – zarówno w działaniach wojskowych, jak i negocjacjach z kapitulującymi załogami twierdz. W kolejnym roku ominęła go wyprawa na Psków, już w czerwcu 1581 r. wyruszył bowiem w drogę do Istambułu jako wielki poseł króla. Misja okazała się kolejnym sukcesem zręcznego dyplomaty, choć jej założenia były bardzo ambitne i dotyczyły ustaleń ważnych dla całego południowego sąsiedztwa Rzeczypospolitej. Drohojowski uzyskał akceptację dla przekazania władzy w Siedmiogrodzie przez Stefana Batorego jego krewniakowi Zygmuntowi, obietnicę powierzenia władzy w Mołdawii życzliwemu Rzeczypospolitej gospodarowi oraz sprzyjające Polsce rozstrzygnięcie sporów z Tatarami krymskimi. Udało mu się przy tym wydobyć z niewoli osmańskiej kilkudziesięciu jeńców, których odwiózł ze sobą do ojczyzny.

Bliski Zamoyskiemu

Pod koniec lat 70. XVI w. nastąpiła zapewne konwersja Drohojowskiego na katolicyzm. Nie znamy daty ani okoliczności tego wydarzenia, wiemy jednak, że w 1581 r. starosta przemyski był >>

» już zaangażowany w tworzenie bractwa św. Tomasza, które skupiało gorliwych katolików i miało za zadanie zwalczanie arianńskiej doktryny braci polskich, zaprzeczającej istnieniu boskiej natury Chrystusa. Prawowierność Drohojowskiego została zauważona i doceniona przez ówczesnego nuncjusza Giovanniego Andree Caligario, który wyraził się o staroście przemyskim następująco: „tutto cattolico et pronto ad ogni buona causa” („całkiem katolik i gotowy do działania w każdej dobrej sprawie”). Bractwo św. Tomasza było jedną z inicjatyw podejmowanych przez Jana Zamoyskiego, z którymi Drohojowski ściśle współpracował, a w latach 80. wszedł do kręgu zaufanych pomocników „wielkiego kanclerza”. Świadczy o tym rola, jaką starosta przemyski odegrał w sprawie Samuela Zborowskiego. Oddał wtedy do dyspozycji Zamoyskiego swój zbrojny oddział, sam uczestniczył w aresztowaniu banity, a potem asystował przy jego egzekucji. Był też aktywnym posłem na sejmie 1585 r., kiedy toczyła się polityczna batalia między Zborowskimi a dworem. Wspierał wówczas króla i Zamoyskiego oraz podtrzymywał zarzuty wobec braci Zborowskich jako osób winnych spisku i snucia planów zamachu na monarchę.

Drohojowski pozostał wierny Zamoyskiemu także w czasie bezkrólewia po śmierci Stefana Batorego i wraz z kanclerzem opowiedział się ostatecznie za „Szwedem”. Wziął udział w starciach zbrojnych z wojskami arcyksięcia Maksymiliana w obronie Krakowa i pod Byczyną. Kiedy habsburski pretendent do tronu trafił do niewoli, Zamoyski powierzył Drohojowskiemu nadzór nad dostojnym więzieniem. Starosta przemyski cieszył się zatem zaufaniem kanclerza, co stawiało go z czasem w coraz bardziej skomplikowanym położeniu względem króla Zygmunta III, usiłującego uwolnić się od wpływów Pana na Zamościu. Zanim drogi króla i kanclerza rozeszły się na dobre, Drohojowski zdążył jeszcze zyskać nominację na referendarza koronnego (1589).

Między referendarią, sejmikiem i wojskiem

Był to specyficzny urząd, realizujący zadania administracyjne i sądownicze, umieszczający sprawujące go osoby w wąskim kręgu dostojników wspoma-



Kanclerz Jan Zamoyski (1542–1605), jeden z najpotężniejszych ludzi ówczesnej Rzeczypospolitej, darzył wyjątkowym zaufaniem starostę przemyskiego

gających monarchę w zarządzie domeną królewską. Najważniejszą część aktywności referendarzy, których było zwykle dwóch – duchowny i świecki – stanowiło prowadzenie sądu referendarii koronnej, który rozstrzygał spory pomiędzy poddanymi z dóbr królewskich i dzierżawcami królewskimi. W większości przypadków chodziło o skargi chłopów na nadużycia zarządców dóbr. Referendarze uczestniczyli także w sądach odbywających się z udziałem króla – sejmowym, asesorskim i relacyjnym. Sprawowanie tego urzędu wymagało ciągłej obecności przy dworze. W przypadku Drohojowskiego taka sytuacja nie trwała chyba długo. W każdym razie od roku 1591 obserwujemy kolejny okres jego wzmożonej aktywności wojskowej i sejmikowo-sejmowej, a nie dworskiej. W obu rodzajach aktywności Drohojowski trwał u boku Zamoyskiego – na sejmach 1591 i 1597 r., na sejmiku wiszeńskim w roku 1595 czy w czasie wypraw kanclerza na Mołdawię w 1595 i 1600 r., kiedy celem Rzeczypospolitej było nie tyle przeciwstawienie się wpływowi tureckim w regionie naddunajskim, ile osłabienie tamże pozycji Habsburgów. W 1601 i 1602 r. wziął udział w dwóch kolejnych wypra-

wach wojsk koronnych do Inflant, na wojnę ze Szwecją. W pierwszej był dowódcą rotty rajtarskiej, w drugiej – chorągwi husarskiej. W czasie inflanckich bojów Drohojowski miał już ponad 65 lat, nic więc dziwnego, że zakończyły one wojskową karierę referendarza koronnego. W 1601 r. powrócił na Ruś Czerwoną i chyba po raz pierwszy w życiu zajął się głównie sprawami prywatnymi.

Prywatne wojny

Swoje ostatnie lata Drohojowski – jak widzieliśmy urzędnik, żołnierz, sędzia, dyplomata i polityk – strawił na prywatnych konfliktach majątkowych. Prowadząc spór ze Stanisławem Stadnickim ze Żmigrodu, wdał się właściwie w prywatną wojnę, pełną potyczek zbrojnych oddziałów utrzymywanych przez obu adversarzy. Owe zmagania opisał barwnie Władysław Łoziński we wspomnianym już dziele „Prawem i lewem”. Ten wybitny pisarz i historyk potraktował jednak akta sądowe jak proste zwierciadło prawdy, nie biorąc pod uwagę, że odnajdowane w księgach „protestacje” i „reprotestacje”, skargi, a nawet relacje woźnych były zwykle popisami retorycznymi, które fakty równie często tworzyły, jak i relacjonowały, a proporcje obu tych czynności są najczęściej trudne do oceny. Traktując zatem źródła sądowe z nieco większą ostrożnością, stwierdzić musimy, że w sporze Drohojowskiego ze Stadnickim doszło wielokrotnie ze strony tego pierwszego do prób zbrojnej egzekucji korzystnych dlań decyzji sądowych. Adwersarz potrafił jednak stawić czoła referendarzowi i odwzajemnić się pięknym za nadobne. Z wolna przewagę uzyskiwał Stadnicki, aż wreszcie doszło do tragicznego dla Drohojowskiego starcia, po którym nasz bohater umarł z ran, pozostawiając, jako się rzekło, rodziną „substancję” w kompletnej ruinie.

Która część życia starosty przemyskiego powinna zadecydować o generalnej ocenie jego dorobku? Zaszczytna służba wojskowa, znaczące osiągnięcia dyplomatyczne, urzędnicza aktywność czy udział w prywatnych wojnach z jego tragicznymi skutkami? Z punktu widzenia rodziny bilans musiał być ujemny, jednak oceniając zasługi dla Rzeczypospolitej, prywatna klęska nie mogła przysłonić wieloletnich dokonań we wszystkich wymienionych dziedzinach.



**MONIKA
WIŚNIEWSKA**

PODWÓJNA BEATYFIKACJA

**DROGI ŻYCIA PRYMASA STEFANA WYSZYŃSKIEGO
I MATKI RÓŻY CZACKIEJ FSK PRZECINAŁY
SIĘ ZE SOBĄ PRZEZ BEZ MAŁA 40 LAT**

Tak wiele ich różniło: wiek, pochodzenie społeczne, rodzaj służby, duchowość. Ona – hrabianka ze znanego rodu, wnuczka Tadeusza Czackiego, bratanica kard. Włodzimierza Czackiego; panna dorastająca w wygodzie i dostatku, z czasem zafascynowana duchowością franciszkańską, odnalazła swoją



Stygmat cierpienia

Młodość zarówno przyszłej twórczyni dzieła dla niewidomych w Łaskach, jak i świątobliwego duchownego naznaczona była nieszczęściem. Czacka traciła wzrok, a na wpół osieroconemu Wyszyńskiemu poważna choroba płuc odbierała siły. Być może to przedwczesne skazanie na cierpienie paradoksalnie przyczyniło się do tego, że ich życie charakteryzowała ta ponadprzeciętna

intensywność, jakby trochę z obawy, że zabraknie czasu na to, co najważniejsze. Nie zabrakło go jednak. Kolejnym paradoksem było bowiem to, że oboje utrudzeni i spracowani ponad własne możliwości doczekali późnej starości – matka Czacka zmarła w wieku 85 lat, a prymas – lat 80.

Róża Czacka urodziła się w Białej Cerkwi w 1876 r. W domu rodzinnym Czackich dbano o wysoki poziom edukacji dzieci. Róża otrzymała zatem staranne wychowanie, znała języki obce, historię, literaturę. Brała udział w lekcjach muzyki i tańca. Przygotowana do samodzielnego życia w wieku ok. 20 lat całkowicie straciła wzrok. Nie dość, że musiała się zmierzyć z prawdą o nieodwracalnym kalectwie, to dźwigała jeszcze ciężar upokorzenia, jaki spadł na rodzinę. Dla jej najbliższych bowiem ślepotą przygotowanej do zamażpójścia córki stanowiła niezwykle wstydlivy problem, który próbowano ukryć przed światem, izolując się od ludzi. Ona sama za radą swojego okulisty ślepotę nie tylko zaakceptowała, lecz potraktowała jako

wyzwanie. Tragiczny bowiem los osób niewidomych był jej bardzo dobrze znany: albo dożgonne zdanie na łaskę i opiekę rodziny, albo żebractwo. I tu właśnie, w tym beznadziejnym i smutnym kontekście, Czacka odkryła swoje kolejne zadania, a nawet życiowe powołanie. Postanowiła zorganizować system wsparcia, który pomoże niewidomym odzyskać samodzielność przez odpowiednią edukację, kształcenie zawodowe, zdobycie fachu. To, jak była przekonana, pozwoli im z kolei odzyskać poczucie własnej wartości, wiary we własne siły, po prostu przywróci ich życiu. Niełatwy cel, który wytyczyła sobie przyszła założycielka zakładu dla niewidomych, stał się jej pasją. „Moim największym szczęściem – stwierdziła po czasie – jest to, że jestem niewidomą”. Te słowa, które pewnie dla wielu z nas są szokujące, dopełniła zawołaniem: „Przez Krzyż do chwały”, które towarzyszyło jej jako organizatorce dzieła dla niewidomych oraz założycielce i pierwszej przełożonej generalnej Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Służebnic Krzyża.

Stefan Wyszyński to już inne pokolenie. Przyszedł na świat w 1901 r. w Zuzeli nad Bugiem, w rodzinie, w której pielęgnowano wartości patriotyczne i silnie związanej z Kościołem. Jako dziewięciolatek stracił matkę, co było dla niego bolesnym ciosem. Sam nie był okazem zdrowia. Jako alumn Wyższego Seminarium Diecezjalnego we Włocławku doświadczył wyniszczającej choroby, która niemal nie przekreśliła jego planów. Otoczenie nie wróżyło mu długiego życia. Przeciwnie – przekonywało, że bliżej mu na cmentarz niż do służby kapłańskiej. Jego przełożeni obawiali się, czy ten kleryk z gruźlicą dożyje dnia święceń, a on sam modlił się, by odprawić przynajmniej mszę prymicyjną. Ze słabością ciała mierzyć się będzie już do końca życia. Śledząc >>

misję poniekąd na peryferiach życia, służąc ludziom dotkniętym ślepotą. On – młodszy od niej 25 lat, syn organisty pochodzący ze skromnej rodziny ze wsi nad Bugiem, odziedziczył pobożność maryjną po rodzicach, a następnie świadomie wybrał aż po religijny akt całkowitego oddania się Maryi. W historii Kościoła zapisał się jako Prymas Tysiąclecia, który przeprowadził Kościół w Polsce przez noc komunizmu, osobistość w ścisłym centrum uwagi i głównym nurcie przestrzeni publicznej.

Wspólna beatyfikacja w Świątyni Opatrzności Bożej w Warszawie to przypadek? Przeznaczenie? A może po prostu dobra lekcja, która w tajemnicy communio sanctorum pokazuje z nieodległej przecież perspektywy historycznej różne oblicza Kościoła: pielgrzymującego, cierpiącego, walczącego i triumfującego. To wyjątkowa okazja, by zauważyć elementy wspólne dla tych ludzi, którzy pomimo tylu różnic potrafili się wzajemnie inspirować i wspierać na drodze do świętości.



Ks. Korniłowicz, matka Czacka i Stefan Wyszyński – trzy silne osobowości, które złączyły duchowa więź, przyjaźń. Prymas często przyjeżdżał do Lasek na groby obojga przyjaciół

>> chociażby kolejne tomy „Pro memoria” autorstwa Prymasa, dostrzec można ogromną siłę woli, z którą przemierza swoją via dolorosa. Dzięki sile ducha i zdolnościom wyrósł ponad przeciętność: w 1946 r. został biskupem lubelskim, w 1948 – arcybiskupem metropolitą gnieźnieńskim i warszawskim oraz prymasem Polski, w 1953 r. wyniesiony został do godności kardynalskiej. Cierpienie, które towarzyszyło mu do końca życia, nauczyło go – jak sam mówił – pokory wobec drugiego człowieka. Uciążliwą towarzyszką ostatniego etapu duchowej postługi prymasa była choroba nowotworowa. Na łóżu śmierci wyznał: „Moja droga była zawsze drogą Wielkiego Piątku. Jestem za nią Bogu bardzo wdzięczny”.

Jedna inspiracja

Osobą, która połączyła przyszłych błogosławionych, był ks. Władysław Korniłowicz, liturgista, absolwent studiów teologicznych i filozoficznych we Fryburgu, obecnie sługa boży Kościoła katolickiego. Kapłan ten posiadał niezwykle dar przyciągania do siebie różnych ludzi, przede wszystkim młodej inteligencji. Wokół niego zawiązała się akademicka grupa dyskusyjna, nazywana „Kółkiem”. Zainspirował też matkę Czacką i wiele osób, które z czasem stały się filarami

Lasek, w tym ks. Stefana Wyszyńskiego. Od 1920 r. ks. Korniłowicz był kierownikiem duchowym w Laskach, a w 1930 r. zamieszkał tam, organizując centrum swojego apostołatu. Skupiał ludzi poszukujących prawdy i Boga. Do nich adresowane były nowo powstające instytucje, takiej jak: Biblioteka Wiedzy Religijnej, wydawnictwo i księgarnia Verbum oraz dom rekolekcyjny. Dla Róży Czackiej był ojcem duchownym i mentorem. Uważała go za współtwórcę dzieła Lasek. Podobne więzi z ks. Korniłowiczem łączyły Stefana Wyszyńskiego. Obaj duchowni przyjaźnili się ze sobą, a okazji do poznania się było wiele. Ks. Korniłowicz dojeżdżał już do WSD we Włocławku, gdzie miał wykłady dla kleryków, w tym Stefana Wyszyńskiego. Następnie spotkali się na KUL, gdzie ks. Korniłowicz pełnił zadania dyrektora konwiktów dla księży studentów, a ks. Wyszyński był seniorem. Ks. Wyszyński wybrał ks. Korniłowicza na swojego ojca duchowego. Uznawał go bowiem za kapłana niezwykle świętobliwego, któremu zawdzięczał to, co w życiu najważniejsze. A ks. Korniłowicz zapoznał przyszłego hierarchę z matką Czacką i podwarszawskimi Laskami. Z inspiracji Korniłowicza ks. Wyszyński podczas wojny, chociaż był poszukiwany przez gestapo, zaangażował się w pomoc w Laskach. M.in. jako kapelan Zakładu dla Niewidomych

prowadził jednocześnie szeroko zakrojone duszpasterstwo oraz działalność konspiracyjną i był kapłanem okręgu wojskowego Żoliborz w czasie powstania warszawskiego. Warto dodać, że po śmierci ks. Korniłowicza Wyszyński nie zostawił matki Czackiej samej, ale służył pomocą nadal, praktycznie do końca jej życia, a dzieło założycielki wspierał również po jej śmierci. Jako prymas często przyjeżdżał do Lasek na grób swojego kierownika duchowego, zwłaszcza w trudnych chwilach i przed przełomowymi wydarzeniami, takimi jak wyjazd na obrady soborowe do Rzymu. Ks. Korniłowicz, matka Czacka i prymas Wyszyński – to trzy silne osobowości, które złączyły duchowa więź, przyjaźń i przygoda. Nic zatem dziwnego, że w okresie oczekiwania na beatyfikację matki Czackiej i prymasa Wyszyńskiego kard. Kazimierz Nycz wyznał, że byłoby pięknie, gdyby doszło do potrójnej beatyfikacji: „Wprowadziłbym jeszcze ks. Władysława Korniłowicza”. Choć jest to niemożliwe ze względów formalnych, z pewnością warto powracać do tych powiązań.

Pochylając się nad problemem inspiracji w życiu przyszłych błogosławionych, trudno pominąć najgłębsze motywacje ich działań. Bez wątpienia pozostają one ściśle religijne. Matka Czacka nie chciała, by uważano ją za jedynie działaczkę charyta-

tywną. Zwykła powtarzać: „Dzieło to z Boga jest i dla Boga – innej racji bytu nie ma”, co zresztą wyartykułowane zostało w dyrektorium jej zgromadzenia. Z kolei prymasowi Wyszyńskiemu towarzyszyło hasło „Soli Deo”. Nadprzyrodzona perspektywa aksjologiczno-teleologiczna dawała im poczucie wolności, dystansu wobec zmieniających się uwarunkowań, piętujących trudności, a nawet tego, co chyba najtrudniej zaakceptować osobom o dużych aspiracjach – własnych ograniczeń i niedomagań.

Heroizm

Oboje poczuli gorzki smak niezrozumienia, odrzucenia, fałszywych oskarżeń. Część ważnych współpracowników z zarządu Towarzystwa Opieki nad Ociemniałymi na wieść o tym, że Czacka przywdziała habit zakonny i zamierza połączyć zakład dla niewidomych ze zgromadzeniem zakonnym, odmówiła współpracy, odwróciła się od niej i odeszła. Spotykała ją niechęć nawet ze strony duchownych. Notariusz kurii i późniejszy wieloletni wizytator zgromadzenia franciszkanek miał się wyrazić następująco: „Zachciało się ślepej babie zakon zakładać”. Nie przeszkodziło to w powstaniu wspaniałego dzieła o wyjątkowym modelu Triuno – zakładającego ścisłą współpracę trzech ogniw w jednym dziele na zasadzie partnerstwa osób świeckich, zakonnych i niewidomych.

Prymas Wyszyński z kolei oskarżany był o sympatie prokomunistyczne. Będąc jeszcze młodym duszpasterzem, otrzymał swoistą etykietkę „czerwonego księdza”, ponieważ angażował się w duszpasterstwo młodzieży robotniczej i upominał o prawa robotników. Wynikało to jednak z fascynacji założeniami katolickiej nauki społecznej, a nie ideologią komunizmu. Owszem, przestudiował „Manifest komunistyczny”, interesował się marksizmem, a „Kapitał” Marksa przeczytał kilkakrotnie. Dawało mu to jednak podstawy do polemiki z poglądami zwalczającymi religię oraz nieuznającymi sfery duchowej człowieka. Dostrzegając kierunek zainteresowań Wyszyńskiego, prymas August Hlond jeszcze przed wybuchem II wojny światowej powołał go do Rady Społecznej przy Prymasie Polski. Gdy Stefan Wyszyński sam przejął stery Kościoła w Polsce, znów spotkał się z dawnymi zarzutami. Po zawarciu porozumienia z rządem w 1950 r. oskarżono go, i to nawet w Stolicy Apostolskiej, o bratanie się z komunistami, nazywano „czerwonym prymasem”. Dygnitarze watykańscy, zwłaszcza kard. Domenico Tardini, sekretarz stanu

Stolicy Apostolskiej, próbował podkopać zaufanie, którym prymas Polski darzył papieża. To mu się zresztą nie udało. Okazją do zmasowanej krytyki Stefana Wyszyńskiego już na gruncie krajowym stał się z kolei – dziś uznawany za przełomowy – tzw. list biskupów polskich do biskupów niemieckich, w którym padły słynne słowa „udzielamy wybaczenia i prosimy o nie”, wywołując kontrowersje i mocny atak prasowy na prymasa. Program Wielkiej Nowenny przygotowującej wiernych do obchodów Milenium Chrztu Polski w 1966 r. nie przez wszystkich oceniany był jako wartościowy. Ze strony inteligencji katolickiej padały słowa o zacołaniu Kościoła w Polsce, nastawionego na doraźny, emocjonalny efekt, podtrzymującego płytką pobożność ludową.

WSPÓLNA BEATYFIKACJA W ŚWIĄTYNI OPATRZNOŚCI BOŻEJ W WARSZAWIE TO PRZYPADEK? PRZEZNACZENIE? A MOŻE PO PROSTU DOBRA LEKCJA?

Krytyka towarzyszy osobom publicznym i z pewnością nie jest zaskoczeniem, a nawet wydaje się potrzebna. Prymas sam wielokrotnie krytycznie odnosił się do wielu osób, z którymi się spotykał, zarówno duchownych, jak i świeckich. Nadzwyczajna natomiast jest u niego umiejętność przebaczenia, przechodzenia ponad zranieniami, upokorzeniem i szukanie płaszczyzn dialogu. Przebaczenia ze strony kard. Wyszyńskiego doświadczyli jego wrogowie, a także ci, którzy z racji pełnionych obowiązków powinni okazać mu lojalność, posłuszeństwo, bliskość, a zdradzili go, zawiedli, donosili. Można powiedzieć, że zdolność prymasa do przebaczenia była heroiczna. Dość wspomnieć, że za Bolesława Bierutą, odpowiedzialnego za jego uwięzienie, modlił się codziennie. Nadprzyrodzone spojrzenie na rzeczywistość kazało mu w każdym widzieć przede wszystkim człowieka, czasem

poranionego, dokonującego niewłaściwych wyborów.

Nazywany był wytrawnym politykiem i mężem stanu. Wydaje się, że on sam zupełnie inaczej rozumiał własną misję. Uważał, że jako prymas ma obowiązkiem stać na straży praw obywatelskich, bronić rodziny przed opresyjnym aparatem państwowym. Odróżniał „narodową” od „politycznej” racji stanu. Przestrzegał duchownych przed zaangażowaniem politycznym, przed pułapką wejścia w „mafię klerykalno-partyjną”. W sferze publicznej zachęcał do umiarkowania i łagodzenia nastrojów. Zauważał, że choć zmieniały się ekipy rządzących, a wraz z nimi pojawiały się różne „schematy polityki”, to i tak w ich imię zwalczany był Kościół, dręczone społeczeństwo, wyzyskiwany obywatel: „Był Bierut i Stalin, przyszedł Gomułka, dziś Gierek. Każdy z nich domagał się od Kościoła bezwzględnej lojalności. Dziś można pytać: wobec kogo? Który model był prawdziwy? Kościół natomiast jest ten sam i trwa”. Prymas obawiał się instrumentalizacji Kościoła, zarówno przez władzę, jak i z czasem przez opozycję. Wydaje się, że podejście preferowane przez Stefana Wyszyńskiego wdrażane było i w podwarszawskich Laskach, które połączyły wielu różnych ludzi i stały się miejscem wymiany dla różnych środowisk twórców kultury oraz działaczy opozycyjnych.

Co na dzisiaj?

Na koniec pojawia się pytanie: kto dzisiaj przeprowadzi Kościół w Polsce przez ciemną noc kryzysu? Brakuje promieniowania matki Czackiej i autorytetu Prymasa Tysiąclecia. Czy podwójna beatyfikacja to zmieni? A może potrzebny jest powrót do źródeł, do specyfiki Lasek, miejsca, gdzie można się spotkać, porozmawiać, liczyć na wsparcie kogoś obdarzonego autorytetem zbudowanym na świadectwie życia, a nie jedynie przypisanym do urzędu i z protekcyjnym tonem? Z pewnością interesujące inspiracje do rozmyślań nad przyszłymi błogosławionymi przyniesie lektura książek m.in. Ewy Czackowskiej „Prymas Wyszyński. Wiara, nadzieja, miłość” (Kraków 2020) czy biografii prymasa autorstwa Rafała Łatki, Beaty Mackiewicz i ks. Dominika Zamiatały (Warszawa 2020). Tych, którzy lubią źródła drukowane, ucieszą z pewnością kolejne tomy „Pro memoria”, a także „Listy” Róży Czackiej i Stefana Wyszyńskiego w interesującym opracowaniu ks. Andrzeja Gałki. Wartościowe materiały, w tym historyczne, opublikowane zostały na stronie: www.beatyfikacja.info.

ŻYCIE MATKI MATYLDY
GETTER BYŁO KWINTESENCJĄ
SŁUŻBY BOGU I BLIŹNIEMU

RATUJEMY CZŁOWIEKA



ALINA PETROWA-
-WASILEWICZ

Z dokumentów i świadectw nie dowiemy się, kiedy przełożona generalna Ludwika Lisówna i przełożona warszawskiej prowincji Matylda Getter porozumiały się, jak będzie wyglądać ich współpraca w ratowaniu zagrożonych całkowitą zagładą współobywateli. Obie matki kontaktowały się ze sobą bezpośrednio po wycofaniu się Armii Czerwonej i zajęciu przez Niemców w roku 1942 wschodnich terenów Polski okupowanych od roku 1939 przez Rosjan. Matka Lisówna, która w czasie okupacji wizytowała prowincję warszawską, miała odpowiednie warunki do odbycia poufnych rozmów, przekazywania poleceń i snucia wspólnych planów.

Zarówno dla niej, jak i dla matki Matyldy było oczywiste, że trzeba zorganizować pomoc dla Żydów, tak samo jak oczywiste było, że trzeba zaopiekować się sierotami, starcami, wypędzonymi, więźniami politycznymi. Ta działalność różniła się jednak od pozostałych. W razie dekonspiracji trzeba było płacić za nią życiem, w lżejszej wersji – wywózką do obozu koncentracyjnego, która także oznaczała w większości przypadków powolną lub nagłą śmierć. Zagłada miała postać zaplanowanej drobniawo akcji i niosła z sobą przewyższające wszystko zagrożenie.

Strasliwy dylemat sumienia

Gotowość na śmierć. Każda osoba, która się w tę pomoc angażowała, musiała zadać sobie pytanie: czy jest gotowa? Czy ma prawo podejmować takie ryzyko, które dotyczy nie tylko jej osobiście, ale może narazić całą wspólnotę? Jaka jest wola Boża w tym wypadku, czy mam ratować, czy zatrzaskać drzwi przed wołającym o ratunek, żeby nie narażać pozostałych? Strasliwy dylemat sumienia. Przełożona prowincji odpowiadała

przecież za wszystkich, musiała ważyć wszystkie za i przeciw. Do ciężaru odpowiedzialności za zakonnicę, podopiecznych, prowadzone dzieła dochodził ciężar świadomości, że za pomoc Żydom zapłacą wszyscy mieszkańcy domu, w którym ta pomoc zostanie udzielona, zgodnie z niemiecką zasadą odpowiedzialności zbiorowej. Matka musiała zapewne długo, długo modlić się i rozważać, czy ma do tego prawo.

„Kto przyjmuje jedno z tych dzieci w imię moje, Mnie przyjmuje” – nie mogła



**Matylda Getter,
Petersburg, ok. 1905 r.**

wciąż nie przypominać sobie najważniejszego dla zgromadzenia fragmentu Ewangelii według św. Mateusza. [...]

Perfekcyjna logistyka

Decyzja o ratowaniu każdego z żydowskich współobywateli, którzy zwracali się po pomoc, zawierała w sobie rzeczywiście element szalonego ryzyka. Pewne jest jednak, że w tym szaleństwie była metoda. Wybitna organizatorka, której powołaniem było przywracanie porządku i harmonii, musiała dobrze te działania zorganizować. Nakaz ratowania był niezwykle trudnym do wykonania zadaniem. Trzeba było opracować logistykę, zorganizować perfekcyjną akcję ukrywania, przygotować do tego większość włączonych w nią domów prowincji warszawskiej i lwowskiej. Aby akcja ratowania żydowskich dzieci mogła się udać – w atmosferze nieustających obław, rewizji, łapanek, całego zorganizowanego przez Niemców aparatu terroru, oraz w środowisku, w którym wciąż groził donos ze strony Polaków szantażystów, tzw. szmalcowników wyspecjalizowanych w tropieniu Żydów, czy też ze strony zwykłych, przerażonych, walczących o przetrwanie obywateli – trzeba było stworzyć odpowiednie warunki.

I Matusia takie warunki stworzyła. Zarządzała 40 domami, w tym 20 sie-



Dom Dziecka Franciszkanek w Warszawie przy ul. Żelaznej



Siostry franciszkanki jako pielęgniarki w szpitalu wojennym dla żołnierzy rosyjskich (1915 r.)

rocińcami, z których wiele, tak jak Kostowiec, leżało na uboczu, w otoczeniu parków, na dużych działkach z sadami, warzywnikami, szopami, budynkami gospodarczymi przeznaczonymi dla domowego inwentarza, z zakamarkami w piwnicach i warsztatach, wreszcie z klauzurą, do której dostęp miały wyłącznie zakonnice, a także z infirmeriami, w których leczyli się chorzy i które Niemcy skrzętnie omijali, gdyż panicznie bali się chorób zakaźnych. Ponadto każdy usytuowany poza miastem dom zgromadzenia produkował własną żywność – warzywa i ziemniaki, jajka, mleko, kaszę, których nigdy nie starczało dla wciąż powiększającej się gromady dzieci i młodzieży, ale choć częściowo zaspokajały ich potrzeby.

Granice władzy

I, co najważniejsze, Matusia miała sztab niezwykle ofiarnych, zdyscyplinowanych sióstr, twardych, zaprawionych w zmaganiach z przeciwnościami, samodzielnych i pomysłowych, przywykłych do wyrzeczeń i ascezy, głęboko wierzących. Były to wierne i lojalne współpracownice, na które mogła liczyć i którym mogła bezgranicznie ufać. To z nimi koordynowała swoje działania, wiedząc, że jeśli tylko powierzy im żydowskie dziecko lub osobę dorosłą, może być spokojna o los uciekiniera. Mogła być pewna, że przełożona domu, do którego trafi szukający ocalenia człowiek, zaopiekuje się nim najlepiej, jak potrafi, i wykorzysta swoją inwencję oraz konsekwencję w działaniu, zachowując przy tym zimną krew.



» „Ćwiczyć zwłaszcza trzeba nowicjuski w gruntownej pokorze, prostocie, posłuszeństwie” – czytamy w regule zgromadzenia. Posłuszeństwo, obok czystości i ubóstwa, jest cnotą kształtującą zakonnicę czy zakonnik. Życie wspólnoty zakonnej opiera się na posłuszeństwie, wspólnota Kościoła zbudowana jest na fundamencie autorytetu i posłuszeństwa. [...] Odmowa jest ciężkim wykroczeniem, które pociąga za sobą upomnienia i kary. [...] Jednak przełożony, posiadający ogromną władzę i uprawnienia w stosunku do podwładnego, nie ma prawa do jednego – nie może wydać polecenia, którego wykonanie grozi śmiercią. Władza przełożonego tu się kończy – takiemu poleceniu podwładny ma prawo odmówić.

Wszystkie siostry doskonale знаły te zasady. I Matka Matylda musiała działać, w pełni respektując wolną wolę współsióstr. W tym jednym wypadku nie mogła, nie miała prawa, niczego im narzucić, bo jej władza traciła moc. Siostrze Ludwice Peńsko, wychowawczyni w Domu Dziecka w Płudach, w którym przechowano kilkadziesiąt żydowskich dzieci oraz osoby dorosłe, powiedziała: „Wiem, że siostra otoczy opieką wszystkie dzieci [...]. Nie mogę nikogo zmusić ani nakazać pracy, gdzie w każdej chwili grozi śmierć. Wiedziałam, że siostra się zgodzi”. Na przestrzeni długich lat Matka Matylda stała się wytrawnym znawcą ludzkiej natury i duchowości. Wiele osób wspomina jej wnikliwie spojrzenie, bezbłędną i błyskawiczną ocenę ludzi. Jako przełożona musiała wiedzieć, na ile dojrzałe duchowo są jej współsiostry, czy są gotowe złożyć z siebie ofiarę, by ratować zagrożonych śmiercią. Zadanie ukrywania Żydów prawdopodobnie powierzała tym najdojrzalszym, gotowym przyjąć najtrudniejsze zadania, heroicznie ufającym Bogu, ale właśnie takim osobom powierzała też kierownicze funkcje w domach zgromadzenia.

Odpowiedź wątpliwym

Czy były wątpliwości i opór wobec decyzji przełożonych? Były. Były zakonnice wątpliwe, czy wolno podejmować tak wielkie ryzyko. Matka Janina Kierstan zwraca uwagę, że to naturalne, iż takie wątpliwości się pojawiały. Przecież zagrożenie było realne, niemieckie rewizje były nieodłącznym elementem okupacyjnej codzienności, a polscy szantażyści też krążyli wokół sierocińców i nachodzili siostry, grożąc im doniesieniem na gestapo. [...]



Dyplom nadania Matyldzie Getter medalu Sprawiedliwy wśród Narodów Świata

Sekretarka Matusi z czasów okupacji, s. Teresa Gober, pisze we wspomnieniach, że zarzucano Matce Matyldzie, iż ratuje Żydów, narażając siostry i pracę całych zakładów. Na to Matka odpowiadała: „Ratujemy człowieka”. Argumentowała, że dzięki tej postawie Bóg uchroni ludzi i dzieła sióstr przed większymi niebezpieczeństwami. Potrafiła przekonać współsiostry i sprawić, że mimo wahań podejmowały ryzyko. I tak jak kiedyś wobec swoich uczennic w Rosji, tak i teraz działała w swoim stylu, z serca do serca – apelem o dokonanie najlepszego wyboru. I nigdy nie spotkała się z odmową. Niemal 120 sióstr powiedziało „tak”. Co dziesiąta franciszkanka Rodziny Maryi. Warto przypomnieć – przy tej „robocie” drobiazgowo przestrzegano zasad konspiracji. Wiedziało o niej tylko ścisłe grono osób bezpośrednio zaangażowanych w jej wykonywanie, pozostałe siostry, także dla ich bezpieczeństwa, nie były świadome tej działalności, choć mogły się jej domyślać. Wśród zakonnic ugruntowała się opinia, że Opatrzność szczególnie czuwa nad ich wspólnotą, że są bezpieczne, że przy tej pracy nic złego nie może im się wydarzyć. Zakonnice „przypominały” o tym Bogu, wzywając Jego opieki, gdy Niemcy robili rewizje – w trakcie przeszukań i sprawdzania dokumentów gromadziły się na modlitwie w kaplicach swoich domów. Matusia była świadoma, że trzeba było wspierać siostry przeżywające wątpliwości i kryzysy. Któregoś dnia przed wyjazdem do Płud



o dzieckiem o „złym wyglądzie” przyszła do Matki Matyldy s. Janina Kruszczyńska „»Matusiu, strasznie się boję, na Dworcu Gdańskim Niemcy zaostrzyli kontrolę pasażerów«. »Zobacz, jakie to dziecko ma piękne oczy»” – odpowiedziała Matusia i jej słowa sprawiły, że na siostrę spłynął całkowity spokój.

Nie można było inaczej się zachować. Matusia robiła to, co powinna robić. A Pan Bóg?

Gdy Niemcy wpadli na trop pochodzącej z Kalisza Janiny Dawidowicz, trzeba było ją błyskawicznie przenieść z Płud do domu w Łomnie. Matka Matylda zadzwoniła do s. Tekli Budnowskiej. „Czy przyjmie siostra błogosławieństwo Boże?” – spytała i była to zaszyfrowana informacja, czy przyjmie kolejne żydowskie dziecko. Odpowiedź była oczywista. ■

Tekst jest fragmentem biografii m. Matyldy Getter ze Zgromadzenia Franciszkanek Rodziny Maryi „Uratować tysiąc światów” Aliny Petrowej-Wasilewicz. Wydawnictwo Esprit 2021



PRZYGODY MAKŁOWICZA SENIORA

WSZYSCY ZNAMY ROBERTA MAKŁOWICZA – KRYTYKA KULINARNEGO, DZIENNIKARZA, PUBLICYSTĘ, PODRÓŻNIKA, KTÓRY NIEDAWNO BŁYSKAWICZNIE AWANSOWAŁ DO CZOŁÓWKI POLSKICH YOUTUBERÓW. NIEWIELE OSÓB JEDNAK ZDAJE SOBIE SPRAWĘ, JAK BARWNA POSTACIĄ BYŁ OJCIEC PANA ROBERTA, WŁODZIMIERZ. ODTWARZAJĄC LOSY MAKŁOWICZA SENIORA I ŚLEDZĄC PEŁNE PASJI ORAZ HUMORU POCZYNIANIA JEGO SYNA, PRZYCHODZI NA MYŚL POLSKIE PRZYSŁÓWIE „NIEDALEKO PADA JABŁKO OD JABŁONI”



MARCIN
KWAŚNIAK

Włodzimierz Makłowicz urodził się 21 kwietnia 1930 r. w Stanisławowie, w typowej dla kresów wieloetnicznej rodzinie, której członkowie stanowili polsko-ukraińsko-ormiańską mozaikę. Dziecięce lata, pełne chłopięcych wygłupów i przysparzania rodzicom problemów wychowawczych, zostały brutalnie przerwane najpierw przez inwazję sowiecką, a następnie okupację niemiecką. W lutym 1944 r. miało miejsce wydarzenie, które wywarło kolosalny wpływ na dalsze losy młodego Włodzimierza: został schwytany w ulicznej łapance i wywieziony „na roboty” do Niemiec. Trafił do gospodarstwa w pobliżu granicy z Francją, gdzie wraz z innym Polakiem, Zdzisławem Korzeniowskim, i trzema Francuzami przez kilka miesięcy pracował na roli. Po tym czasie cała piątka pod kierownictwem jednego z francuskich jeńców, który okazał się byłym wojskowym, zbiegła z niewoli i przez terytorium Luksemburga przedostała się do okupowanej Francji, gdzie dołączyła do oddziału

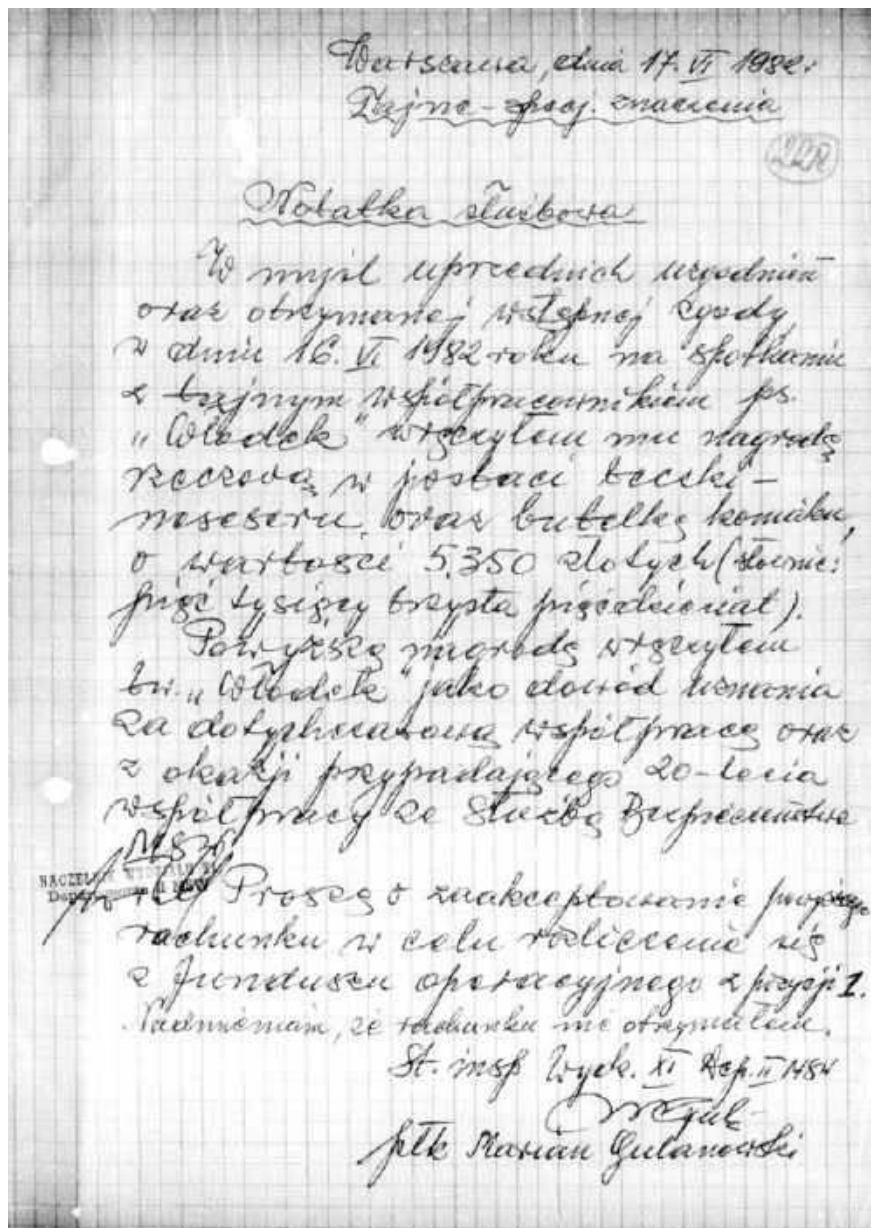
partyzanckiego. Po przesunięciu się linii frontu na zachód Makłowicz przedostał się do Belgii, z zamiarem odnalezienia stryja, który w 1929 r. wyemigrował tam za chlebem. Plan ten, przy wydatnej pomocy Czerwonego Krzyża, powiódł się i po kilkumiesięcznej tułaczce chłopak mógł wreszcie odpocząć oraz zrehabilitować siły w rodzinnej atmosferze. Sielanka nie trwała jednak długo. Stryj okazał się być rygorystycznym opiekunem nietolerującym lenistwa i – co gorsza – wysłał Włodka do szkoły, gdzie ten miał się nauczyć zawodu. Tego dla młodego włóczykija było już za wiele. Po trzymiesięcznym pobycie u brata ojca uciekł do Antwerpii, gdzie planował zaciągnąć się na statek jako chłopiec okrętowy. Szczęście mu sprzyjało. Mimo młodego wieku udało mu się zamustrować na polski statek SS „Kordecki”, na którym pływał do jesieni 1945 r.

Człowiek morza

Po pierwszej w swym życiu przygodzie z żeglugą morską Włodek w nie do końca jasnych okolicznościach wstąpił do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Po uznaniu przez mocarstwa zachodnie

Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej został żołnierzem Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia, organizacji utworzonej przez Brytyjczyków specjalnie dla Polaków, którzy nie chcieli wracać do komunistycznej Polski. Jej głównym celem było przysposobienie zdemobilizowanych żołnierzy do życia cywilnego na terytorium Wielkiej Brytanii lub innych państw „wolnego świata”.

Podczas ponad dwuletniej służby głównie w Szkocii ukończył kurs dla mechaników okrętowych, co na resztę życia związało go już z morzem. Po opuszczeniu koszar, z początkiem 1948 r., przez kolejne dwa lata pływał na różnych statkach – najczęściej pod banderą liberyjską lub panamską. W październiku 1950 r., z kieszeniami wypchanymi ciężko zarobionymi dolarami, zszedł na ląd we francuskim mieście Le Havre (Hawr). Magia jednego z największych europejskich portów, szczególnie jego rozrywkowej dzielnicy, sprawiła, że dwudziestolatek poczuł się królem życia. Jak to zwykle w takich wypadkach bywa, pieniądze starczyło mu tylko na miesiąc hulaszczey zabawy. Bez grosza przy duszy >>



» nie był już tak atrakcyjnym kompanem dla nowo poznanych przyjaciół i szybko znalazł się w nowej dla siebie roli... bezdomnego. I ten stan nie trwał jednak zbyt długo. Podczas jednej z nocy spędzonych w opuszczonym nadbrzeżnym bunkrze został aresztowany przez policję za włóczęgostwo i osadzony w areszcie. Ku zaskoczeniu naszego bohatera zaproponowano mu dwie możliwości wyjścia z tej trudnej sytuacji. Pierwszą była deportacja do Anglii, drugą wizja pięciu lat spędzonych w Legii Cudzoziemskiej. Z sobie tylko znanych powodów zdecydował się na służbę we francuskiej armii najemników.

Legia Cudzoziemska

Jeszcze w listopadzie 1950 r. legionista Makłowicz, już jako Amerykanin Maktor Walter, został przetransportowany do bazy wojskowej w północnej Afryce, gdzie przebywał przez dwa lata. Pierwszy dłuższy urlop postanowił spędzić w Maroku. Dzięki biegłej znajomości języka angielskiego i ekstrawertycznemu charakterowi szybko zjednał sobie przebywających tam również na przepustce żołnierzy amerykańskich. Podczas kilkudniowych szaleństw Włodek wyznał nowo poznanym kompanom, że targa nim wielka tęsknota za rodziną i krajem, który musiał opuścić jako dziecko.

Ci, chcąc pomóc wesołemu Polakowi, dostarczyli mu sfałszowany paszport amerykański, dzięki któremu mógł uciec z Czarnego Łądu. Niestety tuż po wylądowaniu na Gibraltarze nasz globtroter został aresztowany przez Anglików pod zarzutem dezercji z armii... amerykańskiej. Dopiero dzięki wielogodzinnym przesłuchaniom śledczym udało się ustalić fakty i Makłowicz został przekazany przedstawicielom francuskiej armii. Nieszczęśnika skazano na roczny pobyt w batalionie karnym w samym środku Sahary.

Po upływie kary i wygaśnięciu pięcioletniego kontraktu porzucił z ulgą mundur Legii i stwierdził, że nadszedł kres wieloletniej tułaczki po świecie. Pierwsze kroki skierował do ambasady polskiej w Paryżu, z prośbą o umożliwienie mu powrotu do ojczyzny. Mimo że większość rodziny – jak się okazało, ciężko doświadczonej w czasie II wojny światowej (jeden brat ojca został zamordowany w Katyniu, drugi w randze porucznika I Armii WP poległ podczas walk o Kołobrzeg) – pozostała w ZSRS, to z obawy przed wywózką na Syberię za służbę w obcej armii Włodzimierz wybrał Polskę. Liczył na to, że tu nikt nie będzie się doszukiwał tajemnic w jego życiorysie. Szybko się jednak przekonał, jak bardzo naiwne było to myślenie.

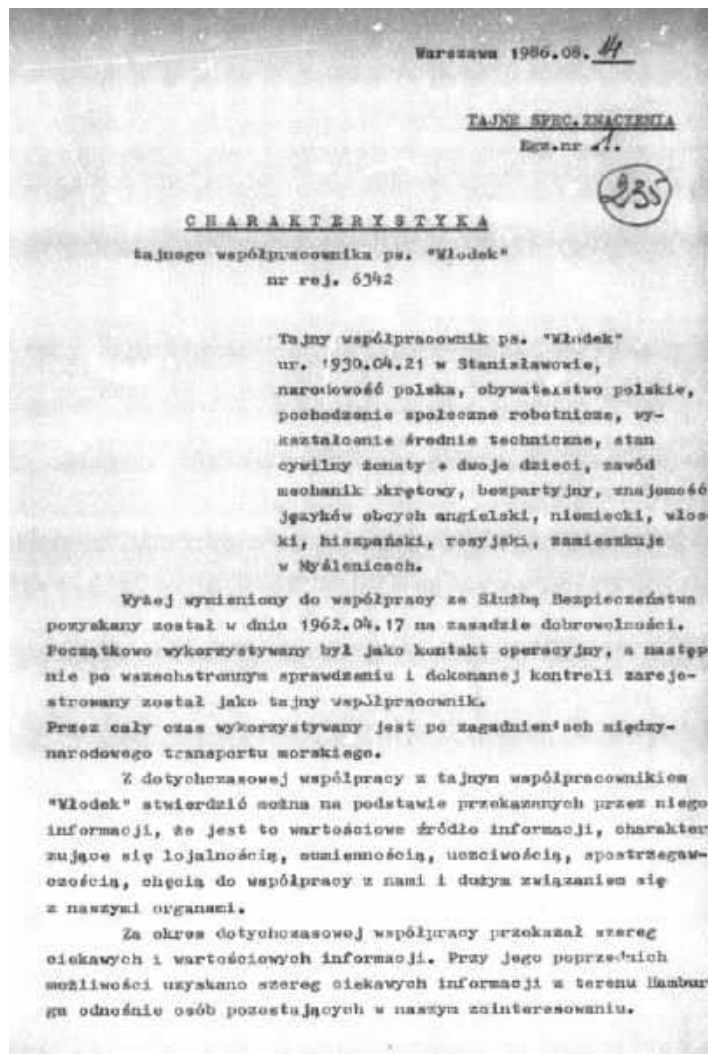
Z Sahary do Polski

Po przyjeździe zamieszkał w Gdańsku i zatrudnił się w Polskim Ratownictwie Okrętowym. Dostał polski paszport i zgodę na pływanie u zagranicznych armatorów po całym świecie. Oczywiście nie stało się to przypadkowo. Służba Bezpieczeństwa od pierwszych dni po powrocie bardzo wnikliwie przyglądała się Makłowiczowi, śledząc go zarówno w kraju, jak i za granicą. Badanie pod kątem przydatności pozyskania do współpracy trwało kilka lat. Przede wszystkim wątpliwości budził jego życiorys, który mógł z powodzeniem służyć za scenariusz filmu sensacyjnego. Najlepszym dowodem na rozmach bezpieki przy sprawdzaniu prawdziwości Włodzimierza było zwrócenie się o pomoc w tej sprawie do bratniej służby Związku Radzieckiego. Ponieważ w żaden sposób nie udowodniono mu konfabulacji, w kwietniu 1962 r. wydano zgodę na werbunek. Oficerem prowadzącym został kpt. Marian Gulanowski, oficer Wydziału IX

Departamentu II MSW, komórki odpowiedzialnej za rozpracowanie kontrwywiadowcze międzynarodowej wymiany handlowej. Esbek twierdził, że zdołał namówić do współpracy Makłowicza na „zasadzie dobrowolności” i na „uczuciach patriotycznych”, zdawał sobie jednak sprawę z tego, iż elementem przetargowym był tak ważny dla każdego marynarza paszport. Nowo pozyskany tajny współpracownik miał się posługiwać mało wyszukany pseudonimem „Włodek”. Został przeszkolony z prawideł konspiracji i zapoznał się z zakresem zadań. Do jego głównych obowiązków zaliczała się infiltracja środowisk polonijnych, obserwacja obiektów strategicznych w odwiedzanych portach i dostarczanie informacji o marynarzach, z którymi pływał.

Współpracownik SB

Makłowicz bardzo szybko odnalazł się w nowej roli. Dzięki wrodzonej inteligencji, darowi wnikliwej obserwacji i umiejętności zjednywania sobie ludzi był cennym nabytkiem Służby Bezpieczeństwa. Szczególnie przydatnym przy rozpracowywaniu szemranego środowiska polonijnego półświatka w Hamburgu. Niestety dla swych mocodawców posiadał jedną kluczową wadę – w najmniejszy nawet sposób nie przejmował się wdrażanymi mu wielokrotnie podczas szkoleń zasadami konspiracji. Często podczas zakrapianych biesiad, odbywających się w trakcie rejsów, dekonspirował się zupełnie, chwalał się kolegom, dla kogo „pracuje pod przykrywką” i z jakimi niebezpiecznymi misjami się zмага. Jakby tego było mało, na własną rękę podejmował próby werbowania do współpracy z SB innych marynarzy, nie mając pojęcia o tym, że ci od dawna są związani z bezpieką. Do prawdziwej furii doprowadził szefostwo kontrwywiadu, kiedy powołując się na swoje kontakty w MSW, próbował załatwić w polskiej ambasadzie w Berlinie



specjalną przepustkę, która by go zwolniła z płacenia cła za kupiony w RFN samochód.

Trzeba przyznać, że kooperacja „Włodka” z komunistycznym aparatem represji nie była podyktowana chęcią finansowego zysku. Oczywiście otrzymywał zwrot kosztów za przejazd czy hotel w miejscu spotkania z oficerem prowadzącym. Dostawał także prezenty „rocznicowe”, takie jak neser z okazji 20-lecia współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa. Podstawą uwikłania była jednak obopólna korzyść. W zamian za przekazywane informacje Makłowicz oraz członkowie jego najbliższej rodziny nigdy nie spotkali się z odmową w chwili składania prośby o jakże wówczas cenny paszport. Dzięki pomocy funkcjonariuszy mógł też po prawie 20 latach odwiedzić rodziców i rodzeństwo, którzy nie skorzystali z możliwości repatriacji i pozostali w ZSRS.

Zamiast ocen

Mimo wieloletniej współpracy (zakończono ją dopiero w październiku 1989 r.) bezpieka nigdy do końca nie ufała agentowi „Włodekowi”. Makłowicz był przez całe lata intensywnie inwigilowany na wielu płaszczyznach. Od klasycznej obserwacji, poprzez wywiad środowiskowy, po perlustrację korespondencji. Nawet podczas wizyty w Związku Sowieckim, na prośbę polskich towarzyszy, uruchomiono całą siatkę tamtejszych tajnych współpracowników w celu kontrolowania każdego kroku „Włodka”. Nie omieszkało do tego celu wykorzystać jego brata Jarosława, którego z sowiecką bezpieką łączył „stosunek oparty na zaufaniu”, jak to subtelnie podsumował funkcjonariusz tworzący raport z obserwacji.

Materiały dotyczące Włodzimierza Makłowicza, przechowywane obecnie w Archiwum Instytutu Pamięi Narodowej, czyta się jednym tchem, z wypiekami na twarzy. Pierwszorzędnie obrazują, jak skomplikowane i nieszcześliwe były losy ludzi, których młodzińcze lata przypadły na czas wojny. Ukazują także tragizm tysięcy repatriantów wycieńczonych wieloletnią tułaczką, zmuszonych przez system komunistyczny do uległości. Będzie miał rację ten, kto stwierdzi, że nikt nie zwróciłby uwagi na TW „Włodka”, gdyby nie zbieżność nazwisk z telewizyjną gwiazdą. Jeszcze więcej racji będzie miał ten, kto powie, że dzieci nie mogą odpowiadać za wybory swych rodziców.

Kpt. Gulanowski, charakteryzując po latach swojego „podopiecznego”, pisał: „Ponadprzeciętnie inteligentny, dusza towarzystwa, niezrównany gawędziarz. Z zamiłowaniami podróżnik, poliglota, zna biegle język angielski, francuski i niemiecki oraz słabiej rosyjski, włoski i hiszpański”. Czytając ten opis, dochodzi się do wniosku, że wielka jest magia dziedziczenia genów.

Reprezentacja polskich sportowców podczas ceremonii otwarcia igrzysk olimpijskich w Monachium, 1972 r.

„SMUTNI PANOWIE”

NA OLIMPIJSKIM SZLAKU



**GRZEGORZ
MAJCHRZAK**

ZMAGANIA OLIMPIJSKIE – NAJBARDZIEJ PRESTIŻOWE ZAWODY ŚWIATA – TO BYŁA TEŻ ARENA DZIAŁAŃ POLITYCZNYCH OBOZU SOWIECKIEGO. A ZATEM POLE DO DZIAŁANIA DLA KOMUNISTYCZNYCH SŁUŻB BEZPIECZEŃSTWA

Zmagania olimpijskie zawsze budziły i nadal budzą ogromne emocje. Niezależnie od miejsca, w którym są rozgrywane, przed telewizory ściągały (niegdyś co cztery, od lat 90. co dwa lata – na przemian letnie i zimowe, ten cykl zakłóciła, miejmy nadzieję, że jedynie na krótko, pandemia koronawirusa) miliony widzów na całym świecie. Nie ma w tym nic dziwnego, skoro były i są największymi oraz najbardziej prestiżowymi zawodami sportowymi. To nadal oczywiście święto sportu, choć z pierwotną ideą barona Pierre'a de Coubertina ma niestety coraz mniej wspólnego. Niestety już od dekad olimpiady to nie tylko zmagania „dzielnych herosów sportu”, lecz również narzędzie w rękach polityków. Tak było już przed II wojną światową, czego najlepszym dowodem są choćby letnie igrzyska olimpijskie w Berlinie w 1936 r., wykorzystane przez nazistowskie Niemcy w celach propagandowych.

Sport pod kontrolą

Zresztą politycy, niezależnie od ustroju czy dekady, lubią się pokazywać w towarzystwie sportowych czempionów, szczególnie po ich triumfach. I oczywiście wykorzystywać ich sukcesy dla własnych celów. Tym bardziej że w okresie powojennym na arenach olimpijskich rywalizowali ze sobą nie tylko sportowcy, lecz również dwa wrogie obozy – z jednej strony państwa kapitalistyczne (na czele ze Stanami Zjednoczonymi), a z drugiej kraje demokracji ludowej (tu niekwestionowanym liderem był Związek Sowiecki). W tych ostatnich sport – podobnie jak inne dziedziny życia – znajdował się pod totalną kontrolą władz. Na spontaniczną rywalizację nie było miejsca, gdyż sport miał być narzędziem „umacniania socjalizmu”, wykazywania jego wyższości nad kapitalizmem. Sportowcy z krajów demokracji ludowej byli więc objęci „opieką” władz sportowych i rządzącej partii komunistycznej (w Polsce PPR/PZPR), a także bezpieki – zarówno cywilnej, jak i wojskowej (w PRL Urzędu Bezpieczeństwa, a następnie Służby Bezpieczeństwa oraz Informacji Wojskowej, a potem Wojskowej Służby Wewnętrznej). Nie inaczej było również w przypadku tych najważniejszych zmagani sportowych, jakimi były olimpiady. Szczególnie aktywny był resort spraw wewnętrznych, w którym tworzono – głównie na szczeblu

centralnym, rzadziej w terenie – specjalne sztaby czy grupy operacyjne. Utworzona w związku z letnimi igrzyskami olimpijskimi w Monachium grupa operacyjna MSW liczyła osiem osób. Jej pracami kierował Mieczysław Schwarz (naczelnik „wydziału niemieckiego” w wywiadzie, późniejszy bohater afery „Żelazo”, jednej z największych afer kryminalnych w okresie PRL). Grupie przydzielono nawet sztyfanta, który „wykonywał także pracę dla upoważnionych osób i kierownictwa politycznego delegacji polskiej”.

JEDNYM Z PRIORYTETÓW BEZPIEKI BYŁO ZAPOBIEGANIE „NIEPOŻĄDANYM KONTAKTOM” NASZYCH SPORTOWCÓW

„Ochrona olimpiad”

„Smutni panowie” czuwali nad przebiegiem ważniejszych imprez sportowych oraz „ochraniali” sportowców, szczególnie tych czołowych. W związku z „zabezpieczeniem” letnich lub zimowych igrzysk olimpijskich SB zakładała kolejne sprawy, w jej żargonie określane mianem spraw obiektowych. Nie wiadomo niestety – ze względu na brak dokumentacji – od kiedy tego rodzaju sprawy zakładano. Z całą pewnością postępowano tak co najmniej od początku lat 70., od letnich igrzysk w Monachium w 1972 r. Zachowana dokumentacja wskazywałaby zresztą, że większą wagę przykładano do letnich olimpiad. To zresztą zrozumiałe, gdyż brało w nich udział zdecydowanie więcej polskich sportowców niż w zimowych. Wraz z nimi, a także działaczami sportowymi, trenerami, lekarzami i widzami – zresztą poza olimpiadą moskiewską – niezbyt licznymi, wyjeżdżali również funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa oraz oficerowie Wojskowej Służby Wewnętrznej. Obecność tych ostatnich wynikała najprawdopodobniej z tego, że

wśród polskich sportowców amatorów znajdowali się żołnierze (przynajmniej na papierze) ludowego Wojska Polskiego.

Niepożądane kontakty

Ludzie bezpieki – wspierani przez swoich agentów, zainstalowanych w gronie sportowców (w tej grupie było ich zresztą najmniej), oficerów, działaczy, trenerów i dziennikarzy – chronili polskich sportowców przed potencjalnymi zagrożeniami. Tych zagrożeń było zresztą wiele – od prowokacji zachodnich służb, po ucieczki polskich zawodników skuszonych wizją występów na Zachodzie i lepszego życia. Dlatego jednym z priorytetów – nie tylko zresztą bezpieki – było zapobieganie niepożądanym kontaktom naszych sportowców. Za takie uważano styczność z polską emigracją polityczną, a także jej instytucjami (zwłaszcza znienawidzonym przez peerelowskie władze Radiem Wolna Europa), lecz również z polskimi zawodnikami, którzy nielegalnie pozostali na Zachodzie (m.in. przed igrzyskami olimpijskimi w Seulu ze znakomitym tyczkarzem Władysławem Kozakiewiczem). Do niepożądanych kontaktów zaliczano również funkcjonariuszy i współpracowników służb specjalnych państw kapitalistycznych, a także zachodnich kaperowników, którzy namawiali naszych reprezentantów do przejścia (oczywiście bez zgody odpowiednich polskich władz sportowych) do zachodnich klubów. Tak na marginesie o tego rodzaju działalności podejrzewano m.in. wspomnianego wcześniej Kozakiewicza...

O tym, jak ta kontrola bywała ścisła, najlepiej świadczy przypadek Jerzego Klempela, który był de facto zawodowym piłkarzem ręcznym (grał w barwach Śląska Wrocław), a formalnie zawodowym żołnierzem WP w stopniu starszego sierżanta. Otóż, jak wynika z akt WSW, miał on podczas letnich igrzysk olimpijskich w Montrealu w 1976 r. spotkać się – na polecenie zresztą Wojskowej Służby Wewnętrznej – ze swoim bratem uciekinierem mieszkającym w Stanach Zjednoczonych. Ich spotkanie – jak się później okazało, mające charakter typowo rodzinny – było „zabezpieczane” przez agenta Służby Bezpieczeństwa...

Niektórym wolno było więcej

Tego rodzaju spotkania nie były jednak normą. Polskim sportowcom ograniczono możliwość poruszania się po >>

>> krajach, w których odbywały się olimpiady, po prostu zabierano im paszporty. A za niepożądane kontakty czy wyjazdy z wioski olimpijskiej bez zgody kierownictwa ekipy wyciągano konsekwencje. Czasami zresztą bardzo surowe. W przypadku wioślarki Ewy Ambroziak, która bez stosownego pozwolenia opuściła na noc wioskę olimpijską podczas igrzysk w Montrealu, aby się udać do Niagara Falls, najprawdopodobniej po to, by obejrzeć słynny wodospad, miało to być nawet usunięcie z kadry. Co ciekawe, zdecydowanie łagodniej potraktowano boksera Andrzeja Biegalskiego, który – jak później twierdził – był u znajomych rodziny, których nazwiska i adresu rzekomo nie znał, a przynajmniej nie chciał podać. Nic nie wiadomo, aby go za to ukarano, i to mimo że kierownictwo ekipy olimpijskiej już wcześniej zgłaszało zastrzeżenia wobec niego... Jak się można domyślać, decydowały względy pragmatyczne. Biegalski był sportowcem bardziej utytułowanym od Ambroziak (mistrzem Europy), a więc również bardziej przydatnym. Tu jedna ważna uwaga: kiedy dany zawodnik przedstawiał być potrzebny, na życzliwość lub tym bardziej pomoc władz sportowych nie mógł już liczyć.

Handel i przemysł

Służba Bezpieczeństwa odnotowywała właściwie wszelkie niepożądane wydarzenia z udziałem naszych sportowców, trenerów czy działaczy. Podczas zimowych igrzysk olimpijskich w Sarajewie w 1984 r. był to wywiad Telewizji Polskiej z trenerką łyżwiarstwa figurowego Barbarą Kossowską ubraną w koszulkę z napisem „USA”. I znowu trudno w tym przypadku mówić o równym traktowaniu wszystkich członków polskiej ekipy. Doskonale ilustruje to przypadek Janusza Kubasiewicza, zastępcy kierownika Wydziału Organizacyjnego Komitetu Centralnego PZPR, członka kierownictwa ekipy olimpijskiej odpowiedzialnego za program pozasportowy, który podczas igrzysk w Montrealu został zatrzymany przez kanadyjską policję pod zarzutem ekshibicjonizmu. Co prawda musiał on w wyniku tego skandalu natychmiast wrócić do kraju, a w trakcie rozmowy wyjaśniającej nie był w stanie wyjaśnić, dlaczego znalazł się w miejscu, w którym go zatrzymano, to jednak sytuację z jego udziałem uznano za prowokację... Tak na marginesie kierow-

nictwo polskiej ekipy – na co skarżyli się potem funkcjonariusze SB „ochraniający” polską ekipę olimpijską – nie zaprosiło ich do „udziału w decyzjach w tej sprawie”.

Najczęstszym jednak problemem były przypadki handlu. Olimpiady – podobnie jak inne zagraniczne imprezy sportowe – były bowiem traktowane jako kolejna okazja do zarobku. Czasami zresztą dochodziło do sytuacji wręcz skandalicznych. Podczas igrzysk w Monachium znakomita polska lekkoatletka Irena Szewińska narzekała na brak biletów wstępu na zawody dla polskich sportowców, gdyż te przeznaczone dla nich sprzedali polscy działacze. Z kolei podczas zmagania w Montrealu bezpieka dysponowała „niekonkretnymi i niepozwalającymi na ustalenie bliższych danych o osobach” informacjami o handlu bursztynami i kryształami przez naszych sportowców.

Niekiedy jednak esbecy dysponowali bardziej konkretnymi danymi. Przed zimowymi igrzyskami w Calgary w 1988 r. dzięki informacjom kontaktu operacyjnego „M.B.” poznali nazwiska polskich hokeistów, którzy mieli wyjechać do Kanady, a byli znani z „zamiłowań handlowych”. Według tego długoletniego współpracownika Służby Bezpieczeństwa należeli do nich: Leszek Jachna, Jerzy Christ, Mieczysław Łaś (ostatecznie nie wyjechał), Andrzej Hanisz oraz Jan Stopczyk. Z kolei przed ostatnimi igrzyskami „zabezpieczanymi” przez SB – w 1988 r. – funkcjonariusze MSW informowali polskie władze sportowe o naszych reprezentantach, których postawa budzi ich zastrzeżenia. Wśród nich znaleźli się również – w jednej, szerokiej grupie – wymienieni z imienia i nazwiska sportowcy nadużywający alkoholu, zajmujący się handlem i przemysłem (w tym środków anabolicznych), stosujący doping, utrzymujący kontakty z uciekinierami z PRL oraz prezentujący „niski poziom etyczno-moralny”. W tej szerokiej grupie – wobec których SB miała „inne zastrzeżenia” – znalazło się 12 osób.

Zły i dobry doping

Tu zresztą dochodzimy do kolejnego zagrożenia, jakim był doping. Przy czym – co trzeba przypomnieć – również on przez władze polityczne czy sportowe,

w tym peerelowskie, był traktowany jako narzędzie w walce z kapitalizmem. I vice versa zresztą. Kilka miesięcy przed letnimi igrzyskami olimpijskimi w Moskwie w 1980 r. czechosłowacka bezpieka (Štátna Bezpečnosť) przekazała sojusznikom informację „z dziedziny wykorzystywania środków dopingowych przez sportowców krajów socjalistycznych i krajów kapitalistycznych”. Towarzysze z Czechosłowacji informowali w nim m.in. „o poszukiwaniu nowych dróg w stosowaniu anabolicznych sterydów jako formy dopingu w wybranych dyscyplinach sportowych” w celu wyeliminowania możliwości ich wykrycia w czasie kontroli antydopingowej. Również Służba Bezpieczeństwa była nie najgorzej poinformowana w kwestii dopingu, tyle że u polskich sportowców. Jednak jej funkcjonariusze nie podejmowali działań w celu ukrócenia tego procederu, ograniczając się do obserwacji zjawiska i informowania o nim polskich władz sportowych.

Co prawda afery dopingowa z udziałem naszego hokeisty Jarosława Morawieckiego podczas igrzysk w Calgary w 1988 r. miała spowodować podjęcie „zdecydowanych kroków dyscyplinarnych i profilaktycznych w odniesieniu do całej sfery sportu”, ale tak się nie stało. Od uczciwej sportowej rywalizacji ważniejszy był bowiem efekt propagandowy... Nie sposób w tym miejscu nie przypomnieć, że to właśnie z dokumentacji SB wynika, iż jeden z 16 medali zdobytych przez Polaków w stolicy Korei Południowej miał zostać wywalczony dzięki dopingowi. Wracając zaś do wspomnianej wcześniej listy sportowców, do których przed igrzyskami tam rozgrywanymi zastrzeżenia miała polska bezpieka, to co najmniej troje z nich (w tym brązowa medalistka z Seulu kajakarka Izabela Dylewska) zostało w kolejnych latach przyłapanych na stosowaniu niedozwolonego wspomaganie. Jeśli wierzyć ustaleniom Służby Bezpieczeństwa, to planowała ona nawet odmowę powrotu do kraju (wraz ze swoim trenerem Olgierdem Światowiakiem) w przypadku pozytywnego wyniku kontroli antydopingowej podczas seulskich igrzysk. Szczęśliwie dla utytułowanej polskiej kajakarki dopingu u niej wówczas nie wykryto, stało się to dopiero dwa lata później...

*Autor jest pracownikiem
Biura Badań Historycznych IPN*

Rok 1956 – początek ery Kekkonena



**PAWEŁ
SKIBIŃSKI**

W lutym 1956 r. prezydentem Finlandii został lider Partii Agrariuszy – Urho Kekkonen (1900–1986), jeden z twórców polityki tzw. finlandyzacji, czyli zgody na ograniczenie suwerenności zewnętrznej państwa w zamian za pozostawienie swobody w polityce wewnętrznej i gospodarczej. Będzie on jednym z mężów stanu, którzy najdłużej w XX w. sprawowali swój urząd – odejdzie bowiem z prezydentury po 26 latach.

Pierwszy jego wybór na sześciolletnią kadencję został dokonany przez kolegium elektorskie zaledwie dwoma głosami, natomiast kolejne reelekcje (w 1962, 1968 i 1978 r.) zostały dokonane już znaczną większością głosów.

Kekkonen pochodził z rodziny chłopskiej. W 1918 r. przyszedł prezydent Finlandii wziął udział w fińskiej wojnie domowej, podczas której z bronią w ręku zwalczał komunistyczną rewolucję. W okresie międzywojennym był wybitnym sportowcem – zdobywając liczne medale w lekkiej atletyce, m.in. mistrzostwo Finlandii w skoku wwyż. Przez dziesięć lat (do 1946 r.) przewodniczył też Fińskiemu Komitetowi Olimpijskiemu. W latach 20. XX w. był funkcjonariuszem fińskiej policji politycznej. Następnie ukończył studia prawnicze i napisał doktorat.

W 1936 r. po raz pierwszy zasiadł w fińskim parlamencie, do którego będzie wybierany nieprzerwanie przez następne 20 lat – do czasu objęcia prezydentury. Po raz pierwszy zostanie ministrem – obejmując tekę sprawiedliwości – w tym samym 1936 r. Później Kekkonen będzie także ministrem spraw wewnętrznych, w latach 40. XX w. ponownie ministrem sprawiedliwości, a także szefem dyplomacji. Dwukrotnie (1950–1953, 1954–1956)

będzie także stał jako premier na czele fińskiego rządu. Łącznie będzie przewodniczył pięciu gabinetom. Przez dwa lata będzie stał także na czele fińskiego parlamentu – Eduskunty.

Kekkonen mimo swej antykomunistycznej przeszłości został jednym z kluczowych polityków formujących nowe stosunki Helsinki z sowieckim imperium. Był m.in. ministrem sprawiedliwości, który zorganizował procesy pokazowe fińskich władz okresu wojny – odpowiedzialnych za prowadzenie działań militarnych przeciwko Związkowi Radzieckiemu w latach 1941–1944. Procesy te z pewnością były niezgodne z fińskim systemem prawnym. Wśród skazanych na kilka lat więzienia przywódców byli wówczas pre-

uczestniczyć w procesie integracji europejskiej, budując specjalne stosunki z Europejską Współnotą Gospodarczą.

Związek Radziecki dawał wielokrotnie do zrozumienia Finom, że traktuje obecność Kekkonena jako rękojmię specjalnych stosunków między oboma krajami i życzy sobie reelekcji długoletniego prezydenta. W 1961 r. powstała na ten temat nawet specjalna nota dyplomatyczna. W rewanżu Kekkonen został m.in. odznaczony orderem Lenina, a także uzyskał doktoraty honoris causa uniwersytetów w Moskwie i Warszawie. Rzeczywiście Sowietom mogli liczyć na lojalność Kekkonena – przyczynił się on bowiem np. do obalenia antykomunistycznego rządu premiera Fagerholma w 1958 r.

W 1973 r. Kekkonen, zręcznie szermując argumentem o kończących się właśnie negocjacjach Finlandii z EWG i strasząc opozycję swymi sowieckimi protektorami, zapewnił sobie lojalność i przedłużenie trzeciej wówczas kadencji o kolejne cztery lata – do 1978 r.

W tym samym roku Kekkonen rozpoczął czwartą kadencję, którą jednak musiał przerwać w związku z gwałtownym pogorszeniem się stanu zdrowia w drugiej połowie 1981 r. Ostatecznie wieloletni prezydent Finlandii podał się do dymisji i złożył urząd na początku następnego roku.

Przyczyniło się do tego także to, że ówczesny fiński premier Mauno Koivisto, pochodzący z Socjal-Demokratycznej Partii Finlandii, nie podporządkował się w 1981 r. pozakonstytucyjnej sugestii Kekkonena na temat złożenia przezeń dymisji. Dotąd prezydent skutecznie narzucał premierom swoją wolę, teraz jednak mu się to nie udało, a jego autorytet poważnie osłabł. Bezceremonialne, pozakonstytucyjne w gruncie rzeczy praktyki Kekkonena przyczyniły się do wielu konstytucyjnych zmian, dokonywanych przez legislaturę poczynawszy od 1984 r.

Miały one na celu uniknięcie dominacji nad krajową polityką jednej, zbyt silnej osobowości w rodzaju Kekkonena.



Urho Kekkonen (po lewej) mimo swej antykomunistycznej przeszłości stał się tym fińskim politykiem, który ułożył nowe stosunki Helsinki z sowieckim imperium

zydent Ryti oraz dwóch premierów – Rannelli i Linkomies. Jednak warto zaznaczyć, że wszyscy skazani zostali w 1949 r. w puszczeni na wolność.

Prezydent Kekkonen po roku 1956 będzie głównym gwarantem fińskiej zależności od Związku Radzieckiego, która wyrażała się m.in. szczególną pozycją ambasady sowieckiej i rezydentury KGB w Helsinkach, a także bliską współpracą gospodarczą kraju z Moskwą.

W zamian za to jednak władze w Helsinkach mogły utrzymać system wielopartyjny i gospodarkę rynkową, a także

DOROBK WRESZCIE PRZYPOMNIANY



**14-TOMOWA SERIA WYDAWNICZA
POŚWIĘCONA DOROBKOWI POLSKIEJ
FILOZOFII CHRZEŚCIJAŃSKIEJ W XX w.
TO DZIEŁO BARDZO WAŻNE I POTRZEBNE**



**RAFAŁ
ŁATKA**

Biurowy Badania
Historycznych
IPN

W polskiej refleksji publicznej brakuje dzieł całościowych i syntetyzujących. O ile wiele zagadnień, zwłaszcza z zakresu XX w., zostało w detalicznych szczegółach omówione (nieraz w bardzo obszernych pracach), o tyle trudno ciągle o publikacje o szerokim zasięgu tematycznym i opisującym zagadnienia ogólne. Nie inaczej jest w zakresie prezentowania dorobku polskiego chrześcijaństwa, jego wkładu w dzieje naszej ojczyzny, w wielu różnorodnych zakresach. Pozytywnym wyjątkiem jest wydana w 2020 r. w Krakowie, przez Akademię Ignatianum, seria wydawnicza: „Polska Filozofia Chrześcijańska w XX wieku”. Składa się ona z 14 tomów, z których 13 poświęconych jest poszczególnym wybitnym filozofom polskim działającym w XX i częściowo w XXI w. Przybliżono sylwetki następujących postaci (wymieniam w kolejności alfabetycznej, zgodnie zresztą

z założeniem redakcji serii): Mieczysław Gogacz, Stanisław Kamiński, Kazimierz Kłosewski, Kazimierz Kłósak, Feliks Koneczny, Mieczysław Albert Krąpiec, Piotr Lenartowicz, Tadeusz Styczeń, Tadeusz Ślipko, Józef Tischner, Karol Wojtyła, Jacek Woroniecki, Zofia Józefa Zdybicka. Patrząc na tę listę, można z pełnym przekonaniem stwierdzić, że nie pominięto nikogo istotnego. Można się zastanawiać, czy dorobek ks. Tischnera jest wystarczający, by znaleźć się w tym gronie, ale przemawia za nim

szeroka obecność w polskiej (i nie tylko polskiej) sferze publicznej. Ostatni tom stanowi całościowy przewodnik po głównych kierunkach refleksji filozoficznej oraz szkół takiego myślenia, jakie funkcjonowały w naszym kraju na przestrzeni ostatniego stulecia.

Wielką zaletą serii jest identyczna konstrukcja każdego tomu, na który składają się przybliżenie sylwetki danego filozofa i jego najważniejszych dzieł oraz specjalnie dobrane teksty reprezentatywne dla całości twórczości. Podobnie jest w zakresie prezentacji poglądów i dorobku intelektualnego, starano się trzymać jednolitego schematu (tu bardzo istotny jest słownik terminów znajdujący się we wszystkich książkach). Tego typu zabiegi pozwalają czytelnikowi na zdobycie podstawowych informacji na temat wybitnych postaci zajmujących się w Polsce refleksją filozoficzną, sięgnięcie bezpośrednio do



**„Polska Filozofia Chrześcijańska w XX wieku”, tomy I–XIV,
Akademia Ignatianum, Kraków 2020**

wybranych źródeł pierwotnych oraz łatwe dokonanie porównań między nimi. Takie założenie uważam za przekonujące i bardzo udane. Podobnie jak przybliżona i nie- zbyt duża objętość każdego tomu, z których każdy ma przeciętnie 200–230 stron. W ten sposób nie obciąża się przesadnie szczegółową wiedzą osób chcących poznać najważniejsze osiągnięcia polskiej filozofii chrześcijańskiej w XX w. Po tę można zawsze sięgnąć do opasłych opracowań poświęconych twórczości każdej z tych postaci, gdyż o dużej części z nich napisano już bardzo wiele.

Bardziej szczegółowo przyjrzyć się tutaj czterem tomom poświęconym postaciom, które budzą moje szczególne zainteresowanie, z różnych zresztą względów. Pierwszą z nich jest Feliks Koneczny, a więc nie tylko filozof, ale również historyk, publicysta, twórca oryginalnej i znaczącej teorii cywilizacji. W tomie pod redakcją Pawła Skrzydlewskiego nie ograniczono się tylko do przybliżenia jego życia i głównych dzieł filozoficznych, ale także omówiono szeroko recepcje poglądów Konecznego, jego koncepcje cywilizacyjne, a nawet podejście do teatru, sztuki i literatury. Nie brakuje w nim ciekawych opinii dotyczących twórczości Konecznego. Przykładowo redaktor tomu tak pisał o rozumieniu filozofii u bohatera swoich rozważań: „Filozofia Konecznego nie dystansowała się od osobowych przeżyć człowieka związanych z religią i religijną wiarą, zmierzając do dostarczenia integralnego i zarazem uniwersalnego rozumienia świata. Bazą tej filozofii było ludzkie naturalne doświadczenie świata, zaś przewodnikiem w niej zdrowy ludzki rozsądek, nakazujący poznać prawdę do końca. W dziedzinie antropologii filozofia Konecznego budowała personalistyczną wizję człowieka, kładąc nacisk na afirmację ludzkiej podmiotowości, rozumności i wolności”. Druga postać, na którą chciałbym zwrócić uwagę, to o. Jacek Woroniecki. Był to podobnie jak Koneczny człowiek o wielu talentach: wykładowca KUL, teolog, etyk, pedagog i filozof. W moim przekonaniu szczególnie istotne i aktualne do dzisiaj są prace dominikanina z zakresu myśli pedagogicznej. Autorzy tomu zwracają uwagę na szeroką recepcję prac Woronieckiego, we wszystkich właściwie dziedzinach nauki, którymi się zajmował. Ja z kolei chciałbym wskazać na podejście o. Woronieckiego do egalitaryzmu, którego był przeciwnikiem, „uważając, że społeczna równość wszystkich ze względu na występujące

zróżnicowanie społeczne i zawodowe obywateli, jest niemożliwa do zrealizowania i sprzeczna z naturą. Twierdzi, że zasada egalitaryzmu w życiu społecznym rodzi różnego rodzaju patologie i deprawuje obywateli poprzez m.in. protekcjonizm i łapówkarstwo”. Trzeci tom, na który zwróciłem uwagę, poświęcony jest Karolowi Wojtyłce. Byłem zadowolony, jak redaktorzy tomu wybrnę z problemu ilości i szerokości zagadnień, jakimi zajmował się Jan Paweł II. Szczęśliwie udało im się uniknąć dwóch głównych problemów silnie obecnych w pracach dotyczących

WIELKĄ ZALETĄ SERII JEST IDENTYCZNA KONSTRUKCJA KAŻDEGO TOMU, NA KTÓRY SKŁADAJĄ SIĘ PRZYBLIŻENIE SYLWETKI DANEGO FILOZOFA I JEGO NAJWAŻNIEJSZYCH DZIEŁ ORAZ TEKSTY REPREZENTATYWNE DLA CAŁOŚCI TWÓRCZOŚCI

jego osoby: spłylenia myśli polskiego świętego i przesadnego rozdrobnienia problematyki podejmowanej przez papieża. Wszystkie najważniejsze kwestie, takie jak personalizm, wizja wolności, wizja osoby i antropologia K. Wojtyły, zostały syntetycznie i ciekawie opisane. Teksty źródłowe także trafnie wybrano, a szczególną uwagę należy zwrócić na artykuł: „Analiza etyczna miłości” z 1986 r.

Czwarta postać, znana nie tylko krakusom, to ks. Józef Tischner – warta przybliżenia z co najmniej dwóch powodów: sposobu uprawiania filozofii i szerokiej działalności w sferze publicznej (w tym publicystycznej). Podobnie jak

w przypadku pozostałych tomów został on przygotowany dość kompetentnie, szczególnie w zakresie prezentacji myśli i osiągnięć jednego z najbardziej znanych (choć nieformalnych) kapelanów Solidarności. Wydaje mi się jednak, że nie znaleziono dobrej formuły do omówienia dorobku popularnego ks. Tischnera czy jego dzieł o filozoficznych, takich jak „Etyka Solidarności”. To tym bardziej istotne, że wpływało na całościowy odbiór jego osoby, podobnie jak jego silne zaangażowanie po stronie środowiska Unii Demokratycznej. Ta druga kwestia nawet nie wybrzmiała w dziale „Dyskusja i polemiki”, a wydaje się, że powinna – choćby krótko – zostać tam ujęta.

Całość serii spaja „Przewodnik”, którego konstrukcji chciałbym poświęcić nieco więcej uwagi, gdyż ma on kluczowe znaczenie dla zrozumienia konceptu krakowskich wydawców serii „Polska Filozofia Chrześcijańska w XX wieku”. Został on podzielony według zagadnień ogólnych podejmowanych przez filozofię, takich jak: logika i metodologia nauk, metafizyka, teoria poznania, filozofia przyrody, filozofia człowieka, etyka, aksjologia, filozofia Boga i religii, filozofia społeczna, filozofia kultury i wreszcie historia filozofii. W poszczególnie tematy szczegółowe wpisano osiągnięcia polskiej filozofii chrześcijańskiej w XX i XXI w. Podobnie jak w przypadku tomów o poszczególnych postaciach konstrukcja „Przewodnika” jest klarowna, a jego struktura wewnętrzna spójna. Każdy dział składa się z trzech części: kontekstu historycznego, omówienia roli najważniejszych ośrodków naukowych oraz prezentacji ich kluczowych osiągnięć. Autorzy słusznie zwracają uwagę na wytwarzanie się szkół filozoficznych specjalizujących się w wybranych tradycjach myślenia (nie tylko filozoficznego, lecz również społecznego).

14-tomowa seria wydawnicza poświęcona dorobkowi polskiej filozofii chrześcijańskiej to dzieło bardzo ważne i potrzebne. W wielu zakresach można je traktować jako wzorcowe, szczególnie pod względem logicznej i spójnej konstrukcji, sposobu ujęcia oraz syntetycznej prezentacji niełatwych zagadnień. Mam nadzieję, że inne środowiska naukowe zapoznają się z omówioną w tym miejscu edycją i spróbują podjąć również całościowy projekt przybliżenia innych polskich osiągnięć inspirowanych chrześcijaństwem (zaczynając choćby od teologii).



**KRZYSZTOF
TARKA**

**KLĘSKA WE WRZEŚNIU
1939 r., ZA KTÓRĄ
POWSZECHNIE
OBWINIANO
PIŁSUDCZYKÓW,
ORAZ INTERNOWANIE
PREZYDENTA
I RZĄDU NA
TERYTORIUM RUMUNII,
DOPROWADZIŁY DO
PRZEJĘCIA WŁADZY
PRZEZ OPOZYCJĘ
POLITYCZNĄ. TA
WSPIERANA PRZEZ
FRANCJĘ UTWORZYŁA
W PARYŻU NOWY
OŚRODEK RZĄDOWY**

Juliusz Łukasiewicz,
nieformalny przywódca
Związku Patriotycznego
w Wielkiej Brytanii

PIŁSUDCZYCY W KONTRZE

Rozgrywka wokół nominacji na urząd prezydenta i premiera jesienią 1939 r. była w istocie walką o władzę między piśsudczymi pragnącymi ją utrzymać i antysanacyjną opozycją dążącą do jej przejęcia. Wynik teoretycznie był remisowy: nasz prezydent (Władysław Raczkiewicz), wasz premier (gen. Władysław Sikorski). Rzeczywistą władzę cywilną i wojskową sprawował jednak gen. Sikorski, który skoncentrował w swym ręku stanowiska premiera i naczelnego wodza oraz ministra spraw wewnętrznych, spraw wojskowych i sprawiedliwości.

Nowy szef rządu i jego zwolennicy od razu zabrali się do odsuwania od wpływów możliwie największej liczby przedstawicieli poprzedniego reżimu. Sanacyjni dygnitarze byli eliminowani z wojska i życia publicznego. Nie szczędzono im przy tym upokorzeń i złośliwych komentarzy. Nie bez znaczenia były poczucie krzywdy i niechęć do ludzi, którzy – zdaniem Sikorskiego – przyczynili się do jego przymusowej beczynności po zamachu majowym. W otoczeniu premiera zdecydowanymi zwolennikami politycznych czystek i rozliczeń personalnych z ekipą sanacyjną byli w szczególności: „szara eminencja” tych lat, ludowiec prof. Stanisław Kot oraz generałowie Józef Haller i Ignacy Modelski. Walkę z sanacją wykorzystywali do zemsty i odegrania się na znienawidzonych przeciwnikach. Taka sytuacja zatruwała atmosferę panującą wśród wychodźstwa, utrwalała też podziały polityczne na emigracji.

Organizacja na obczyźnie

Mimo politycznej izolacji spadkobiercy Marszałka utworzyli na emigracji trzy główne ośrodki. Pierwszy we Francji, a następnie w Wielkiej Brytanii. Dwa kolejne – w Palestynie i Stanach Zjednoczonych. Jesienią 1941 r. piśsudczycy przebywający na Wyspach Brytyjskich, wywodzący się przeważnie z ruchu „zetowego” i Związku Naprawy Rzeczypospolitej, reaktywowali działalność przedwojennego Związku Patriotycznego. Na początku 1942 r. organizacja została przemianowana na Zespół Piśsudczyków. Trzon grupy stanowili wysocy rangą przedwojenni funkcjonariusze państwowi: dyplomaci, urzędnicy, generałowie czy parlamentarzyści. Nieformalnym

przywódcą ruchu w Wielkiej Brytanii został Juliusz Łukasiewicz, były ambasador w Moskwie (1933–1936) i w Paryżu (1936–1939), który na emigracji dołączył do dawnych „zetowców” i „naprawiaczy”. Jego najbliższymi współpracownikami zostali: Bronisław Hełczyński, były szef Kancelarii Cywilnej Prezydenta RP (1931–1934) oraz pierwszy prezes Najwyższego Trybunału Administracyjnego (1934–1939), w czasie II wojny światowej p.o. prezes Światowego Związku Polaków z Zagranicy „Światopol”, oraz Michał Grażyński, wieloletni wojewoda śląski (1926–1939) i jeden z liderów Związku Naprawy Rzeczypospolitej.

Od marca 1942 r. wydawali w Wielkiej Brytanii powielany biuletyn „Listy z Londynu”. Powołanie własnego organu prasowego było sporym sukcesem. Piśsudczycy, choć zepchnięci na margines życia uchodźczego i dysponujący skromnymi środkami, mogli w ten sposób przedstawiać założenia programowe środowiska i prowadzić ograniczoną akcję propagandowo-informacyjną.

Redaktorzy „Listów z Londynu” w kolejnych numerach biuletynu nie unikali mocno krytycznych opinii pod adresem swoich rywali. Wynikało to przede wszystkim z odmiennej od rządowych elit wizji polityki polskiej. Nie bez wpływu na takie ich stanowisko pozostawały zapewne działania gabinetu Sikorskiego, a następnie Stanisława Mikołajczyka, uderzające w bliskie spadkobiercom Marszałka ideały, a także w przedstawicieli obozu na emigracji. Krytykowani oraz atakowani przez polityków i publicystów związanych z rządem RP odwzajemniali się piśsudczycy pięknym za nadobne.

Mimo nasilającej się krytyki, stojąc na gruncie legalizmu wypływającego z Konstytucji kwietniowej z 1935 r., nie podważali legalności i prawomocności rządu Sikorskiego. Konsekwentnie trwali na stanowisku, że jest to rząd legalny i „za taki musi być i jest uznawany przez cały naród, nie tylko przez zwolenników rządu, ale i przez jego przeciwników”.

Wobec układu z Sowietami

Gdy do opinii publicznej przedostały się wiadomości o nocie sowieckiej z 16 stycznia 1943 r., uznającej Polaków zamieszkałych na zajętych w 1939 r. przez ZSRS ziemiach wschodnich RP za obywateli sowieckich, piśsudczycy przystąpili do frontального ataku. Jako niezłomni

obrońcy granicy wschodniej ustanowionej w 1921 r. traktatem w Rydze oskarżyli rząd, że zamiast zaalarmować opinię polską o sowieckich zakusach, zataił tę „niezmiernie cyniczną i brutalną notę”. Przypominali, że gen. Sikorski, podpisując w lipcu 1941 r. (z pogwałceniem przepisów konstytucji) „fatalnie sformułowany” układ z Sowietami, popełnił „niewybaczalny grzech”. Układ Sikorski-Majski stał się dla piśsudczyków punktem zwrotnym w ocenie rządu RP.

Gdy bankructwo polityki Sikorskiego stało się dla nich oczywiste, jedynym wyjściem z kryzysu, w którym znalazła się sprawa polska, było natychmiastowe podanie się rządu do dymisji. Piśsudczycy domagali się, aby nowy rząd był wyrazem rzeczywistej jedności narodowej. Nie wskazując nazwisk premiera ani ministrów, twierdzili, że w skład nowej Rady Ministrów powinni wejść ludzie mądrzy i silni charakterem, zdolni bronić skutecznie polskich interesów. Tych cech odmawiali rządzącym politykom.

Jako zdeklarowani przeciwnicy ganili rząd przede wszystkim za błędy w polityce zagranicznej. Od dawna krytykowali rządzących za ustępstwa wobec Związku Sowieckiego. Równie niebezpieczne było uleganie naciskom brytyjskim i amerykańskim. W ich ocenie gabinet Sikorskiego nadal postępował tak, „aby w niczym nie narazić się naszym obecnym i byłym potężnym aliantom, aby nie wywołać zarzutu, że stanowimy przeszkodę w realizowaniu celów wojennych, chociaż w horyzontach tych celów zamazują się najżywotniejsze, najbardziej podstawowe interesy państwa i narodu polskiego”. Redakcja „Listów z Londynu” z ironią pisała: „Bądźmy układni, gotowi do wysłuchiwanie postulatów, zgłaszanych pod naszym adresem, a już tam nasi możni sojusznicy zajmą się naszymi bólczkami i przecież nie pozwolą nas skrzywdzić”. Piśsudczycy z uporem powtarzali, że rząd RP musi mieć własną koncepcję polityki polskiej. Eksponując prymat państwa i polskiej racji stanu, zdecydowanie krytykowali uległość wobec nacisków zewnętrznych.

Mikołajczyk jeszcze gorszy

Konsekwencją tragicznej śmierci premiera i naczelnego wodza w katastrofie pod Gibraltarem było rozdzielenie tych dwóch stanowisk. Piśsudczycy pozytywnie oceniali takie rozwiązanie >>

» (już wcześniej postulowali oddzielenie polityki od wojska), tym bardziej że nowym wodzem naczelnym został gen. Kazimierz Sosnkowski, wywodzący się z ich obozu. Wiązali z nim nadzieję na zwrot w polityce polskiej, a zapewne także na własny powrót na główną scenę polityczną.

Od początku zdecydowanie krytykowali natomiast nowy rząd ze Stanisławem Mikołajczykiem na czele. Zapowiedzieli, że będą go zwalczać w interesie Polski. Zaraz po utworzeniu żądali jego ustąpienia, „zanim stanie wobec poważnych zadań dziejowych, do których rozstrzygnięcia nie dorósł”. Odmawiając gabinetowi Mikołajczyka prawa do istnienia, twierdzili, że „każda decyzja o wielkiej wadze będzie ponad siły tego rządu”. Niechęć, wrogość piłsudczyków do Mikołajczyka była zdecydowanie większa niż do jego poprzednika.

Nowemu premierowi i jego współpracownikom zarzucali, że nie wahają się wciągać w sprawy polskie obcych czynników (Anglików), szukając u nich protekcji i poparcia oraz inspirując ataki na prezydenta czy konstytucję. Wsparcie z zewnątrz ułatwić miało Mikołajczykowi przejście władzy, dyskwalifikowało go jednak w oczach piłsudczyków jako polskiego premiera.

Domagali się zaniechania wręcz nawiązania starań o ponowne nawiązanie stosunków dyplomatycznych ze Związkiem Sowieckim. Zarzucali rządzącym ukrywanie przed własnym społeczeństwem nacisków ze strony Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych oraz problemów w stosunkach ze Związkiem Sowieckim. Pogłębiało to tylko ich nieufność i niechęć do gabinetu Mikołajczyka. Mimo miażdżącej krytyki nie byli jednak w stanie wpłynąć na zmianę kursu rządu, co niewątpliwie było świadectwem ich politycznej słabości.

Sami nie mieli nadziei na kompromis ze Związkiem Sowieckim. Byli przekonani, że Kreml konsekwentnie zmierza do zaanektowania połowy terytorium Polski, a z pozostałej części chce stworzyć 17. republikę sowiecką. Wobec nasilających się pogłosek o gotowości rządu RP do rokowań w sprawie granicy wschodniej Polski, stanowczo domagali się odrzucenia sowieckich roszczeń terytorialnych. Polityka gabinetu Mikołajczyka ich zdaniem coraz wyraźniej prowadziła do klęski narodowej. W tej sytuacji apelowali do prezydenta o zmianę rządu. Dalsze

trwanie gabinetu Mikołajczyka uważali za niebezpieczne dla wolności i niepodległości Polski.

Wobec sowieckich marionetek

Po utworzeniu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego zespół piłsudczyków kategorycznie potępił postawę rządu RP. Jako haniebną określili wyjazd Mikołajczyka do Moskwy w końcu lipca 1944 r. na rozmowy z przywódcami sowieckimi i przedstawicielami PKWN. Na łamach „Listów z Londynu” pisano: „Serce po prostu zamiera, twarz oblewa rumieniem wstydu. Konstytucyjny premier polski paktuje ze zdradziecką konfederacją chełmską, która podpisała już pakt o nowym rozbiórce Polski”. W ocenie piłsudczyków powracający z Moskwy Mikołajczyk stał się politycznym bankrutem, który powinien zostać natychmiast zdymisjonowany przez prezydenta RP. Po raz kolejny wołali też o nowy rząd. Ich postulaty i tym razem nie zostały zrealizowane.

W ocenie piłsudczyków PKWN był „niczym innym jak płatną agenturą rosyjską”. Innym razem nazywali go Komitetem Zdrady Narodowej bądź targowicą z Lublina. Mikołajczyk, wdając się w rozmowy z ludźmi PKWN, przydawał mu znaczenia poważnej reprezentacji społeczeństwa polskiego. Umożliwił też Stalinowi występowanie w roli rzekomego mediatora i rozjemcy w sporze między dwiema polskimi stronami.

Ustąpienie Mikołajczyka w końcu listopada 1944 r. z funkcji szefa rządu przyjęli piłsudczycy z prawdziwą radością. W ich ocenie dalsze trwanie jego rządu byłoby stoczeniem się w polityczną przepaść, jawną kapitulacją.

Na czele nowej Rady Ministrów stanął przywódca Polskiej Partii Socjalistycznej Tomasz Arciszewski, w przeszłości członek Frakcji Rewolucyjnej PPS. Niepodległościowy charakter nowego rządu stwarzał zdaniem piłsudczyków nadzieję na zwrot w sprawie polskiej na arenie międzynarodowej. Jak się niebawem okazało, polityczna niezłomność nie była jednak gwarantem skuteczności.

W powojennym osamotnieniu

Zajęcie przeważającej części ziem polskich przez wojska sowieckie otwierało nowy rozdział w dziejach sprawy polskiej podczas II wojny światowej. Koniec okupacji niemieckiej nie był równoznaczny

z odzyskaniem wolności i niepodległości. W ocenie piłsudczyków Polska znalazła się faktycznie pod nową okupacją, choć dostrzegali różnice między wyłaniającą się z wojny rzeczywistością a okupacją niemiecką: „Jest przecież niby to polski rząd, jest niby to polskie wojsko, są polskie orły i sztandary, rozbrzmiewa głośno polski hymn narodowy, polskiemu językowi przywrócono charakter języka urzędowego. Wszystkie te dekoracje są polskie, nie ma tylko poza nimi polskiej treści, nie ma polskiego ducha”.

Piłsudczycy trafnie oceniali, że w przededniu spotkania przywódców wielkiej trójki w Jaltie Związek Sowiecki tworzy fakty dokonane w Europie Środkowo-Wschodniej. Byli przekonani, że tylko stanowczy opór wobec dyktatu Kremla ma sens. Łudzili się, że taka postawa wzmacnia też pozycję rządu RP w stosunkach z aliantami zachodnimi. Mimo krytycznej oceny polityki Anglo-sasów w sprawie polskiej ciągle liczyli na pomoc z ich strony. Polacy nie mieli wyboru. Musieli stać po stronie Zachodu. Pozostawało tylko pytanie, czy Zachód będzie stał po stronie Polski.

Działalność Mikołajczyka po ustąpieniu z rządu uważali wprost za zdradę interesów Polski. Nie szczędząc pod jego adresem słów krytyki, pisali dosadnie: „To nie jest opozycja. To jest spiszek warcholów i ludzi wyzutych z wszelkiego poczucia odpowiedzialności – spiszek przeciw państwu”. Na łamach „Listów z Londynu” podkpiwali z tego „niedoszedłego i nieszczęsnego męża stanu”, niespełnionego „adepta na dyktatora (coś à la »Sikorski w sierniędze«)”. Przywódcę ludowców, prowadzącego zdaniem piłsudczyków politykę zasadniczo sprzeczną z polską racją stanu, właściwie od chwili objęcia urzędu premiera postrzegali nie tyle jako przeciwnika politycznego, ile jako wroga wewnętrznego.

Wycofanie uznania dla rządu RP przez Wielką Brytanię i Stany Zjednoczone 5 lipca 1945 r. było dla piłsudczyków, podobnie jak i dla zdecydowanej większości emigrantów, ciosem politycznym. Twierdzili, że utworzony w końcu czerwca 1945 r. pod egidą Moskwy oraz Londynu i Waszyngtonu Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej „z Polską nic wspólnego nie ma”. Konsekwentnie uważali TRJN za twór nielegalny i narzucony Polakom „przez obcych”. Bojkotując powojenną rzeczywistość w kraju, uważali, że walka o wolną Polskę musi trwać. Było to główne zadanie emigracji niepodległościowej. ■

ŻONY ZYGMUNTA III WAZY

DWIE SIOSTRY Z HABSBUROW OKAZAŁY SIĘ DOBRYMI MAŁŻONKAMI DLA POLSKIEGO MONARCHY, CHOĆ Z RODEM CESARSKIM NIE ZAWSZE BYŁO NAM PO DRODZE



**MAREK
BARAŃSKI**

Pierwszą żoną Zygmunta III Wazy była Anna, córka Karola Habsburga, arcyksięcia Styrii i Marii, córki Albrechta V, księcia Bawarii. Urodziła się w 1573 r., kochający rodzice zapewnili książnicze bardzo staranne wychowanie, przekazali jej też przywiązanie do katolicyzmu. Gdy skończyła 13 lat, Anna Jagiellonka postanowiła wydać ją za mąż za swego siostrzeńca, księcia szwedzkiego Zygmunta. Rodzice Anny planowali jednak dla niej inną przyszłość, a mianowicie ślub z księciem lotaryńskim, lecz z tego mariażu nic nie wyszło. Gdy w roku 1589 Zygmunt został wybrany na króla Polski i Wielkiego Księcia Litewskiego, odżyły dawne plany. Popierał je odgrywający pierwszorzędną rolę w Polsce kanclerz Jan Zamoyski, a także papież i Habsburgowie. Kiedy jednak Zamoyski usłyszał o rozmowach króla z Habsburgami, zmienił zdanie i stał się przeciwnikiem Anny. Chodziły bowiem słuchy (jak się okazało, nieprawdziwe), że Zygmunt gotów był zrzec się tronu polskiego i zostać królem Szwecji, a tron polski zamierzał oddać Ernestowi Habsburgowi.

W 1591 r. w Gruz poselstwo Zygmunta Jerzy Radziwiłł wystąpił o rękę księżniczki. Sama Anna i jej matka były przeciwnie temu mariażowi, jednak zdecydował cesarz Rudolf i starania polskiego króla zostały przyjęte. W 1592 r. odbył się uroczysty wjazd księżniczki do Krakowa, ślub i koronacja w katedrze wawelskiej. Po ślubie Zygmunt urządził trwające tydzień uroczystości i zabawy.

Na to małżeństwo stany polskie nie wyraziły zgody, zjazdy szlacheckie ostro występowały przeciw Annie. W końcu jednak królowa została zaakceptowana. Duża w tym była jej zaśluga, okazała się bowiem osobą skromną, pobożną, miłą, zdobyła serce króla i miłość poddanych. Nie mieszała się do polityki, ale często towarzyszyła mężowi. W 1594 r. wraz z nim została koronowana na królową Szwecji, jednak prędko Zygmunt stracił ten tron. Anna była matką Władysława, późniejszego króla. Zmarła w 1598 r., pochowano ją na Wawelu.

Przez kilka lat Zygmunt pozostawał w stanie bezżennym, w końcu postanowił się ożenić. Za radą cesarza Rudolfa i po uzyskaniu dyspensy papieskiej w 1605 r. wystąpił o rękę 17-letniej Konstancji, siostry swej pierwszej żony. Po zawarciu układów małżeńskich Konstancja w towarzystwie swej matki, a także brata Ernesta i siostry Marii Krynstyny, przyjechała do Polski. 11 grudnia odbyły się ślub i koronacja. Jej uroczysty wjazd do Krakowa został przedstawiony na tzw. rolce sztokholmskiej. Początkowo królowa spotkała się z niechęcią, była Habsburżanką, a Habsburgowie nie byli w Polsce dobrze widziani. Poza tym ksiądz Skarga uważał, że mimo dyspensy papieskiej król nie powinien się żenić z siostrą swej poprzedniej żony. Prędko jednak niechęć zaczęła zanikać. Konstancja była dobrą żoną, Zygmunt się do niej przywiązał. Gdy brakowało pieniędzy, zastawiła ona swoje klejnoty. W 1609 r. urodziła królowi syna, Jana Kazimierza, potem na świat przyszły następne dzieci. To wszystko sprawiło, że pozycja królowej była w Polsce coraz mocniejsza. Brała ona udział w życiu dworskim, tworzyła swoje stronnictwo, żeniąc senatorów ze swoimi dwórkami, potrafiła wpływać na mianowania dostojników.



FOT. ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

Konstancja Habsburżanka była małżonką króla Polski od 1605 r.

Gdy wybuchła wojna 30-letnia, Konstancja pamiętała o interesach Habsburgów, wspierała króla Zygmunta w decyzji wysłania lisowczyków na pomoc cesarzowi. Popierała też swego brata Karola Ferdynanda w staraniach o biskupstwo wrocławskie. Dla swych dzieci kupiła dobra żywieckie, narażając się nawet na oburzenie szlachty.

Konstancja za życia męża starała się o koronę polską dla swego syna Jana Kazimierza, uważając, że Władysław może zostać królem Szwecji i carem moskiewskim. Zraziło to znowu do niej szlachtę i wywołało niechętny stosunek Władysława do brata.

Konstancja zmarła w 1631 r., została pochowana na Wawelu.

RONIKIEROWIE I MIASTO OGRÓD POD WARSZAWĄ



JAROSŁAW
KOSSAKOWSKI

MAJĄTKI RONIKIERÓW HERBU GRYF NA ŻMUDZI POCHODZĄ Z WIEKU XVII, GDY TEN MEKLEMBURSKI RÓD WŻENIŁ SIĘ W PÓŁNOCNOLITEWSKIE RODZINY

Archiwalne zapisy mówią o ziemskich majątkach w pow. rosieńskim i o posiadłości Suginty. Na Litwie dzięki korzystnym mariażom Ronikierowie zyskali krewnych w tak znaczących miejscowych rodzinach jak Platerowie, Bystramowie, Węclawowiczowie, Wołowiczowie czy Komarowie. Jedną z późniejszych gałęzi Ronikierów, która osiadła na dalekiej Ukrainie, w bogatym, liczącym tysiące hektarów majątku Honorata – ok. 80 km od Odessy, po ślubach Edwarda Ronikiera (1824–1877) z Olgą Olimpią Orłowską h. Lubicz oraz jego syna Michała (1866–1917, zamordowanego w czasie rewolucji październikowej) z Jadwigą Brzozowską h. Belina, połączyła się więzami krwi z wieloma innymi ziemiańskimi rodami tam osiadłymi.

Generał Michał Ronikier

W kręgach otaczających króla Stanisława Augusta Poniatowskiego poważaniem cieszył się pierwszy znaczący na ziemiach

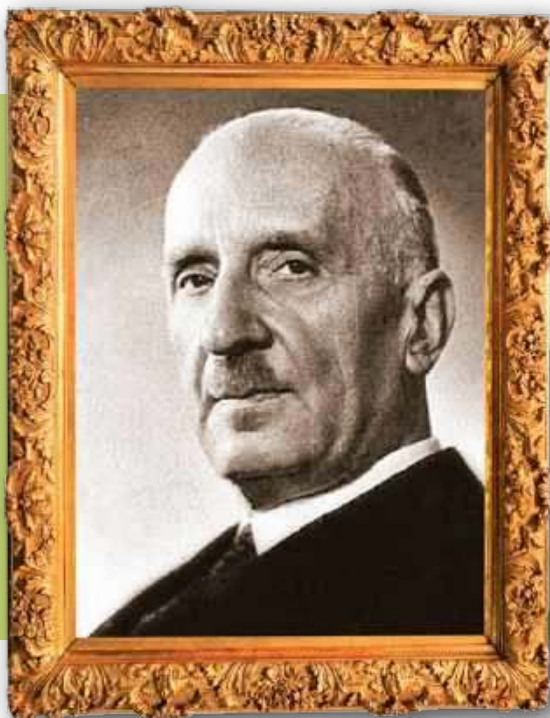
polskich przedstawiciel rodu Ronikierów Michał Aleksander (1728–1802), członek litewski i generał wojsk koronnych. Był stronnikiem Familii Czartoryskich, w roku 1766 otrzymał Order św. Stanisława, w roku 1785 zaś Order Orła Białego. Skromny majątek Ronikiera zdecydowanie się powiększył dzięki posagowi poślubionej Marianny z Oborskich, wdowy po Zygmuncie Linowskim, kasztelanie łęczyckim. Po śmierci Marianny Michał Aleksander Ronikier poślubił Teresę Miączyńską (wniosła mu 500 tys. złp. posagu), po jej śmierci zaś jej stryjeczną siostrę Józefę Miączyńską (200 tys. złp. posagu). Jego synowie z drugiej i trzeciej żony stali się założycielami kilku gałęzi rodu Ronikierów.

Wśród licznych wnuków Michała Aleksandra ciekawie zapisał się Adam Aleksander hr. Ronikier (1818–1873). Dobrze wykształcony, poświęcił się zgłębianiu wiedzy tajemnej, wierząc głęboko, iż jego losami kierują siły wyższe. W kręgi teozofów wprowadził Ronikiera Roger hr. Raczynski, którego ojciec Edward odebrał sobie w 1845 r. życie, strzelając do siebie z ogrodowej armatki. Niezależnie jednak od filozoficznych skłonności był Adam Aleksander Ronikier solidnym gospodarzem. W nabytym w 1856 r. już na Mazowszu majątku ziemskim w Korytnicy założył wytwórnię serów limburgskich, które miejscowa ludność do dziś często nazywa „ronikerskimi”. Był dwukrotnie żonaty: z Zofią hr. Starzeńską h. Lis i Wandą Chrzanowską h. Poraj. Syn Adama z drugiego małżeństwa Bogdan Jaxa Ronikier (1873–1956), pisarz, w powieści „Człowiek z głową »Philaleta«” opowiadającej o życiu ojca, sugeruje, iż on, będąc bywalcem carskiego dworu, próbował ratować przed wyrokiem śmierci wodza powstania styczniowego Romualda Traugutta.

Na Mazowszu

Z pierwszego małżeństwa Adam Aleksander Ronikier miał syna Wiktora (1849–1899) urodzonego jeszcze na Żmudzi w Nowym Mieście k. Rosień. Jego najmłodszym bratem był wymieniony Edward, założyciel linii Ronikierów na dalekiej Ukrainie. Adam Aleksander już w roku 1852 rozstał się z ostatnim majątkiem Ronikierów na Litwie – Chwejdanami i przeniósł się na Mazowsze. Wiktor Ronikier, nim zaczął pomagać ojcu w zarządzaniu korytnickim majątkiem, ukończył agromonię w Belgii oraz odbył obowiązkową dla ziemiańskich synów praktykę rolniczą w wielkopolskich majątkach Kazimierza Chłapowskiego. Mimo majątku na Mazowszu i praktyk w Poznańskim Wiktor Ronikier często przebywał na Litwie i tam ożenił się z Wandą z Węclawowiczów h. Wadwicz, córką zamożnych ziemian Henryka i Marii z Komarów (z Bejsagoły).

Na Mazowszu Wiktor Ronikier udzielał się społecznie, działając m.in. w Warszawskim Towarzystwie Dobroczynności, Towarzystwie Kredytowym Miejskim, w Zarządzie Warszawskich Cmentarzy. Przyczynił się do budowy stołecznego kościoła pw. św. Karola Boromeusza. Świątynia ta wzorowana na rzymskiej bazylice Santa Maria Maggiore wzniesiona została na skrzyżowaniu ulic Chłodnej i Elektoralnej w latach 1841–1849 według projektu znanego warszawskiego architekta Henryka Marconiego (nie mylić z kościołem pod tym samym wezwaniem na Powązkach). Wspierał też przemysł włókienniczy, zakładając zatrudniającą ponad 300 kobiet szwalnię. Majątek ziemski w Korytnicy wraz ze starym drewnianym parterowym dworem z XVIII w. Ronikierowie odprzedali w 1873 r. agronomowi Tymoteuszowi Łuniewskiemu h. Łukocz, który do budowy zastanej dobudował murowaną z kanalizacją i innymi nowoczesnymi udogodnieniami. Dziś całkowicie zniszczone.



Hrabia Adam Ronikier

Plany miasta ogrodu

Po sprzedaży majątku w Korytnicy i rozliczeniu się po śmierci ojca z rodziną Wiktor Ronikier kupił spory obszar ziemi wraz z cegielnią w Żąbkach pod Warszawą. Syn Wiktora, znany później polityk i społecznik Adam Feliks Ronikier (1881–1952), studiował wtedy architekturę w Rydze i działał w studenckiej korporacji Arkonia, gdzie poznał m.in. Władysława Sikorskiego i Władysława Andersa. W roku 1908 poślubił Jadwigę Plater-Zyberk (1882–1954), córkę Jana Kazimierza i Weroniki z Hutten-Czapskich. Uroczystość odbyła się na Łotwie, w należącym do Platerów majątku Liksna, potem młodzi małżonkowie zamieszkali w zapisanych im przez Wiktora Żąbkach. Adam Feliks Ronikier zapamiętany został przede wszystkim jako organizator działającej zarówno w czasie I, jak i II wojny światowej charytatywnej organizacji Rady Głównej Opiekuńczej znanej jako RGO.

Trzeba jednak też przypomnieć, iż będąc wykształconym architektem, miał bardzo interesujące i ambitne pomysły urbanistyczne. Zaprojektował i częściowo zrealizował na swojej części ziemi w podwarszawskich Żąbkach, wzorowany na angielskich model polskiego miasta ogrodu. Rozparcelował swoją ziemską posiadłość, wytyczył alejki i uliczki, obsadził je dekoracyjną roślinnością i rzadkimi okazami drzew, domy skanalizował,

zbudował elektrownię, a nawet basen pływacki. Miasto ogród Żąbki obliczone było na 8 tys. mieszkańców, a podzielony przez Adama Feliksa Ronikiera teren tworzył 1,6 tys. działek budowlano-ogrodowych. Pierwsze wille-dworki powstały już przed I wojną światową, która przerwała realizację tego dzieła. Adam Feliks Ronikier zamieszkał wraz z rodziną w zaprojektowanej przez siebie w Żąbkach oryginalnej willi, która mocno zaniedbana stoi do dziś i powinna jak najszybciej zostać poddana zabiegom remontowo-konserwatorskim.

Wojny światowe

Jako działacz polityczno-społeczny Adam Feliks hr. Ronikier był już przed wybuchem I wojny światowej stronnikiem Narodowej Demokracji. Kiedy Niemcy w 1916 r. wyrazili zgodę na utworzenie Rady Głównej Opiekuńczej i zatwierdzili jej statut, Ronikier objął funkcję prezesa Zarządu RGO. W rękach zarządu znalazły się wszystkie działania związane z pomocą, opieką i ewidencją strat wojennych. Cały czas myśląc o niepodległej Polsce, Ronikier brał czynny udział w wielu innych ruchach politycznych, reprezentując racje Polaków na różnych międzynarodowych spotkaniach. W roku 1920 ochotniczo wstąpił w szeregi Wojska Polskiego, by wziąć udział w wojnie z bolszewickim najeźdźcą. Jednak podczas załadunku artyleryjskich dział na kolejowe platformy został przygnieciony przez armatę i z połamanymi żebrami odwieziono go do szpitala.

Aktywny społecznie (Żąbki) i politycznie w całym okresie międzywojennym Adam Feliks Ronikier po wybuchu II wojny światowej i kapitulacji Warszawy uczestniczył w rozmowach z Niemcami i przedstawicielami misji amerykańskiej Czerwonego Krzyża. Rozmowy te miały zapewnić polskiej ludności prawidłowy rozdział pomocy, jaką niósł Czerwony Krzyż. Działania Ronikiera znalazły silne oparcie u polskich hierarchów Kościoła: abp. Stanisława Galla i krakowskiego metropolity Adama Sapiehy. Po wielu trudnych rozmowach z Niemcami i po przedłożeniu im projektu ponownego powołania RGO Ronikier osiągnął cel: Niemcy statut zatwierdzili, a on sam od 1940 do 25 października 1943 r. pełnił funkcję prezesa RGO, ratując setki ludzkich istnień. Po bojkocie dożynkowej niemieckiej uroczystości Ronikier został usunięty z RGO, a w roku 1944 aresztowany przez gestapo. Po wyjściu z więzienia nadal działał dość aktywnie, ale na kilku płaszczyznach poróżnił się z polskim podziemiem i był przeciwnikiem powstania warszawskiego. Niemniej poczynił ogromne starania, by nieść pomoc cywilnej ludności walczącej Warszawy. Radiostacje wkraczającej do Polski Armii Czerwonej ogłosiły Adama Feliksa hr. Ronikiera wrogiem ZSRR i zaocznie skazały go na karę śmierci. Skłoniło go to do emigracji na Zachód. Adam Feliks Ronikier zmarł w miejscowości Orchard Lake nad jeziorem Michigan w USA w 1952 r. i tam został pochowany. Cztery lata przeżył go ociemniały pisarz Bogdan Jaxa Ronikier, który zapomniany zmarł w Zamościu w 1956 r.

JAN PAWEŁ II A SOWIECI

Papież Jan Paweł II i litewskie duchowieństwo na Wzgórzu Krzyży w pobliżu Szawli na Litwie, 7 września 1993 r.



PONTYFIKAT JANA PAWŁA II CIĄGLE KRYJE WIELE TAJEMNIC, ZWŁASZCZA W KONTEKŚCIE ROLI, JAKĄ ODEGRAŁ DLA PRZEMIAN W ZWIĄZKU SOWIECKIM. WŁOSKA PUBLIKACJA POD REDAKCJĄ KS. PROF. JANA MIKRUTA ODSŁANIA NIEKTÓRE KULISY TEGO PROCESU



**ANDRZEJ
GRAJEWSKI**

Dziejami Kościoła w Związku Sowieckim od dawna zajmuje się ks. prof. Jan Mikrut z papieskiego Uniwersytetu Gregoriańskiego w Rzymie. Z okazji 100. rocznicy urodzin Karola Wojtyły opublikował obszerny, liczący ponad 1,2 tys. stron tom artykułów o sytuacji Kościoła katolickiego

w Związku Sowieckim oraz w krajach powstałych po jego rozpadzie za pontyfikatu Jana Pawła II. „Giovanni Paolo II e la Chiesa cattolica in Unione Sovietica e nei paesi sorti dalla sua dissoluzione”, curato da Jan Mikrut (wydawca: Gabrielli editori). Artykuły publikowane są według klucza terytorialnego i opisują sytuację Kościoła katolickiego obu obustronków w Rosji (14),

krajach bałtyckich (8), na Białorusi (6), w Mołdawii (1), na Ukrainie (6), republikach azjatyckich (5) oraz w republikach kaukaskich (3). Wstęp napisał kard. Sigitas Tamkevičius, jeden z bohaterów tamtych wydarzeń, niezłomny świadek wiary, który za działalność w Komitecie Obrony Praw Ludzi Wierzących przesiedział w latach 80. XX w. prawie sześć lat w łagrach i więzieniach. Nie sposób omawiać każdego tekstu, dlatego jedynie zasygnalizuję niektóre wątki, szczególnie istotne w kontekście zrozumienia działań Jana Pawła II wobec Związku Sowieckiego.

Pierwszy raport

W przypadku studiów o sytuacji na sowieckiej Litwie i Łotwie autorzy wykorzystują również dokumenty wytworzone przez jednostki KGB w republikach, a nie tylko dokumenty sowieckiej dyplomacji bądź rady ds. religii przy Radzie Ministrów ZSRS. Łotewska badaczka Solveiga Krumina-Konkova analizuje przeznaczoną do użytku służbowego informację rady ds. religii na temat konsekwencji wyboru Jana Pawła II. Należy przypuszczać, że została rozesłana z Moskwy nie tylko do Rygi, ale i pozostałych sowieckich republik, aby uwrażliwić aparat wyznaniowy na możliwe perturbacje związane z tym wyborem. Dokument jest zatytułowany „Informacja o wyborze polskiego kardynała Wojtyły na głowę Kościoła rzymsko-katolickiego”. Stawiana jest w nim teza, że za wyborem Karola Wojtyły stali amerykańscy kardynałowie inspirowani przez Zbigniewa Brzezińskiego, doradcę ds. bezpieczeństwa prezydenta Jimmy'ego Cartera, realizującego długofalową taktykę osłabiania i rozbijania od wewnątrz Związku Sowieckiego. Wybór polskiego kardynała nie był przypadkowy, stwierdzają autorzy dokumentu, gdyż Polska od dawna była słabym ogniwem systemu komunistycznego, a Kościół miał tam wyjątkową pozycję. Dalej wyrażona jest opinia, że ten wybór spowoduje wiele problemów, zarówno dla rządu w Warszawie, jak i dla PZPR. Zwraca się uwagę, że oznacza on także trudności dla pozostałych krajów komunistycznych, gdyż papież nie będzie się opierał, jak dotąd, na informacjach przekazywanych przez dyplomację Stolicy Apostolskiej, ale zna realia życia Kościoła w krajach komunistycznych. Według raportu wybór kard. Wojtyły miał być możliwy dzięki wsparciu udzielonemu na konklawe przez znanego antykomunistę,

metropolitę Florencji kard. Giovanniego Benellego. Miał on przeciągnąć na stronę Polaka wahających się włoskich kardynałów, rozbitych wcześniej pomiędzy kandydaturami kardynałów Benellego i Siriego. Autorzy raportu wysoko oceniają dokonania kard. Wojtyły, podkreślając jego umiejętności duszpasterskie, doskonały kontakt z inteligencją oraz młodzieżą. Przypuszczają, że te doświadczenia będzie się starał wykorzystać jako papież, prowadząc aktywną politykę wobec krajów socjalistycznych, w tym Związku Sowieckiego. Abstrahuje od ocen przebiegu samego konklawe, znane są bowiem relacje wskazujące na inny przebieg tych wydarzeń, istotna jest wypływająca z tego dokumentu konkluzja. Pontyfikat Jana Pawła II jeszcze się nie rozpoczął, a władze sowieckie już uznały, że będzie stanowić poważne zagrożenie dla sowieckiego imperium. Sądzę, że raport powstał na podstawie informacji przekazywanych przez KGB, które z uwagą śledziło przebieg październikowego konklawe w 1978 r. Wtedy w Moskwie przygotowano ściśle tajny raport KGB rozesłany później do szefów „bratnich” służb w bloku wschodnim. Znam jego wersję odnalezioną w dokumentacji Stasi w Berlinie. Porównanie obu dokumentów przekonuje, że to przede wszystkim informacje KGB, a nie sowieckiej dyplomacji czy administracji wyznaniowej, kształtowały opinię Kremla na temat nowego papieża i wyznaczały linię ostrej z nim konfrontacji.

Warto dodać, że na podstawie wytycznych z Moskwy już w marcu 1980 r. jednostka wywiadu KGB na Litwie rozpoczęła prowadzenie zakrojonych na szeroką skalę działań operacyjnych przeciwko papieżowi, które otrzymały kryptonim Kapella. W omawianej publikacji artykuł na ten temat pisze dr Irena Mikłaszewicz z Wilna, która razem ze mną przygotowała edycję tych dokumentów dla IPN („Pontyfikat wielu zagrożeń. Jan Paweł II w świetle dokumentów sprawy »Kapella« 1979–1990”). Celem tych działań było przeniknięcie do najbliższego otoczenia papieża z wykorzystaniem m.in. agentury, którą KGB miało w Kościele katolickim na Litwie oraz w środowiskach litewskiej emigracji w Stanach Zjednoczonych. Część z nich zakończyła się sukcesem. KGB miało wgląd w wiele papieskich planów i zamierzeń wobec katolików w Związku Sowieckim, niektórym udało się przeciwdziałać. Wiadomo, że podobne operacje prowadziło KGB ukraińskiej SRS,

zaniepokojone konsekwencjami wyboru papieża Polaka przede wszystkim w kontekście aktywności podziemnego Kościoła grekokatolickiego na Ukrainie, wspieranego przez Jana Pawła II od pierwszych chwil pontyfikatu.

Rola Radia Watykańskiego

Ciekawą próbę weryfikacji ocen tego raportu przynosi informacja sporządzona przez urzędników łotewskiej rady ds. religii w październiku 1980 r. po rozmowie z bp. Valerijansem Zondaksem, biskupem pomocniczym w archidiecezji ryskiej. Był on prawdopodobnie pierwszym sowieckim obywatelem, osobiście rozmawiającym z nowym papieżem. Został przyjęty na audiencji 25 i 26 października 1980 r. Był postacią znaną w Watykanie. Jego święcenie biskupie w Rzymie w 1972 r. przez ówczesnego arcybiskupa Agostino Casarolego, przewodniczącego papieskiej komisji Pro Russia było wydarzeniem. Następowało bowiem po długiej przerwie w święceniach biskupów dla diecezji leżących na terytorium Związku Sowieckiego. Bp Zondaks po powrocie do Rygi szczegółowo opowiadał o przebiegu rozmowy z Janem Pawłem II, którego interesowało wiele szczegółów z życia Kościoła na Łotwie, przede wszystkim możliwość kształcenia kapłanów, udział wiernych we mszach św., możliwości pracy z młodzieżą oraz stosunki z państwem. W tym kontekście papież poruszył także temat audycji nadawanych w języku łotewskim przez Radio Watykańskie. Pytał o zasięg tych audycji i wpływ wśród wiernych. Jak się okazuje, był to skuteczny instrument działania, co potwierdzały analizy prowadzone przez kierownictwo łotewskiej rady ds. religii.

Te ustalenia potwierdzające fakty znane z innych sowieckich dokumentów, że audycje Radia Watykańskiego nadawane w czasie pontyfikatu Jana Pawła II w rozszerzonym zakresie m.in. w językach rosyjskim, litewskim, łotewskim, białoruskim, ukraińskim, kształtowały świadomość nie tylko religijną, lecz również narodową ich słuchaczy. Miało to szczególne znaczenie na Litwie, Łotwie, Białorusi i Ukrainie. Audycje przełamywały monopol sowieckiej cenzury, przekazując słuchaczom m.in. treść wydawanej w drugim obiegu literatury religijnej. Były ważnym impulsem przygotowującym falę kontestacji w republikach nadbałtyckich w końcu lat 80. ubiegłego wieku, kiedy rozpoczął się rozpad sowieckiego imperium. >>

» Nie ma Kościoła milczenia

Nie mniej ważne ustalenia w tej publikacji dotyczą sytuacji na Litwie, o czym pisze m.in. ks. Kęstutis Smilgevičius. Była to najbardziej katolicka spośród sowieckich republik, gdzie władze zgodziły się na funkcjonowanie diecezji oraz seminarium duchownego w Kownie. Od marca 1972 r. na Litwie ukazywało się nielegalne czasopismo „Kronika Kościoła katolickiego na Litwie”, kolportowane wśród księży i wiernych. Przekazanie przez Jana Pawła II po wyborze jego kardynalskiej piuski do sanktuarium na Ostrej Bramie, było czytelnym znakiem dla mieszkańców Litwy, że Jan Paweł II o nich pamięta i będzie swym pontyfikatem wspierał. W tym kontekście Litwini – jak wynika z sowieckich dokumentów – odczytali także papieskie wezwanie z homilii wygłoszonej podczas inauguracji pontyfikatu, aby nie lękać się i otworzyć drzwi Chrystusowi. Odpowiedź Litwinów pojawiła się niemal natychmiast. 13 listopada 1978 r. sześciu litewskich księży założyło Komitet Obrony Praw Ludzi Wierzących, pierwszą niezależną organizację katolicką w Związku Sowieckim. W liście do papieża zapewniali go o swej modlitwie i prosili o wsparcie w walce z ateistycznym reżimem. Znalazły się w nim także znamienne słowa: „Nie ma już Kościoła milczenia, gdyż ty, Ojciec Święty, jesteś teraz jego głosem”. Przejawem troski papieża o Kościół na Litwie były także nominacje litewskich kapłanów na ważne watykańskie funkcje. Abp Paul Marcinkus został prezydentem banku watykańskiego (IOR), abp John Bulaitis nuncjuszem apostolskim w Afryce, a abp Audrys Juozas Bačkis, syn litewskiego dyplomaty w okresie międzywojennym, zaczął robić karierę jako zastępca sekretarza Rady Spraw Publicznych Kościoła. Miał odtąd wpływ na kształt polityki zagranicznej Stolicy Apostolskiej i był ważnym konsultorem w kwestiach relacji z Litwą oraz innymi wspólnotami katolickimi w republikach bałtyckich.

Po długich przygotowaniach i rozmowach dyplomatycznych z Moskwą udało się także doprowadzić w kwietniu 1983 r. do pierwszej od 1945 r. wizyty apostolskiej „ad limina” litewskich biskupów w Watykanie. Wzięło w niej udział czterech biskupów administrujących litewskimi diecezjami, poza abp. Julijonasm Steponavičiusem, administram

rem apostolskim archidiecezji wileńskiej w granicach Związku Sowieckiego, który od 1961 r. przebywał w areszcie domowym w miejscowości Żagory. Zgoda na audiencję była przez Moskwę traktowana jako „gest dobrej woli”. W praktyce oznaczała przełamanie trwającej nieprzerwanie od

Małymi krokami do wielkiego przełomu

Jak wynika z cytowanych w książce dokumentów, sowieckie władze z przerażeniem obserwowały proces budzenia się litewskich i łotewskich katolików,

PONTYFIKAT JANA PAWŁA II JESZCZE SIĘ NIE ROZPOCZĄŁ, A WŁADZE SOWIECKIE JUŻ UZNAŁY, ŻE BĘDZIE STANOWIĆ POWAŻNE ZAGROŻENIE DLA SOWIECKIEGO IMPERIUM

zakończenia II wojny światowej izolacji Kościoła na Litwie. Biskupi litewscy w Watykanie byli świadectwem żywotności tego Kościoła i jego wierności wobec Stolicy Apostolskiej, a ich spotkanie z papieżem Polakiem wywołało szeroki rezonans na Litwie, nie tylko w kręgach katolickich. Oznaczało bowiem pojawienie się w życiu publicznym Litwy nowego podmiotu – Episkopatu Litewskiego, który w czasach przełomu miał odegrać bardzo ważną rolę, wspierając niepodległościowe struktury, a zarazem starając się mediować z przedstawicielami lokalnej władzy. Także dla biskupów litewskich, jak wynika z notatek komunistycznej władzy, pobyt w Watykanie oznaczał zasadniczą zmianę. Hierarchowie, starannie wcześniej wyselekcjonowani przez władze, nagle zetknęli się z papieżem o ogromnej sile duchowej. Przekonywał ich, że Kościół na Litwie nie tylko przetrwa najgorsze chwile, ale wkrótce będzie żył w wolnym społeczeństwie. To spotkanie ich odmieniło, skłaniając do głębszego zaangażowania i dawania bardziej odważnego świadectwa wiary w przestrzeni publicznej. Zaowocowało to niezwykłymi, jak na warunki komuni-

stycznego państwa, obchodami 500-lecia śmierci św. Kazimierza, patrona Litwy w 1984 r., a jeszcze bardziej wielkim programem duszpasterskim 600-lecia chrztu Litwy, który został im przedstawiony przez papieża jako ważny punkt pracy duszpasterskiej i odrodzenia całego narodu.

wspieranych przez papieża. Pod wpływem jego działań, wystąpień, decyzji kadrowych coraz głośniej domagano się w obu tych republikach uznania własnej podmiotowości i praw dla ludzi wierzących. Te procesy miały kulminację w 1986 r., kiedy w sanktuarium maryjnym w Agłonie obchodzono 800-lecie chrztu Łotwy, oraz w 1987 r., kiedy w Watykanie i na Litwie obchodzono 600-lecie chrystianizacji tego kraju. Ich dopełnieniem była beatyfikacja biskupa wileńskiego i odnowiciela zakonu marianów Jerzego Matulewicza-Matulaitisa (Jurgisa Matulevičiausa-Matulaitisa). Cytowane w książce sowieckie dokumenty wskazują, jak wielkim duchowym przełomem dla mieszkańców Łotwy i Litwy były te uroczystości.

Skoncentrowałem się zaledwie na kilku tekstach, aby wskazać na kwestie, które powinny uzupełnić naszą wiedzę o roli pontyfikatu św. Jana Pawła II dla odzyskania wolności przez chrześcijan na Wschodzie. Nic nie wydarzyło się nagle. Były to konsekwentnie prowadzone przez lata działania Jana Pawła II na wielu polach: dyplomatycznym, duszpasterskim, medialnym. Ważną ich częścią była specyficzna papieska polityka historyczna, odnosząca się do postaci świętych czy ważnych rocznic, przywracająca ludności sowieckiej Litwy i Łotwy, ale także Rosji, Białorusi i Ukrainy poczucie zakorzenienia i dumy z własnej historii. Omawiana publikacja stanowi niezwykle cenne uzupełnienie wiedzy o tym pontyfikacie oraz jego roli w upadku komunizmu i Związku Sowieckiego.



Sól ziemi



**ELŻBIETA
BRZOZOWSKA**

„Posłuszeństwo wobec Stwórcy zakłada kreatywność” – to bodaj jedno z najpiękniejszych zdań, jakie padają w „Raju za drzwiami”. I można chyba bez uszczerbku dla intencji autora dodać: „oraz niezależność myślenia”.

Jeśli spróbować ułożyć mapę świata na podstawie dostępnych przekładów prac współczesnych myślicieli, okazałoby się, że obszar anglosaski tworzy imperium, jakiego historia nie poznała, Francja zaś zajmuje miejsce stosunkowo skromne, a na pewno zbyt skromne, by dać pojęcie o różnorodności tamtejszego życia intelektualnego. A przecież piszą tam i są obecni w przestrzeni medialnej pisarze i filozofowie, którzy podają w wątpliwość ultrapoprawną zbiorową mądrość najnowszej mody. Do najbardziej świeżych (co ma wartość daleko większą niż

blyskotliwość) z nich należą Chantal Delsol i Fabrice Hadjadj. Dzieli ich jedno pokolenie, łączą filozoficzne wykształcenie, dar pióra, odwaga i zmysł krytyczny. O ile Chantal Delsol przedstawiać nie trzeba (wystarczy spojrzeć na potężny dorobek pisarski i stworzony ośrodek studiów europejskich), o tyle Fabrice Hadjadj wydaje się wciąż niewystarczająco w Polsce odkryty. Za zapadającą w pamięć autoprezentacją („Żyd z arabskim nazwiskiem katolickiego wyznania”) kryje się niecodzienny życiorys: syn przekonanych maoistów, uczestników rewolucji '68, porzucił anarchizm, przeżył doświadczenie duchowe, po którym przyjął chrzest i odtąd nigdy nie wyrzekł się katolicyzmu. Co więcej – od lat pisze, wykłada, kieruje Instytutem Philanthropos, wychowuje z żoną dziewięcioro dzieci, zbiera nagrody...

Jeśli pokusić się o zestawienie ich książek opublikowanych ostatnio przez PIW – „Czas wyrzeczenia” Chantal Delsol



Chantal Delsol,
„Czas wyrzeczenia”,
tłum. Grażyna Majcher,
PIW 2020

i „Raju za drzwiami. Eseju o kłopotliwej radości” Fabrice’a Hadjadja – trzeba by zacząć od tego, czym książki te nie są – nie są ani pedagogiką dla opornych, ani lekkostrawną lekturą dla pokrzepienia serc. Patrząc na współczesny świat, Delsol widzi zastępowanie wartości będących fundamentem cywilizacji chrześcijańskiej mitami i religiami od niej starszymi i bardziej pierwotnymi lub paradygmatem rozumu i techniki. Z kolei Hadjadj sięga spojrzeniem poza ten świat i pokazuje, jakim wyzwaniem jest realność raju. Dostrzega tęsknotę za nim tam, gdzie inni widzą zgorszenie, a wierność powołaniu człowieka – w geście twórczym i wrażliwości nań. Oboje nie uwodzą, ale są nieodparcie pociągający w tym, jaką czujność wykazują wobec własnych przekonań, jak wierni są w tym, by nie pisać dla potępienia, lecz otwarcia nam oczu. Bo są solą ziemi. ■



Fabrice Hadjadj, „Raj za drzwiami. Esej o kłopotliwej radości”, tłum. Justyna Nowakowska, PIW 2021

100 na 100



**GABRIELA
SIEROCIŃSKA-
-DEC**

Każdy z nas na pewnym etapie swojego życia sięga po komiksy – obrazkowe historie wzbogacone tekstem są przez wiele osób czytane i oglądane z uśmiechami na twarzy. Przy niektórych zaśmiewamy się do łez, są też takie, które przenoszą czytelnika do innych światów, wreszcie odrębną grupę komiksów stanowią te przekazujące jakąś wiedzę, np. historyczną. Do takich należą opowieści wchodzące w skład wydanej przez WSiP antologii „100 na 100. Antologia komiksu na stulecie odzyskania niepodległości”.

Otwiera ją obrazek, na którym znani bohaterowie książeczek autorstwa Papias Chmiela – Tytus, Romek i A'Tomek

– świętują odzyskanie przez Polskę niepodległości. Jednak to nie oni są głównymi i jedynymi bohaterami tej książki.

Na ponad 200 stronach mamy 17 komiksów o tematyce historycznej opowiadających o różnych wątkach związanych z odzyskaniem przez Polskę niepodległości. Każdy jest narysowany inną kreską, napisany innym piórem.

Autorzy sięgają do znanych wydarzeń – takich jak powstanie Legionów Polskich czy obrona Lwowa, ale także wykorzystują w scenariuszach rodzinne historie. Komiks „Pierwsza lekcja” (rys. Zbigniew Kasprzak, scen. Tomasz Kołodziejczak) został oparty na dziennikach dziadka scenarzysty.

Komiksy poruszają również tak ciekawe tematy jak chociażby utworzenie Rzeczypospolitej Zakopiańskiej („Rzeczpospolita Zakopiańska” Przemysław Kłossina oraz Pawła i Grzegorza Niewiadomych). Dzięki innej opowieści dowiadujemy się, dlaczego piłka ręczna nazywana jest szczypiorniakiem i co wspólnego z tą dyscypliną sportu mają legioniści („Szcypiorniak” Bereniki Kołomyckiej i Pawła Niewiadomego).

Na kartach nie brakuje postaci znanych z podręczników, takich jak Józef Piłsudski, Ignacy Jan Paderewski czy Roman Dmowski. Warto zwrócić uwagę na opowieść o roli kobiet w odzyskaniu niepodległości – komiks Katarzyny Babis „Głos kobiet” pozwala na spojrzenie na ten proces z perspektywy kobiecej.

Każdy komiks jest poprzedzony krótkim wstępem historycznym pozwalającym czytelnikowi na umieszczenie opowiadanej historii w kontekście. Uzupełnienie antologii stanowią artykuły rozszerzające wiedzę czytelnika, m.in. na temat tego, jaką formą jest komiks oraz jaka jest historia komiksu historycznego.

Antologia „100 na 100” to lektura zarówno dla pasjonatów historii, jak i dla wielbicieli komiksów. ■

„100 na 100. Antologia komiksu na stulecie odzyskania niepodległości”, WSiP 2018. Wiek: 8+





KAROLINA LANCKOROŃSKA: UCZONA I PATRIOTKA



**JERZY
MIZIOŁEK**

Ofiarowując Polsce w 1994 r. ok. 600 dzieł sztuki, Karolina Lanckorońska pisała: „Jestem ostatnią z rodu [...]. Chcę przedłożyć sprawę daru dzieł sztuki, pochodzących ze zbioru mojej rodziny. Dzieła te są moją prywatną, wyłączną własnością; nie zebrałam ich ja, zebrali ci, od których pochodzę. Rzeczy te przeznaczam na dwa dostojne miejsca, na Zamek Królewski w Warszawie i na Wawel. [...] Nie śniło mi się w najśmielszych marzeniach mojego długiego życia, że mi jeszcze będzie danym napisać ten list. Składaam

**POMIMO SUKCESÓW
W BADANIACH NAD
TWÓRCZOŚCIĄ
MICHAŁA ANIOŁA, PO
II WOJNIE ŚWIATOWEJ
WSZYSTKIE SIŁY
POŚWIECIŁA
WSPIERANIU NAUKI
I KULTURY POLSKIEJ.
JAN PAWEŁ II
OGROMNIE CENIŁ
JEJ DOKONANIA,
ODZNACZAJĄC JĄ M.IN.
ORDEREM PAPIEŻA
GRZEGORZA WIELKIEGO**

dar w hołdzie Rzeczypospolitej Wolnej i Niepodległej [...]”. W 2000 r. dar dla Wawelu został uzupełniony jeszcze o kilka arcydzieł, w tym jeden z najśłynniejszych obrazów włoskiego renesansu „Jowisza malującego motyle” Dossa Dossiego. Wielu spośród Lanckorońskich dobrze służyło Rzeczypospolitej, jednak dokonania ostatnich z tego rodu – Karola Lanckorońskiego i jego dzieci, zwłaszcza zaś Karoliny, zasługują na szczególne uznanie i pamięć. Hrabia Karol, mimo że żył głównie w Wiedniu, pielęgnował polskie tradycje i wychował dzieci na polskich patriotów. Karolina szlifowała znajomość polskiego, czytając poezję Juliusza Słowackiego, który przepowiedział wybór słowiańskiego papieża. Nic też dziwnego, że poświęciła Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, jak zwykła mówić o Polsce, niemal całe swoje życie, w ogromnej części spędzone na emigracji.

Karol i Karolina

Jeden z pamiętnikarzy tamtej epoki zanotował, że hrabia Lanckoroński (1848–1933) „podczas I wojny światowej oddał z własnej inicjatywy swoją rezydencję w Lainz na szpital dla żołnierzy i oficerów polskich, a córka jego [Karolina] pełniła tam służbę pielęgniarki. [...] Widać z tego, że pod złotem szamerowaną powłoką ochmistra habsburskiego dworu biło zawsze serce polskie, szczerze kraj swój miłujące”. A więc służeniem rannym rodakom wchodziła młoda hrabianka, urodzona w 1898 r., w dorosłe życie. Ojciec – otrzymała po nim imię i monumentalną posturę – był dla niej wzorem w pojmowaniu sztuki, kultury klasycznej i miłości do Italii, którą ukochała tak bardzo, że po wojnie osiadła w Rzymie i w nim, po śmierci pod koniec sierpnia 2002 r., spoczęła.

To, że wśród jej przodków byli marszałkowie dworu królewskiego, hetmani, senatorowie (aż 16 w ciągu dziejów), odnowiciele Uniwersytetu Jagiellońskiego w czasach królowej Jadwigi i wreszcie współtwórcy Komisji Edukacji Narodowej w XVIII w., ogromnie zobowiązywało. Podobnie jak to, że – co wiemy z dokumentów – jej ojciec „kształcił synów chłopskich ze swych posiadłości w Galicji Wschodniej i torował im drogę w ich zawodach [...] Co roku dwu jego pupilów kończyło nauki i dwu nowych wstępowało na ich miejsce”. Karol Lanckoroński był też opiekunem Jacka Malczewskiego i wybitnych badaczy, m.in. archeologa Piotra Bienkowskiego i Mariana Sokołowskiego, pierwszego profesora historii sztuki w Polsce. W ogromnym stopniu przyczynił się do odzyskania z rąk austriackich Wawelu, a następnie do jego restauracji. Nic więc dziwnego, że również jego córka miała szczególnie stosunek do Zamku Królewskiego, który pod koniec życia obdarowała skarbami sztuki włoskiej, jakże znakomicie wpisującymi się we włosko-renesansową architekturę obiektu. Gdy Polska odzyskała niepodległość, dzięki zabiegom hrabiego Lanckorońskiego wielka liczba poloników rozgrabionych po rozbiorach wróciła do polskich instytucji. W uznaniu za te zasługi otrzymał order „Polonia Restituta”. Pół wieku później takie samo odznaczenie zostało przyznane jego ukochanej córce. Łączyło ich ponadto jeszcze to, że oboje zostali uhonorowani doktoratami honoris causa Uniwersytetu Jagiellońskiego.

W blasku włoskiego renesansu

Przyszła doktor h.c. najstarszej polskiej uczelni wzrastała w Wiedniu, w wielkopolskim domu, ale – jak widzieliśmy – dobiegając 20. roku życia, nie bała się posługi pielęgniarskiej. Potem przyszły studia uniwersyteckie i zainteresowanie sztuką największych mistrzów włoskiego renesansu. Ta prawdziwa pasja towarzyszyła jej w ostatnich latach życia. Zamiłowanie do kultury artystycznej czasów Michała Anioła i Tintoretta zawdzięczała zapewne w części swoim uniwersyteckim mistrzom. Byli nimi dwaj słynni historycy sztuki tamtych czasów Max Dvořák, a po jego śmierci w 1921 r. Julius von Schlosser. Pod kierunkiem Dvořáka rozpoczęła pisanie pracy doktorskiej o „Sądzie Ostatecznym” Michała Anioła, a ukończyła ją u Schlossera w 1925 r. Rozprawa ta do dzisiaj cytowana jest powszechnie w literaturze naukowej poświęconej temu arcydziełu. Tego samego roku dr Lanckorońska wyjechała na dłuższy pobyt do Rzymu w celu dalszych studiów nad sztuką renesansu i baroku. W Wiecznym Mieście pełniła funkcję bibliotekarki w Stacji Rzymskiej PAU. Jednym z efektów jej badań w Rzymie była praca habilitacyjna opublikowana w 1935 r. „Dekoracja kościoła Il Gesù na tle rozwoju baroku w Rzymie” i przyjęta uchwałą Rady Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. Została pierwszą kobietą w Polsce, która uzyskała habilitację z zakresu historii sztuki i poświęcić się mogła wreszcie pracy uniwersyteckiej oraz pisaniu. W tamtych latach napisała monografię Michała Anioła, jednak jedyny egzemplarz przepadł w czasie wojny. Wiele jej artykułów z tamtego czasu, nie tylko o Michale Aniele, ale także o Rafaelu i Tintoretcie, zostało ogłoszonych w Polsce i za granicą, na trwałe wpisując jej imię w historię badań nad sztuką Italii.

Wszystko dla Najjaśniejszej Rzeczypospolitej

*„Kazano w kraju niewinnej dziecinie
Modlić się za mnie co dzień... a ja przecie
Wiem, że mój okręt nie do kraju płynie,
Płynąc po świecie...”*

*Juliusz Słowacki,
„Hymn (Smutno mi, Boże...)”*

Słowami swego ulubionego poety zamyla Karolina Lanckorońska dramatyczne i do głębi przejmujące „Wspomnienia wojenne”. Opowiada o latach 1939–1945, ale

dają znakomite wyobrażenie o tym, kim była, jak myślała i jakie były jej życiowe priorytety. Autor „Kordiana” powraca w tym dziele wielokrotnie, m.in. w relacji o krakowskim pogrzebie por. Lecha Stelmachowskiego, jednego z obrońców Helu i we wspomnieniu z czasów długiego więzienia w obozie koncentracyjnym w Ravensbrück. W pierwszym przypadku przyszedł jej na myśl wiersz „Pogrzeb kapitana Meyznera” z tymi słowami: „A Ty, Boże [...] Zapal przynajmniej na śmierć naszą – słońce”; w drugim – na widok szybującego bociana – wypowiada cztery słowa z „Hymnu”: „Żem je znał kiedyś [na polskim ugorze; Smutno mi, Boże]”.

Niezwykle piękne i poruszające są strony „Wspomnień” przywołujące lektury czytane w więzieniu we Lwowie i na stacji w Koluszkach w czasie misji do Warszawy. Studiowała Tacyta, Tukidydesa, „Literaturę grecką” Tadeusza Sinka. Oto passus o słynnym helleniście i Homerze: „To, co Sinko pisze o »pogodzie Iliady« i »czarze Odysei«, porównanie, które przeprowadza (na korzyść »Iliady«), jest piękne i trafne, ale nie wydaje mi się wyczerpywać tego olbrzymiego tematu [...] Myli się Sinko, jeśli mówi, że młodzi kochają »Odyseję«, a starsi »Iliadę«. Subiektywnie tu wspomnę, że o ile o mnie chodzi, czytałam Homera po raz pierwszy, mając lat 15 – odniosłam z »Iliady« wrażenie od pierwszej chwili piorunujące, dające się porównać jedynie z wrażeniem, jakie trzy lata przedtem odniosłam we Florencji z »Davida« Michała Anioła, a z »Odysei« nie pamiętam nic. [...] Wracając do »Iliady«, zapewne już zauważono, że u progu kultury greckiej i kultury włoskiej stoją dwie epopeje, zarazem dwa najwyższe szczyty w literaturach tych kultur – »Iliada« i »Boska Komedia«”.

Po wojnie, pomimo ofert składanych przez uniwersytety zagraniczne, nie objęła żadnej katedry, o sztuce pisała rzadko, zdecydowała się bowiem poświęcić innej działalności. W dniu otrzymania doktoratu honoris causa Uniwersytetu Jagiellońskiego takie wypowiedziała słowa: „Losy Kraju tak mną pokierowały, nakłoniły do wyrzeczenia się ukochanych badań nad historią sztuki. Wspominam z radością lata pracy nad nią i dane mi wówczas możliwości wprowadzania młodzieży na Uniwersytecie Jana Kazimierza w świat odrodzenia włoskiego. [...] Wydawało mi się wtedy – i myślę, że miałam rację, była to jedyna w moim życiu bolesna ofiara – że służba kulturze polskiej obecnie ode mnie wymaga nie badań nad Michałem Aniołem, lecz >>

» pracy zupełnie innej. Jasnym dla mnie było, że teraz trzeba poświęcić wszystkie siły badaniu i wydawaniu źródeł do historii Polski z archiwów Zachodu».

Ten nowy okres w jej życiu zaczął się w Italii, gdzie dotarła po opuszczeniu Ravensbrück wiosną 1945 r. Trafiła w szeregi bohaterskich żołnierzy z II korpusu gen. Władysława Andersa. „Nie myślę – pisała po latach w jednym z artykułów – by istniała w historii armia, która od pierwszej chwili swego powstania, potem w czasie przemarszu przez pół świata, wreszcie w samej akcji bojowej, organizowała i prowadziła drugą akcję, zupełnie inną – edukacyjną”. Ale tę edukację po wojnie trzeba było kontynuować. Prof. Lanckorońska otrzymała zadanie umieszczenia na uczelniach włoskich ok. 1,3 tys. osób chętnych do dalszej nauki. Wykorzystując swoje znajomości, wywiązała się z tego znakomicie. Następnie brała udział w organizowaniu w Londynie Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie i wreszcie wraz z ks. Walerianem Meyszto-wiczem powołała do życia Polski Instytut Historyczny w Rzymie, który rozpoczął swą działalność w 1946 r. Organizowano wykłady, fora dyskusyjne, badania nad dziejami Polski, a z czasem – gdy udało się pozyskać środki finansowe – rozpoczęto działalność wydawniczą. Od 1954 r. wydawany był rocznik „Antemurale”, a od 1960 r. „Elementa ad fontium editiones”, które zawierają materiały źródłowe do dziejów Polski z archiwów zagranicznych, m.in. z Watykanu. Następnie Instytut podjął się wydawania, rozpoczętej w 1915 r. przez Polską Akademię Umiejętności (PAU), serii „Acta Nuntiaturae Polonae”. Na zdjęciu z początku lat 90. widzimy, jak niezwykle przejęta prof. Lanckorońska wręcza papieżowi Janowi Pawłowi II jeden z tomów tej serii.

Dorobek Instytutu jest bardzo bogaty; w latach 1954–1983 ukazało się 28 tomów „Antemurale”, w latach 1960–1992 76 tomów „Elementa ad fontium editiones”, w tym 25 opracowanych przez samą Lanckorońską, a ponadto do 2002 r. opublikowano ponad 20 tomów serii „Acta Nuntiaturae Polonae”. Owocem działalności Instytutu było też umożliwienie wyjazdów zagranicznych, głównie do Italii, badaczy z Polski. W celu wsparcia tej bezcennej inicjatywy pozwalającej na rozwój karier naukowych humanistów z Polski Antoni Lanckoroński (1893–1965), brat Karoliny, utworzył w 1960 r. Fundusz im. Karola Lanckorońskiego, siedem lat później przekształcony w Fundację Lanckorońskich. Dzięki prof. Lanckorońskiej i jej Fundacji

setki historyków, archeologów, historyków sztuki, filologów klasycznych, historyków filozofii z wszystkich ważniejszych środowisk naukowych w Polsce uzyskało możliwość dłuższych i krótszych pobytów w muzeach, bibliotekach i archiwach Italii, Francji, Niemiec, Anglii i innych krajów. Ale prof. Lanckorońska wspierała też hojnie liczne polskie instytucje naukowe, m.in. PAU w Krakowie, Uniwersytet Jagielloński, KUL, a także Bibliotekę Polską w Paryżu i Instytut Sikorskiego w Londynie.

„JASNYM DLA MNE BYŁO, ŻE TERAZ TRZEBA POŚWIĘCIĆ WSZYSTKIE SIŁY BADANIU I WYDAWANIU ŹRÓDEŁ DO HISTORII POLSKI Z ARCHIWÓW ZACHODU”

Gdy pada pytanie o źródła finansowania Fundacji, odpowiedź jest następująca: m.in. intratna sprzedaż majątków leśnych Lanckorońskich w Austrii i licznych dzieł sztuki z ogromnej niegdyś kolekcji, takich jak obrazy Paolo Uccello „Św. Jerzy walczący ze smakiem”, Masaccia „Św. Andrzej”, „Madonna z Dzieciątkiem” z kręgu Botticellego czy freski Domenichina. „W trudnych chwilach – pisała w 1994 r. prof. Lanckorońska – tak brat mój, jak i później ja, zmuszeni byliśmy sprzedać szereg obrazów. Najbardziej znanym ze sprzedanych dzieł jest obraz Masaccia „Święty Andrzej», stanowiący fragment słynnego, stojącego niegdyś w katedrze pizańskiej 24-częściowego poliptyku. Fragmentów owego dzieła zachowało się do dziś 18. Decyzja sprzedaży nie była łatwa. Obraz nosił wielkie nazwisko, miał duży rozgłos, ale nie posiadał samodzielnej treści jako kompozycja artystyczna. Z drugiej strony wiedziałam, że jeśli nie sprzedam tego obrazu, przepadnie (i to zaraz) Biblioteka Polska w Paryżu – archiwum całego naszego XIX wieku”. Była to więc sprzedaż – ta i inne – dla dobra nauki. Dlatego z okazji otrzymania Wielkiego Krzyża Orderu Polo-

nia Restituta mogła wypowiedzieć z przekonaniem te słowa: „Moją ziemską boginią jest Nauka Polska”.

Spojrzenie na freski Sykstyńskie

Nawet w późnej fazie życia prof. Lanckorońska prowadziła wykłady, niekiedy dla indywidualnych stypendystów. Ulubionym tematem pozostał Michał Anioł. Z wielkim zainteresowaniem obserwowała prace konserwatorskie w kaplicy Sykstyńskiej i nie raz przychodziła oglądać je z rusztowań, na które dostęp ułatwiała winda. Długo przed śmiercią, na którą od czasów wojny była zawsze gotowa, żegnała się z ukochanymi zabytkami Italii – m.in. z malowidłami Tintoretta w Pałacu Dożów i w Scuola di San Rocco w Wenecji, z freskami Giotta w Cappella dell'Arena w Padwie, z Florencją. Złożyła też dary kilku włoskim instytucjom. M.in. do Museo dell'Opera del Duomo w Sienie przekazała rzeźbioną głowę anioła pochodzącą z fasady tamtejszej katedry, którą Karol Lanckoroński nabył do swoich zbiorów ok. 1880 r., do Muzeów Watykańskich zaś obraz flamandzkiego malarza z początku XVII w. przedstawiający „Widok na bazylikę św. Piotra”; dostrzec na nim można również kaplicę Sykstyńską.

Na łamach „wSieci Historii” miałem już okazję snuć rozważania na temat odważnej decyzji Jana Pawła II w sprawie konserwacji fresków Michała Anioła w tej słynnej kaplicy i pięknej ich interpretacji zawartej w dwóch homiliach (1994 i 1999) i w „Tryptyku rzymskim” (2003). Jest niezwykle ciekawe, że dopiero po 16 latach pontyfikatu nasz wielki rodak na tronie św. Piotra odniósł się w tak niezwykle pogłębiony sposób do scen Stworzenia na sklepieniu i do Sądu Ostatecznego. Jeszcze bardziej wzniośle, jakby prowadząc dialog z samym genialnym malarzem, napisał o tych freskach w środkowej części „Tryptyku”. Kto był konsultantem Ojca Świętego w tej trudnej i jednocześnie wysublimowanej materii? Czy rozmawiał o tym z Karoliną Lanckorońską w czasie kilku audiencji? To przecież właśnie ona napisała doktorat na temat „Sądu Ostatecznego”, eksplorowała również inne sceny w kaplicy i wnikliwie śledziła postęp prac konserwatorskich i publikacje im towarzyszące. Na postawione pytanie nie sposób już dziś odpowiedzieć, ale warto pamiętać, że to dzięki papieżowi rodem z Krakowa i prof. Karolinie Lanckorońskiej nasze postrzeganie i rozumienie fresków Sykstyńskich jest znacznie poszerzone i pogłębione. ■

Nie tylko Norymberga



ANTONI
DUDEK

W powszechnej świadomości rozliczenia ze zbrodniarzami z czasów II wojny światowej kojarzą się przede wszystkim z procesem norymberskim. Książka profesorów Pawła Machcewicza i Andrzeja Paczkowskiego przekonuje, że było to znacznie szersze zjawisko, daleko wykraczające poza granice Niemiec.

Oczywiście samemu procesowi norymberskiemu oraz problemom, jakie napotkało ściganie zbrodniarzy wojennych zarówno w RFN, jak i w NRD, autorzy poświęcili sporo miejsca. Dla mnie jednak najciekawsze były fragmenty dotyczące innych krajów, w tym zwłaszcza pozostałych państw Osi, czyli Włoch i Japonii.

Zapewne większość interesujących się postacią Benita Mussoliniego słyszała, że został schwytany przez partyzantów i powieszony

bez sądu. Okazuje się jednak, że jego błyskawiczna egzekucja była efektem rywalizacji wewnątrz włoskiej partii komunistycznej, a zabrane mu przed śmiercią pieniądze oraz kosztowności posłużyły do zakupu budynku na potrzeby partyjnej centrali w Rzymie. Z kolei znalezione przy nim dokumenty zostały sprzedane agentom wywiadu brytyjskiego, co z kolei dowodzi, że choć włoska partia należała do Kominternu, to nie zawsze wiernie służyła moskiewskiej centrali.

Włoskie rozliczenia z faszyzmem okazały się gwałtowne, ale krótkotrwałe. Po fali samosądów, których ofiarami padli głównie funkcjonariusze zniechędzonej Republiki Salò, przez kilka miesięcy 1945 r. działały sądy nadzwyczajne, które skazały 6 z ponad 21 tys. postawionych przed nimi oskarżonych. Jednak później poszukiwania winnych zaczęto systematycznie ograniczać. Głównym powodem była obawa nowych władz, że masowe rozliczenia z przeszłością wzmocnią popularność partii komunistycznej, w której szeregach i bez tego znalazło się wielu niedawnych wyznawców Mussoliniego.

Dlatego dla przykładu na prawie 400 tys. urzędników ze służby jako skompromitowanych usunięto zaledwie półtora tysiąca.

O ile Amerykanie odpuścili faszystowskiemu przywódcom Italii organizację procesu, który dałby się porównać z Norymbergą, o tyle już wobec Japończyków okazali się bardziej zdecydowani. Przesądziła o tym oczywiście liczba ich żołnierzy, którzy oddali życie na Pacyfiku, walcząc z wojowniczym cesarstwem. Międzynarodowy Trybunał Wojskowy dla Dalekiego Wschodu powołał gen. Douglas MacArthur, a znaleźli się w nim sędziowie z 11 państw, w tym z ZSRR. Okazali się oni jednak znacznie bardziej podzieleni w ocenie winy 25 oskarżonych w tzw. procesie tokijskim, trwającym notabene trzy razy dłużej niż ten norymberski, bo od maja 1946 do listopada 1948 r. Kto chce poznać powody tych różnic, musi sięgnąć do frapującej książki Machcewicza i Paczkowskiego.

P. Machcewicz, A. Paczkowski, „Wina, kara, polityka. Rozliczenia ze zbrodniami II wojny światowej”, Kraków 2021



POLSKIM OKIEM

9 rad dla Was (dla nas)...



RYSZARD
CZARNECKI

Gratulacje dla Naczelnego i Zespołu za wydanie już setnego (!) numeru „wSH” – do prawdy ważnego periodyku historycznego. Pismo ma swoich przyjaciół (w tym piszącego te słowa), ale też wrogów. Nie ma co się łudzić – tak po prostu jest. W związku z tym pozwolę sobie udzielić kilku rad.

Po pierwsze: radzę kierować się mądrością włoskiego przysłowia: „Nie wystarczy wziąć wroga na cel – trzeba jeszcze trafić”.

Po drugie: wrogów nie należy lekceważyć. Już grecki filozof Antystenes, nauczyciel Diogenesa, mówił: „Nie lekceważ swoich wrogów, bo oni pierwsi zauważą Twoje błędy”.

Po trzecie: wróg to wróg. Nie relatywizuj jego i jego wrogości. Amerykański poeta romantyczny Henry Wadsworth Longfellow słusznie pisał: „Gdybyśmy mogli zgłębić tajemnicę serc naszych wrogów, znaleźlibyśmy tyle smutku i cierpienia, że cała nasza wrogość by się rozwiała”.

Po czwarte: z wrogami najlepiej walczyć w (dobrym) towarzystwie, bo wtedy łatwiej wygrać. Nie mówię, aby kochać wrogów naszych wrogów, ale na pewno należy z nimi współpracować. Jak mawiał pisarz, publicysta i nauczyciel aresztowany przez komunistów w 1951 r. i skazany na cztery lata więzienia Stefan Garczyński: „Wróg wspólny – dosyć na sojusz, za mało na przyjaźń”.

Po piąte: nie przejmujcie się zarzutami Waszych wrogów. Będą Was oskarżać o wszystkie możliwe grzechy. W takich chwilach pamiętajcie o łacińskiej maksymie: „To zaszczyt być oskarżanym przez tych, którzy sami zasługują na oskarżenie”.

Po szóste: nie bądźcie nazbyt łaskawi dla swoich wrogów. Oni się taką łaskawością na pewno nie zrewanżują. Jak słusznie pisał Stanisław Jerzy Lec: „Tylko bardzo wielcy mogą pozwolić przeciwnikom podnieść głowę”.

Po siódme: uważnie słuchajcie, co mówią o Was wrogowie – i wyciągajcie wnioski. Nie chodzi o to, aby przyjmować ich narrację, ale żeby analizować... także własne słabości. Mądrze pisał wspomniany już tu wybitny aforysta, Stefan Garczyński: „Życzliwość dostrzega i wyolbrzymia nawet małe zalety, wrogość dostrzega i wyolbrzymia nawet małe wady”.

Po ósme: za nic nie wierz wrogom, choćby nie wiem jak lukrowali. „Nie ufaj Grekom, nawet jeśli niosą dary” – mówił Laokoon z „Eneidy” Wergiliusza. Skądinąd także w okresie starożytności świetnie ujął to bajkopisarz Ezop: „Obietnice naszych wrogów składane są po to, aby je złamać”.

Po dziewiąte: jeśli masz chwilę słabości (pewnie każdy je ma) – ukryj to, nie rozgłaszaj tego, bo osłabiasz morale innych. Jak radzi stare żydowskie powiedzenie: „Gdy kryjesz się przed wrogiem, nie mów o tym przyjacielowi”...


**RAFAŁ
ŁATKA**

 Biuro Badań
Historycznych
IPN

W KRĘGU KLIO

Nowa odsłona badań nad bezpieczeńką

„Aparat Represji w Polsce Ludowej 1944–1989”, 2020, nr 1 (18)

Rocznik zatytułowany „Aparat Represji w Polsce Ludowej 1944–1989” jest jedną z wizytówek Instytutu Pamięci Narodowej. Pismo zostało założone 17 lat temu w Rzeszowie, a jego głównym celem było i dalej jest przybliżanie działalności (w tym zbrodni) organów państwa w Polsce pod rządami komunistów. Istotnie, od powstania periodyku na jego łamach ukazało się kilkanaście tekstów mających duże znaczenie historyczne i stanowiących przełom w badaniach nad PRL. Przykładowo można wymienić artykuł Piotra Gontarczyka o współpracy Aleksandra Kwaśniewskiego z SB; analizę Filipa Musiała o wiązaniu tajnych współpracowników z aparatem bezpieczeństwa; teksty poświęcone niszczeniu dokumentów aparatu represji na przełomie lat 1989/1990; pełny stenogram z rozmowy werbunkowej funkcjonariuszy SB z jednym z kapłanów. W 2020 r. pismo przeszło pewną modyfikację. Stało się tak na skutek zarówno korekt w składzie osobowym redakcji – na jej czele stanął Filip Musiał, wspierany przez zastępcę Władysława Bułhaka – jak i zmian o charakterze strukturalnym. Redakcja podjęła decyzję, by każdy numer miał swój temat główny dotyczący zagadnień dotychczas słabo opisywanych lub niepodejmowanych jeszcze przez badaczy. Jest to właściwy krok, gdyż widać, że o wiele więcej wiemy na temat pierwszych lat działalności aparatu represji (1945–1956), a o wiele mniej na temat jego funkcjonowania w okresie rządów Edwarda Gierka czy w latach 80. Wprowadzono również nowy dział zatytułowany „Artykuły i studia porównawcze: Aparaty represji w innych krajach komunistycznych i totalitarnych”. Dzięki analizom funkcjonowania struktur bezpieki i innych organów represyjnych będziemy mogli skuteczniej dokonywać ich komparatystyki.

Numer z 2020 r. (który ukazał się na początku 2021 r.) liczy blisko 800 stron. Dział główny poświęcony działalności SB w latach 1957–1975 to mniej więcej połowa treści. Znalazły się w nim teksty o różnorodnym charakterze: od ujęć monograficznych i przekrojowych, przez

artykuły przyczynkarskie, aż do interesujących studiów przypadku. Szczególną uwagę warto zwrócić na analizę Witolda Bagieńskiego dotyczącą początków działalności wywiadowczej Departamentu I MSW w krajach bloku wschodniego; tekst Adama Dziuroka o strukturach i kadrach aparatu represji na terenie woj. śląskiego/katowickiego zajmujących się rozpracowywaniem zakonów oraz artykuł Anny Badury o współpracy agenturalnej z SB ks. Karola Nawy. Przy tym ostatnim warto zatrzymać się dłużej, gdyż wspomniany duchowny był nie tylko długoletnim i skutecznym donosicielem aparatu bezpieczeństwa (o czym przed tekstem badaczki ze Śląska nie wiedzieliśmy), ale także jako agent celny przyczynił się do skazania na karę śmierci Stanisława Jarosa, odpowiedzialnego za nieudany zamach na Władysława Gomułkę i delegację partyjną w Zagórzu w 1961 r. Z artykułu Badury wyłania się obraz niezwykle szkodliwego tajnego współpracownika, który donosił chętnie, bez żadnych skrupułów i otrzymywał za to wynagrodzenie. Informacje przez niego przekazywane były oceniane bardzo wysoko, TW był zaś prowadzony osobiście przez najważniejszych funkcjonariuszy antykościelnego Wydziału IV w Katowicach. Najciekawszym tekstem w dziale „Artykuły i studia porównawcze” jest analiza Douglasa Selvage raportów KGB z lat 1974–1988 o „Tendencjach dotyczących taktyki wywrotowych działań ideologicznych wroga”. Spośród pozostałych części pisma polecam także artykuł Moniki Komanieckiej-Lyp o działalności Wojewódzkich Urzędów Cenzury w okresie stanu wojennego oraz obszerną recenzję książki Tomasza Kozłowskiego: „Koniec imperium MSW. Transformacja organów bezpieczeństwa państwa 1989–1990” autorstwa Zbigniewa Bereszyńskiego.

Podsumowując, można stwierdzić, że wprowadzenie zmian w strukturze treściowej „Aparatu Represji” wyszło pismu na dobre. Jest to najciekawszy numer rocznika od kilku lat, tekst A. Badury należy zaś traktować nie tylko jako niezwykle interesujące case study, lecz również jako wzorcowy artykuł o współpracy kapłana z SB. ■



Jacek Bartyzel, „Zboże polskiego myślenia”, Wyd. von borowiecky, Radzymin-Warszawa 2021

Jacek Bartyzel od wielu lat należy do czołowych badaczy zajmujących się polską myślą polityczną. Po jego studia warto sięgać choćby ze względu na interesujące, nieszablone wnioski oraz bogactwo i precyzję języka. W pracy „Zboże polskiego myślenia” zebrał swoje teksty pisane na przestrzeni 40 lat (od 1980 do 2020 r.). Równie szeroka jest paleta tematyczna, jaką podjął: od studiów nad myślą staropolską, przez namysł nad wybranymi postaciami z XIX w., aż po okres PRL. Cechą łączącą wybranych myślicieli interesujących łódzkiego badacza jest ich dążenie do zharmonizowania ładu i wolności w życiu społecznym. Do najciekawszych tekstów pomieszczonych w tym tomie należy zaliczyć te dotyczące ks. Piotra Skargi, stańczyków krakowskich, monarchicznych sympatii kard. Augusta Hlonda i Stefana Kisielewskiego. Mam tylko jedną wątpliwość, czy do tego zestawu postaci na pewno pasuje piśsudczyk Adam Skwarczyński?



DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

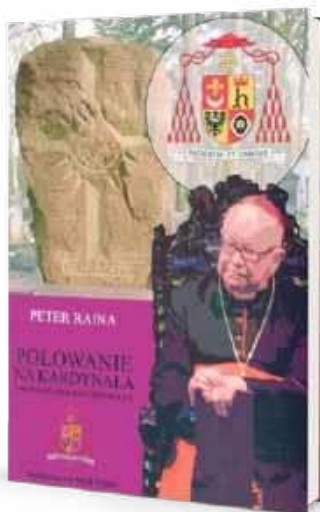
Roman Dmowski, „Wobec rodzących się totalitaryzmów. Wybór pism”, red. O. Grott, Kraków 2021, OMP

Na polskim rynku wydawniczym nie brakuje różnych edycji dzieł Romana Dmowskiego. Szczególnie często przypomina się te najważniejsze: „Myśli nowoczesnego Polaka”, „Niemcy, Rosja i kwestia Polska” oraz „Kościół, naród, państwo”, o wiele rzadziej wydawane są zaś teksty mniej znane, publikowane niekiedy w niszowych periodykach. Nakładem OMP ukazał się zbiór tematyczny obejmujący refleksje Dmowskiego dotyczące faszyzmu, nazizmu i w mniejszym zakresie bolszewizmu. Pokazują one, po raz kolejny, jak wybitnym myślicielem był Dmowski, który potrafił dostrzec, w jakim kierunku zmierzały państwa totalitarne. Nie oznacza to jednak, że się nie mylił – wieszczę przykładowo, że po kryzysie gospodarczym lat 30. Niemcy szybko nie odbudują swojej potęgi. Należy żałować, że wstęp autorstwa O. Grotta nie jest bardziej rozbudowany; brakuje wyjaśnienia choćby omówienia genezy edytowanych tekstów przywódcy Endecji.



Peter Raina, „Polowanie na kardynała. Sprawa Henryka Gulbinowicza”, Warszawa 2021, Myśl Polska

Dziełko „Polowanie na kardynała” – bo trudno nazwać książeczkę liczącą 79 stron (z czego część właściwa ma 44 s.) monografią, jak chce jej autor – wpisuje się w nurt bezwzględnej obrony kapłanów o wątpliwej czy kontrowersyjnej przeszłości. Tekst w swojej części odnoszącej się do śledztwa Stolicy Apostolskiej i jej wyroku w sprawie kard. Gulbinowicza jest jedynie nieudolnym powtórzeniem niektórych tez Agnieszki Bugały z artykułu „Bohater wylany z kąpielą?”, opublikowanego na łamach „Więzi” 24 listopada 2020 r. Raina, nie pisząc nic nowego, wyostreza jedynie tezy wspomnianego wyżej tekstu oraz kompromituje się, pytając, dlaczego śledztwa w sprawie kard. Gulbinowicza Stolica Apostolska nie powierzyła archidiecezji wrocławskiej, tylko warszawskiej. Raina zajął się w swojej książeczce także tematem rozmów operacyjnych prowadzonych przez SB z ks. Gulbinowiczem w latach 1969–1985 (które opisałem wspólnie z Filipem Musiałem) w sposób absurdalny, tzn. całkowicie je bagatelizując oraz twierdząc, że w żaden sposób nie wpływają one na ocenę biografii hierarchy. Trudno to nawet nazwać myśleniem życzeniowym, to już uporczywe nieprzyjmowanie do wiadomości realnej rzeczywistości historycznej. Komedium



aspektem książeczki Rainy jest porównywanie działań Stolicy Apostolskiej w sprawie kard. Gulbinowicza do inkwizycji i losu Savonaroli... Równie kuriozalne jest poszukiwanie ukrytych i daleko idących motywów wyroku Watykanu w tej sprawie: „Dlaczego akurat polski Kardynał musiał posłużyć jako czarna owca? Czy może był jakiś inny powód tego werdyktu? Czy można przypuszczać, że chodziło o dokonanie zemsty na Janie Pawle II? [...] Czy aby wymazać polskiego papieża z pamięci lub pomniejszyć jego autorytet, nie wkroczone na drogę wystawienia polskiego Kardynała na hańbę?” – pisze Raina. Trudno nawet komentować te słowa sugerujące spisek Stolicy Apostolskiej...

REKLAMA



Rafał Łatka rozmawia z...

...prof. Markiem Kornatem na temat książek dr. Krzysztofa Raka: „Polska. niespełniony sojusznik Hitlera” oraz „Piłsudski między Stalinem a Hitlerem”

Panie profesorze, na polskim rynku wydawniczym w ostatnich latach pojawiły się dwie obszerne książki dr. Krzysztofa Raka. Czy mają one charakter przełomowy, czy wspomniany autor wprowadza do naszej wiedzy o wydarzeniach z lat 1926–1939 jakieś nowe istotne informacje?

Marek Kornat: Musimy mieć świadomość, że historia dyplomacji polskiej w latach 1926–1939 należy do niezmiernie sumiennie przebadanych. Odkrycie nowych faktów o fundamentalnym znaczeniu jest zasadniczo niemożliwe. Mamy u Raka fragmenty, zwłaszcza w pierwszej jego książce „Polska. Niespełniony sojusznik Hitlera”, w których wprowadzone zostały nowe naświetlenia. Takim przykładem może być podanie informacji o rozmowie konsula polskiego w Monachium Aleksandra Ładosia z szefem SA Ernstem Röhmem, i to z inicjatywy tego ostatniego w marcu 1931 r., co sugerowałoby jakieś próby znalezienia kontaktu z polską dyplomacją ze strony nazistów. Nawiasem mówiąc, bardzo po omacku, bo o polityce rozmawia się z posłem w stolicy (czyli Berlinie w tym wypadku), a nie z konsulami.

Czy zatem autor dotarł do nowych bądź niewyzyskanych dotąd dostatecznie źródeł archiwalnych, by prezentować daleko idące tezy?

Nie dotarł do żadnych nowych źródeł archiwalnych, których historycy by nie znali. Do swojej drugiej pracy „Piłsudski między Stalinem a Hitlerem” skorzystał z wywieszonych w internecie sowieckich akt z tzw. Fondu Stalina

w Rosyjskim Archiwum Historii Społeczno-Politycznej (dawne Archiwum KC KPZR) w Moskwie. Wykorzystał też to, co opublikowali Rosjanie w roku 2017 w tomach III i IV „Sowiecko-polskich odnoszeniach” za okres międzywojenny. Są to akta cenne, ale tendencyjnie dobrane (co oczywiście nie jest winą dr. Raka). Pochodzą ze zbiorów Archiwum Polityki Zagranicznej Federacji Rosyjskiej. Ze zbiorów tych korzystali historycy zagraniczni – w tym polscy. Należałem do nich i ja, pisząc książkę o ambasadorze Wacławie Grzybowskim. Autor pracy „Piłsudski między Stalinem a Hitlerem” próby takiej kwerendy nie podjął. Oczywiście mogła ona dać mu zarówno duże powodzenie, jak i nie dać nic, gdyż Rosjanie doznają dostęp do akt archiwalnych swojego kraju, kierując się nie wymogami poznawczymi, lecz aktualnymi wymogami polityki historycznej.

Czy obraz Józefa Piłsudskiego, jaki wyłania się z rozważań dr. Raka, jest prawdziwy?

Wydaje mi się, że dr. Rak ze wszystkich sił chce przeciwstawić marszałka Piłsudskiego ministrowi Beckowi. Pragnie wywyższyć pierwszego, aby ukazać w kontraście do niego drugiego. Pierwszy miał się cechować w swym postępowaniu fenomenalną elastycznością i niezwykłymi umiejętnościami stosowania manewru politycznego. Drugi umiejętności tych nie posiadał zupełnie, co skutkowało wynikami jego polityki. Tyle tylko, że jeżeli tezy o konspiracyjnym kontakcie Piłsudskiego ze Stalinem oraz o propozycji sojuszu wojskowego złożonej sowieckiemu dyktatorowi weźmiemy na poważnie, wyłania się z nich wątpliwy obraz tego polityka. Rak oczywiście tego nie pisze, ale ktoś, kto sięgnie po jego pracę, z łatwością dojdzie do wniosku, że dochodził do władzy, współpracując z wrogiem, a ponadto wrogowi temu proponował alians, łudząc się, że zyska



pomoc w obronie polskiego Pomorza i statusu Gdańska jako wolnego miasta. Bardzo to wątpliwa kwalifikacja jak na męża stanu. To wszystko służy raczej pomniejszeniu marszałka Piłsudskiego. To też stanowi jeden z głównych powodów mojej niniejszej wypowiedzi jako historyka, który na przestrzeni ostatnich 25 lat sprawy – o których tu mowa – poruszał w swych pracach.

Zatrzymajmy się przy kilku kontrowersyjnych tezach tego autora. Zaczniemy od stwierdzenia, iż w okresie poprzedzającym zamach majowy Piłsudski wszedł w konspiracyjny kontakt z Sowietami. Czy coś jest na rzeczy?

Twierdzenie, że marszałek Piłsudski wszedł w konspiracyjny kontakt ze Stalinem w fazie przygotowań do przewrotu politycznego w Polsce (1925–1926), nie jest prawdziwe. Byłoby tylko śmieszne, gdyby nie chodziło o sprawy wielkiego znaczenia dla reputacji historiografii polskiej. Piłsudski próbował zneutralizować Komunistyczną Partię Polski i wysłał określone sygnały także w stronę tej nielegalnej organizacji. O co mu chodziło – nie powinno być wątpliwości. Piłsudski nie miał planu zamachu stanu. Przeczutował, że Polska zmierza do poważnego kryzysu wewnętrznego w związku z niestabilnością ustrojową państwa. Chciał wrócić do władzy, ale nie jako premier z woli Sejmu. Przygotowując się do walki o władzę (których formy mogły być różne – również na ulicy), uspokajał KPP, powtarzając nawet i to, że jest przyjacielem ZSRR. Nie pokonał tym – nawiasem mówiąc – silnej nieufności, jaką w Moskwie zawsze do niego żywiono.

Czy istotnie, jak możemy się dowiedzieć z książek dr. Raka, Polska dla Hitlera była wymarzoną sojusznikiem?

Nie ulega żadnej wątpliwości, że po 26 stycznia 1934 r., kiedy doszło do znanego układu o nieagresji między Niemcami a Polską, dyktator niemiecki chciał osiągnąć jakieś zbliżenie o obliczu antysowieckim. Czy to miał być od razu sojusz wojskowy, mam wątpliwości. To, że Hitler oraz Göring, w końcu i Ribbentrop straszili Polaków Sowietami, jest faktem historycznym, lecz nie musi być brane zawsze ściśle. Skłócone państwa – czyli Polska i Niemcy – nie miały właściwie żadnej płaszczyzny do swobodnej rozmowy swoich przywódców, z wyjątkiem anty-

komunizmu. Antykomunizm i antysowiectyzm były użyteczne w taktyce politycznej niemieckiego dyktatora. Skoro pragnął on podbić i kolonizować europejską część ZSRR, nie bardzo do pomyślenia wydaje się, aby zapraszał Polskę jako partnera, z którym trzeba byłoby dzielić się łupami. Owszem, Göring mówił do Becka i Rydza-Śmigłego o „żyźnej Ukrainie”, na którą państwo polskie powinno szukać ujęcia swego dynamizmu. Czy jednak było to szczere? Pytanie jest chyba retoryczne.

Dr Rak silnie przeciwstawia geniusz Piłsudskiego marność Józefa Becka. Czy rzeczywiście minister spraw zagranicznych sprzeniewierzył się po śmierci Marszałka jego koncepcjom polityki zagranicznej?

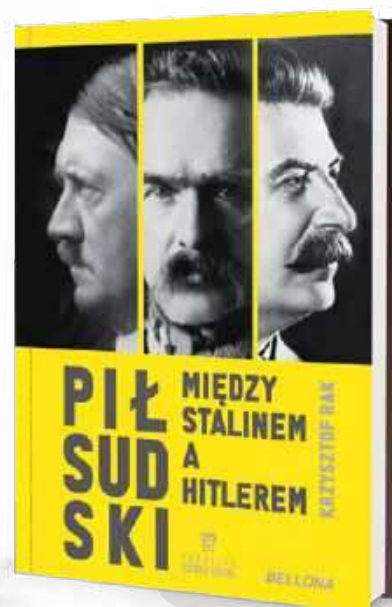
To jest stary spór. Dr Rak sądzi, że tak. Ja uważam, że nie. Ilekroć wypowiadałem się na ten temat, staram się uniknąć debaty na zasadzie „słowo przeciw słowu”. Żaden historyk nie może w jakikolwiek sposób udowodnić, co zrobiłby marszałek Piłsudski w roku 1938 i 1939. Czy poszedłby na Czechosłowację, aby odebrać Zaolzie? Czy przyjąłby żądania niemieckie w sprawie Gdańska i eksterytorialnej autostrady przez Pomorze, a odrzucił brytyjską ofertę gwarancyjną, czy też odrzucił wspomniane żądania, a przyjął gwarancje? Wreszcie, czy w wypadku ewentualnego odrzucenia żądań terytorialnych zgodziłby się na wpuszczenie Armii Czerwonej do Polski? W tej ostatniej sprawie najłatwiej sobie wyobrazić stanowisko negatywne.

Czy Polska w okresie kryzysu sudeckiego współpracowała z Niemcami Hitlera?

Żeby doszło do współpracy dwóch czy więcej państw, muszą one ustalić wspólne modus operandi i według niego postępować. Może ono być umową dżentelmeńską, może dojść do skutku na drodze wymiany not dyplomatycznych albo tajnego protokołu. Niczego takiego nie widzę w roku 1938. Widzę natomiast wzajemne sondowanie się, aby zaczerpnąć informacji o zamiarach. Oczywiście nie zamierzam negować tego, że odebranie Zaolzia stało się możliwe, ponieważ Niemcy zażądali Sudetów, a Czesi postanowili unikać wojny za wszelką cenę. Nie myślę też przeczyć, że Polska i Węgry, które zgłosiły do Pragi swoje żądania, ułatwiły dyplomacji niemieckiej rozgrywkę o Sudety, chociaż nawet i tu nie mam wątpliwości co do tego, że Niemcy i tak postawiłyby na swoim, stosując presję użycia siły i mając za partnerów brytyjskich oraz francuskich „appeaserów”.

Jak by pan zatem określił sposób pisarstwa historycznego dr. Raka?

Jest to pisarstwo rewizjonistycznie zwrócone przeciw dotychczasowej historiografii. Niestety w nader wielu sprawach bezpodstawnie. Przykładowo powiem, że opowieść, jak to Piłsudski zaproponował Stalinowi sojusz wojskowy w roku 1933 – nie wnosi niczego, bo nie ma pokrycia w rzeczywistości. Powiem to bardziej elegancko: stanowi prawdę alternatywną albo prawdę inaczej.





KOBIETA Z TEMPERAMENTEM

O WYBITNEJ POLSKIEJ MALARCE,
JEJ EDUKACJI, TWÓRCZOŚCI, ŻYCIU
PRYWATNYM Z KURATORKĄ WYSTAWY
„ARTYSTKA. ANNA BILIŃSKA (1854–
–1893)” **RENATĄ HIGERSBERGER**
ROZMAWIA MAŁGORZATA ŻARYN

Powszechnie panuje świadomość, że XIX w. bardzo ograniczał swobodę kobiet, a panie pokazują coś innego. Zwiedzających wystawę obrazów Anny Bilińskiej na samym początku uderza mapa z zaznaczonymi szlakami jej podróży. To jest ogromna przestrzeń!

Renata Higersberger: Ja też jestem tym zafascynowana. Ona przemieszczała się całkiem sama – często, szybko i na duże odległości. Np. dojeżdżała z Paryża do Słobody pod Barem w ciągu paru dni, w międzyczasie zwiedzając wystawę

w Berlinie bądź w Wiedniu. Wysiadała, oglądała i jechała dalej. Dzięki bardzo sprawnie działającym kolejom była w stanie podróżować szybko. Odwagi zapewne dodawał jej pistolet, który nosiła przy sobie, i to nie jako atropę. Wiemy, że broni nie omieszczała użyć pewnego razu w Paryżu. W 1889 r., kiedy właśnie otwierano Wystawę Światową, miasto opustoszało, wszyscy pognali pod wieżę Eiffla. Anna była zmęczona i zasnęła w pracowni. Wtedy przez okno wtargnął do mieszkania rzezimieszek. Ona jednym ruchem zdjęła ze ściany pistolet i przedstawiając mu do pleców, zaprowadziła do konsjerżki. Dzielna także w momencie zagrożenia. Mówiła zresztą mężowi, Antoniemu Bohdanowiczowi – co ten przekazał nam w poświęconej Annie książce – że przygotowuje się na kolejne zbrojne działania, a ponoć dobrze strzelała.

Odważna, reprezentacyjna, z wyrażonym poczuciem pewności siebie. Jakie to znowu dalekie od stereotypu niewiasty w epoce wiktoriańskiej. Czy XIX-wieczny obraz kobiety przede wszystkim jako żony, matki, osoby zależnej od opieki męskiej jest nieprawdziwy?

Trzeba powiedzieć, że to właśnie wtedy nastał czas zmian. Jeszcze kilka lat wcześniej, w połowie XIX w., poruszanie się samodzielne kobiet po bulwarach paryskich uznane było za niestosowne. Bilińska przemierza ten odcinek z Montparnasse'u, gdzie mieszka na Montmartre, gdzie się uczy – samodzielnie. Musi przebyć cały Paryż, a przypuszczam, że robi to na piechotę, bo przecież z pieniędzmi było wtedy u niej krucho. Nie ma ich nawet na posiłek. Ta samodzielność nie była źle odbierana. W pamiętnikach wszystkich dziewcząt, które tak jak Anna przeszły przez Académie Julian, a wrócili potem do swych rodzinnych stron, głównie w Ameryce, wybrzmiewają życiorysy bardzo dzielnych kobiet, które niczego się nie bały, które miały ambicje edukacyjne, bo przecież oprócz sztuk pięknych studiowały mnóstwo innych kierunków – fizykę, chemię i medycynę. W Ameryce już wtedy mogły, we Francji jeszcze nie, ale były bardzo tego spragnione. To niebywałe, jak szybko zmieniły się te realia, jak szybko kobiety mogły stanąć na własne nogi.

No właśnie, to jest życiorys Anny Bilińskiej!

Życiorys, którym można byłoby nasycić kilka osób, a przecież żyła ona tak

krótko... Urodziła się na kresach dawnej Rzeczypospolitej, jako dziecko mieszkająca pod Kijowem, potem w Wiatce – w środkowej Rosji, następnie w Warszawie, gdzie pobierała nauki w pracowni Wojciecha Gersona. Dla dalszego rozwoju talentu przystąpiła na propozycję przyjaciółki i pojechała do Paryża. Tam studiowała w Académie Julian. Tam też przeżyła wielkie tragedie osobiste i równie wielkie sukcesy zawodowe. Podróżowała, zwiedzała, pomagała emigracji. Była laureatką wielu prestiżowych nagród – gwiazdą – jak ją nazywali w środowisku sztuki. Wyszła za mąż za Polaka Antoniego Bohdanowicza i u szczytu sławy zdecydowała się na powrót do

TO BYŁA OSOBA PRZYGOTOWANA DO ROZSĄDNEGO KIEROWANIA SWOJĄ KARIERĄ, OSOBA NIEZALEŻNA DUCHEM, PRZY CAŁYM TALENCIE ŚWIETNA MENEDŻERKA I KSIĘGOWA

Warszawy, by założyć tam szkołę malarstwa dla kobiet... Wyobrażam ją sobie jako wulkan energii będący w ciągłym ruchu. Takie perpetuum mobile... To też wybrzmiewa z notatek z dziennika Bilińskiej, które umieszcza w swej książce Bohdanowicz. Ona pracuje od rana do wieczora, a listy i całą korespondencję prowadzi w środku nocy. Kończy pisać do matki, przyjaciółki bądź narzeczonego, gdy zaczyna świtać.

Nie sypia w ogóle?

Mam wrażenie, że nie. Głównie tworzy, ale utrzymuje kontakty towarzyskie, odwiedza i Sewerynę Duchinińską, i Władysława Mickiewicza, i Józefa Chełmoń-

skiego. Na tych spotkaniach tańczy. To jest oczywiście margines jej zadań, bo stara się z Paryża wycisnąć jak najwięcej dla swojej edukacji, świadoma tego, że oprócz nauki musi brać udział w kursach, być obecna na najlepszych wystawach. Potem wypracowuje własną strategię: wie, że jeden obraz może umknąć uwadze widzów. Wystawia więc trzy bądź cztery, i to z różnych gatunków. Są tam pastele i oleje, są portrety i pejzaże... To była osoba przygotowana do rozsądnego kierowania swoją karierą, niezależna duchem, przy całym talencie świetna menedżerka i księgowa. Trochę krytykuje sufrażystki, ale z drugiej strony aktywnie działa w zorganizowanej przez Héléne Bertaux Unii kobiet malarzek i rzeźbiarek. Chodzi na ich spotkania, na pikniki. Jest oburzona tym, że w jury konkursów artystycznych nie ma kobiet, bo skoro już mogą uczestniczyć w wystawach, to powinny również mieć wpływ na nagrody. Jest bardzo świadomą osobą z pełnym poczuciem równości w prawach do wszystkich tych działań, które człowiekowi się należą.

Skąd brała taką siłę?

Hart ducha wyniosła z dzieciństwa i z młodości. Ona była dobrze prowadzona przez rodziców. Otrzymała dużą dawkę miłości, z której mogła czerpać przez całe życie. Cierpi, kiedy traci bliskich, ale nigdy nie jest pogubiona. Dokładnie wie, czego potrzebuje. Nie ma wątpliwości, że ma talent, ma do tego umiłowanie i temu poświęci swoje życie. Myślę, że ze wspaniałym efektem. Gdyby jej narzeczony i wielka miłość Wojciech Grabowski, który zmarł na gruźlicę, mógł zostać jej mężem, to w szczęściu rodzinnym zapewne znalazłaby dużo satysfakcji. Ona jest przy tym wszystkim również kobietą, która kocha, która chce założyć rodzinę.

We wspaniałych pastelowych obrazach matki z dzieckiem, które możemy oglądać na wystawie, odczuwa się siłę tej miłości. Jakby niespełniona potrzeba macierzyństwa zrealizowała się w taki sposób. Niesamowite wrażenie robi także obraz zatytułowany „Nad morzem”. Wiemy, że jego reprodukcję Bilińska miała zawsze przy sobie...

Wszystko na to wskazuje, że modelem była jej przyjaciółka Maria Gażycz z domu Chrzanowska, która ze swoim synkiem pozowała artystce. Wkrótce potem >>



Anna Bilińska
(1854–1893).
Autoportret
niedokończony



Anna Bilińska (1854–1893).
Nad morzem

>> jej dziecko umiera, umiera także jej mąż, a ona sama wstępuje do zakonu sióstr nazaretanek. Tam nadal tworzy. Z tego obrazu biją niesamowite emocje, mimo że postacie są odwrócone tyłem do widza. Niebywała siła była w Annie Bilińskiej i bogactwo. Patrząc na jej płótna, mamy dreszcze i doznajemy wzruszenia. Wspomniana kobieta w obrazie „Nad morzem” i „Dziewczyna z koszem na progu domu” czy pastelowe „Macierzyństwo”, „Murzynka” i „Dama z lornetką” to nie tylko doskonałe malarstwo, tam widać iskrę bożą, wielowarstwową osobowość autorki. Sama mówiła o sobie, że ma serce polskie, ale duszę kozacką.

A czy coś wiemy na temat życia duchowego Anny Bilińskiej?

No właśnie niewiele... Wyczuwa się, że Anna ma indywidualną interpretację życia duchowego, nie do końca tożsamą z ówczesnym modelem religijności. 31 grudnia 1882 r. pisze: „Wiary nie straciłam i chociaż wierzę inaczej może niż wielu, mam jednak nadzieję, że Opatrzność czuwać nade mną będzie i nadal, że dobroczynna i wszechmocna Istota kierować i opiekować się i nadal będzie mną i moimi ukochanymi”. [Bohdanowicz 1928, s. 42]

Jest taki moment w jej życiu, gdy oburza się na niesprawiedliwe wyroki boskie. W okresie żałoby po stracie ojca,

przyjaciółki oraz narzeczonego Bilińska jest w Pourville w Normandii i stara się pozbiierać. Przebywa tam kilka miesięcy w towarzystwie Marii Gażycz, prowadzi notatki. Notuje, że chce skończyć ze swoim życiem. Pyta, gdzie jest Bóg, skoro zgodził się na to, żeby ona w ciągu półtora roku poniosła takie straty, tym samym gubiąc sens życia. Nosi przy sobie nóż. Jedyne, co ją krzepi, to widok ciężko pracujących rybaków. To jednak nie jest obraz jej życia duchowego, tylko emocji w czasach ekstremalnych. Jej twórczość jest pełna ducha, akceptacji i zachwyty nad stworzonym światem. Nie wiemy tylko, jak tę moc stwórczą nazywa. Nie wyobrażam sobie, żeby osoba wychowana w tradycyjnej rodzinie, w tradycyjnych wartościach porzuciła to wszystko. Jednak musimy powtórzyć, że to są spekulacje, bo Anna nie porusza w dzienniku tych tematów. Przyjmuję, że to jest w naturalny sposób odczuwana religijność, o której się nie mówi, bo się ją po prostu ma w sobie.

Poznanie osoby twórcy przez obrazy i zapiski to fascynująca praca detektywa. Widać, że znalazły panie klucz do osobowości artystki i świetnie udało się zaprezentować jej przemianę. Dwa wspaniałe autoportrety korespondują z sobą na dwóch krańcach ekspozycji... Pierwszy autoportret to jakby znak, że po trudnym okresie artystka jest gotowa do pracy. Silna kobieta w pozycji siedzącej, z paletą w ręku, odważnie patrzy na nas spojrzeniem osoby, która wie, czego

chce i do czego dąży. Śladem przebytej żałoby są czarna suknia i przypięty do paska chaber – kwiat ku pamięci zmarłego narzeczonego Wojciecha Grabowskiego. Krytyka zwróciła uwagę na jej włosy – jak na owe czasy – rozczochrane. Było nie do pomyślenia, żeby kobieta pokazała się światu potargana i na dodatek pokazała się trwale, bo na wizerunku. Odczytujemy to jako manifestację temperamentu – Anna Bilińska jest nie do ułożenia, ona ułoży się po swojemu. Zamyka wystawę drugi autoportret – kobiety w jasnej sukni, w pozycji stojącej, kobiety spełnionej, świadomej swojej wartości. Głowa jest starannie uczesana – nie ma już potrzeby manifestowania swej odrębności. Ona niczego nie musi udowadniać. Mam znajomego malarza Francuza, który odkrył Bilińską z zachwytem. Do niedawna – jak mówił – wydawało mu się, że tajemniczy uśmiech Giocondy jest nie do podrobienia. Gdy poznał ten wizerunek z zagadkowym wyrazem twarzy, stwierdził, że autorce udało się uzyskać ten sam efekt – spokój, uśmiech, powaga.

Ten portret niestety jest niedokończony...

Tak. Dlatego m.in. on stał się symbolicznym wizerunkowym portretem tej wystawy. Jest taki jak jej życie... Przedstawia Bilińską jako osobę wyjątkowo utalentowaną, o twarzy pięknej, dobrej i mądrej, której życie przerwała nagła choroba. Obraz został zamówiony do prestiżowej kolekcji hrabiego Ignacego Korwin-Milewskiego. Malarka jednak nie zdołała go dokończyć. Zmarła w wieku 39 lat, kilka miesięcy po powrocie do Polski z wielkimi planami i po zawarciu małżeństwa z Antonim Bohdanowiczem, który potem kultywował pamięć Anny.

Wypada więc zapytać o jej relacje z mężem.

Myślę, że to była piękna, głęboka więź z wartościowym człowiekiem, a nie młodzińska fascynacja mężczyzną. Młodszy cztery lata Bohdanowicz nie miał typu urody męskiej, którą fascynowała się Bilińska i ukazała w kilku portretach. Ona była zachwycona jego postawą, charakterem, pięknym wnętrzem, poetyckim językiem. Trudno coś więcej o tym małżeństwie powiedzieć, bo trwało zaledwie 10 miesięcy. Bohdanowicz zapisał w swojej książce, że kilkanaście dni szczęścia okupił miał cierpieniem do końca życia. To była dla niego ciężka droga. Bilińska nie była łagodną ani zrezygnowaną ko-



Anna Bilińska
(1854–1893).
Portret własny

biętą, o którą można było się troszczyć. Przy swoim temperamentem była przede wszystkim zła na swoją chorobę. Miała przecież jeszcze tyle planów.

Mąż podtrzymywał pamięć o Annie do końca swoich dni. Kiedy go zabrakło, pamięć ta mocno zbladła. Nie mogę się z tym pogodzić, że jest ona dziś osobą właściwie nieznaną, a przecież to malarstwo z najwyższej półki.

W ogóle o kobietach malarkach mało się mówi. Olga Boznańska zaczyna być znana na świecie – jej trzy obrazy można obejrzeć w stałej ekspozycji w Musée d'Orsay. I jest to efekt jej ostatniej wystawy monograficznej. To niestety nasza wina, że nie rozpowszechniamy wiedzy o naszych artystkach. Kilka prac Bilińskiej jest prezentowanych w Muzeum Narodowym w Warszawie, Krakowie, Szczecinie, we

Wrocławiu czy w Muzeum w Białymstoku, Bytomiu, we Włocławku. Nie ma ich wiele, duża część została za granicą. Prace te są najlepszymi ambasadorami talentu Anny Bilińskiej, która jako artystka i jako człowiek bardzo sobie zasłużyła na sławę. Mam nadzieję, że przyczynią się do tego obecna wystawa i katalog prac wszystkich artystki wydany w językach polskim i angielskim.

Też mam taką nadzieję. Wystawa jest przepiękna! Trzeba koniecznie zobaczyć! Bardzo za nią dziękuję. Mam także nadzieję, że ktoś się skusi na reedycję książki Antoniego Bogdanowicza o Annie Bilińskiej – wydanej w 1928 r. na podstawie dziennika artystki, który już nie istnieje. Teraz dostępna jest w wersji cyfrowej na stronach BN – polona.pl. Serdecznie dziękuję za rozmowę.

BYĆ W WARSZAWIE
I NIE WYSŁUCHAĆ
IMPROWIZACJI
DEOTYMY TO
TAK, JAK BYĆ
W RZYMIE I NIE
WIDZIEĆ PAPIEŻA.
FENOMEN TEN
TRUDNO ZROZUMIEĆ
BEZ KONTEKSTU,
JAKIM BYŁ SALON
JEJ RODZICÓW,
A WŁAŚCIWIE
MATKI, BO TO NINA
ŁUSZCZEWSKA
NADAWAŁA
GŁÓWNY TON



JOANNA
PUCHALSKA

W SALONIE U DEOTYMY

Dwie córki państwa Łuszczewskich, Kazimiera i Jadwiga, nie miały guwernantek, uczyli je rodzice, kładąc nacisk na kreatywność, a nie na pamięciowe opanowanie informacji. Przy odrabianiu lekcji nie wolno było korzystać z niczyjej pomocy, co świetnie wyrabiało samodzielność. Nauczyciele, i to dobrzy, pojawili się dopiero, gdy dziewczynki podrosły.

W tym samym, co młodsza córka, 1834 r. narodził się salon pani Niny. Spotkania odbywały się w poniedziałki, ze znanych postaci można było tam spotkać Annę Nakwaską, Narcyzę Żmichowską, Teofila Lenartowicza, Kazimierza Władysława Wóycickiego, Aleksandra Kraushara, Augusta Cieszkowskiego, Januarego Suchodolskiego. Obowiązywał strój wieczorowy, do herbaty podawano ciasta od Lessla, a przed

północą jeszcze tартynki, lemoniadę i węgierskie wino. Żadnych kolacji ani obiadów. Jak mawiała Nina Łuszczewska, do jej salonu goście przychodzą po „duchowy obrok”.

Córkom pozwalano zerkać ukradkiem, a czasem proszono je, by coś zadeklamowały. W rezultacie lalkami panienki bawiły się nie w dom, lecz w salon. „Zapraszały” literatów, artystów, filozofów i muzyków różnych narodowości oraz epok, a lalki prowadziły światowe dysputy. W latach 1846–1849 siostry „wydawały” dziecięcy miesięcznik „Pszczółka”. Redakcją zajmowała się Kazimiera, teksty pisali goście matki i Jadwiga.

Brawurowy debiut

Pod koniec 1849 r. piętnastoletnia Jadwiga została dopuszczona do spotkań dorosłych. Na początku siedziała

nieśmiało z boku i przy-
słuchiwała się. Jej talent improwizacyjny ujawnił się trzy lata później. Jak pisze ona sama, stało się to, gdy podczas rozmowy z ojcem ułożyła wiersz na podany przez niego temat. „Ledwie skończyłam, wchodzi moja matka, pyta się, o czym tak żywo rozprawiamy. Gdy została objaśniona, zamyśliła się mocno... Ja tedy mówię – Gdyby mama chciała, to mogłabym i przed nią spróbować. – Ani myślę – odpowiedziała. – Już jeśli masz się wysilać, to przynajmniej dla większej liczby słuchaczy. [...] I wyszła z pokoju, ani myśląc mnie słuchać”. Dla pani Niny szukającej pomysłów na uatrakcyjnienie wieczorów był to dar z niebios.

Wkrótce odbył się pierwszy występ przed publicznością. Osiemnastolatka miała się wypowiedzieć, czym jest im-

pro wizacja. „Improwizatorka zebrała myśli, stanęła przed nami i mówić zaczęła” – napisano potem w „Gazecie Warszawskiej”. Uznano ją za fenomen – młoda panna bez wcześniejszego przygotowania wypowiadała głębokie myśli, nadając wypowiedzi kunsztowną formę. Robiła to bez afektacji, stojąc prosto, mówiąc spokojnie. Słuchacze byli zachwyceni, przyszły kolejne występy. Krasiński powiedział, że to „nie dziewczę mówi, lecz przez dziewczę mówi”. Później nie lubiła, gdy widziano w niej medium głoszące przekaz z innego świata. Improwizacje wiązały się dla niej z ogromnym wysiłkiem i przełamywaniem własnej nieśmiałości, a erudycja nie brała się nie wiadomo skąd, lecz z codziennej lektury i ciągłego ćwiczenia pióra.

Wielka improwizatorka

Improwizacje poetyckie, zjawisko popularne w kulturze od przełomu XVIII i XIX w., były to przeważnie płatne publiczne popisy polegające na układaniu wierszy na tematy zadawane przez słuchaczy. To Mickiewicz nadał improwizacjom profetyczny i narodowy charakter, co w przypadku polskim ze zrozumiałych względów trafiło na podatny grunt. To też Jadwiga od razu była odbierana „mystycznie”. Podobno młody Kornel Ujejski, zafascynowany „narodową wieszczką”, przekradł się z Galicji bez paszportu i pieszo dotarł do Warszawy. Po odsłuchaniu improwizacji „Bohaterstwo” wrócił do Lwowa w ten sam sposób.

Układane przed publicznością wiersze zapisywano techniką wymyśloną przez ojca. Jeden „spisywacz” notował początki wersów, drugi – ich końcową część. Jadwiga, nim oddała utwory do druku, pracowała jeszcze potem nad tekstem.

Tematyka była różnorodna. Na życzenie Józefa Korzeniowskiego powstała „Wiosna”, Augustowa Potocka zamówiła „Kamienie”, Helena Sanguszkówna – „Serce”, a Paweł Popiel – „Św. Augustyna”. Bywało, że ponad sto osób w salonie państwa Łuszczewskich słuchało Bogobojnej, bo to oznaczał obmyślony przez matkę pseudonim Deotyma. Występy budziły podziw, zachwyt i zaciekawienie, ale też zdarzały się sztycherce komentarze i złośliwe dowcipy. W prasie pojawiały się zarówno pochwały, jak i paszkwile. Stanisław Koźmian przyrównywał Jadwigę do Joanny d’Arc, której boskim zadaniem będzie oczyszczenie

polskiej literatury. Z drugiej strony Krasiński w 1853 r. miał się o niej wyrazić: „Goethe w szesnastu latach to coś strasznego”. Wyśmiewano ją, że jest jak „stare dziecko”, oskarżano matkę, że ją wykorzystuje, że krzywdzi, pozabawiając normalnego życia. Cały ten zgłęb doprowadził do tego, że salon państwa Łuszczewskich stał się wielką atrakcją towarzyską Warszawy. Deotyma, podobnie jak jej rodzice, nie odpowiadała na krytykę literacką ani osobiste przytyki. Natomiast Wacława Szymanowskiego, redaktora „Dziennika Warszawskiego”, drukującego anonimowo złośliwe parodie jej improwizacji, lokaj miał polecenie zrzucić ze schodów, jeśli się pojawi.

Salonowe teatrum

Pani Nina obmyśliła odpowiednią oprawę dla występów córki. „Ubrano ją, słyszę, jak kapłankę sybillańską, czy też jak druidę” – pisał Stanisław Koźmian. Tak ją namalował Józef Simmler – improwizującą na tle starożytnej świątyni w asyście kapłanek. Antyczny strój szybko doczekał się złośliwego dwuwiersza: „Deotyma się nadyma, zamiast kiecki ma strój grecki”.

Improwizacje trwały niecałe 11 lat, do wybuchu powstania styczniowego. Wacław Łuszczewski został skazany na zesłanie i córka pojechała razem z nim. Wrócili w 1865 r. Dwa lata później ojciec zmarł, a dwa lata po nim umarła matka. Po odbyciu żałoby Deotyma otworzyła własny salon poetycki przy Królewskiej. Na jej czwartkowych spotkaniach znów bywały tłumy, ale już głównie czytała swoje utwory. Podobno ostatni raz improwizowała podczas obchodów swojego jubileuszu w 1897 r.

Nie tylko wiersze

Miała poczucie narodowej misji – w cyklu poematów i dramatów „Polska w pieśni” chciała ująć dzieje polskie od czasów mitycznych po współczesność. Sukcesy były. W formie żywych obrazów został wystawiony w Teatrze Wielkim poemat dramatyczny „Wanda”. Po ostatnim przedstawieniu do loży autorki weszli czterej panowie, wręczyli wieniec wawrzynowy i cztery wielkie bukiety, a gdy autorka opuszczała teatr, młodzież uniwersytecka utworzyła szpaler od drzwi loży aż do powozu.

Pisała również powieści. Wszyscy chyba znają, choćby z filmowej ada-

ptacji, „Panienkę z okienka”. Jest też powieść historyczna „Branki w jasyrze” ze sprawną akcją o niespodziewanych zwrotach, rozgrywającą się częściowo w egzotycznej scenerii tatarskich aułów. Jak pisze Juliusz W. Gomulicki, obie powieści „zawierają tak sensacyjny przygody ich bohaterów, iż prawie nie ulega wątpliwości, że miały one charakter kompensacyjny, wynagradzający autorce jej ciche i spokojne (nawet na wygnaniu!) życie wychuchanej jedynaczki”. Ona sama mówiła, że „Branki” są przede wszystkim pochwałą wiernej kobiecej przyjaźni.

W powieści fantastyczno-naukowej „Zwierciadlana zagadka” z 1879 r. pisarka zgrabnie wypowiedziała się w nowej konwencji literackiej, powstałej dzięki fascynacji osiągnięciami nauki, o czym przecież też dyskutowało się w towarzystwie.

W poezji i prozie Deotymy nie ma wątków erotycznych ani politycznych, tych tematów w jej salonie nie poruszano. Zarzucano jej zresztą, że jej powieści stanowią popis nużącej erudycji, niepopartej życiowym doświadczeniem kobiety, żony, matki, kochanki.

Awantury o Deotymę ciąg dalszy

Na pewno z początku wiązano z nią i jej talentem ogromne nadzieje, widziano w niej genialną poetkę, następczynię Mickiewicza, co musiało być dla niej ogromnym stresem, no bo jak sprostać Wieszczeni? Zawiedli się wówczas przede wszystkim ci, którzy – oczekując mistycznego przeżycia – uznali, że otrzymali modną towarzyską rozrywkę.

Starzejącą się Deotymę życzliwi postrzegali jako wielką damę, imponującą erudycją i pracowitością. Nieżyczliwi natomiast kreowali groteskowy wizerunek oderwanej od rzeczywistości i zadufanej w sobie „wieszczki”. Literackim spotkaniom zarzucano pretensjonalność, przekręcano artystyczny pseudonim Jadwigi na „Teodyma”. Tak jak przedtem, przez jednych była adorowana, przez innych złośliwie krytykowana. Przetrzymała to jako kobieta i jako pisarka.

Ostatni czwartek odbył się we wrześniu 1908 r. Zapowiedziała wtedy, że wkrótce umrze i 13 dni później tak się stało. Zgodnie z życzeniem została pochowana na Powązkach w jednym grobie z ojcem. Matka spoczywa osobno ze swoją rodziną.

ZABIJA CZY LECZY?

KRZYSZTOF
ŻARYN

**CHYBA W ŻADNEJ INNEJ DZIEDZINIE ŻYCIA NIE
MAMY TAK DUŻEGO BRAKU ZAUFANIA DO OSIĄGNIĘĆ
MEDYCYNY. STĄD KARIERA HOMEOPATII**

Mimo że dowody na jej postęp i pozytywny wpływ na żywotność człowieka są niepodważalne, to ciągle bardzo duża grupa ludzi ma zastrzeżenia do działań lekarzy. Nie trzeba daleko szukać. Wystarczy spojrzeć na to, co dzieje się obecnie. Wciąż zmagamy się z postępującą pandemią i jej tragicznymi skutkami, również ekonomicznymi. Mimo to wiele osób nie ma zaufania do metody prewencji i zatrzymania zarazy, jaką są szczepionki, więc odmawia ich przyjęcia. Nie przekonują ich dowody naukowe ani argumenty świata medycyny. Tłumaczając swoją postawę tym, że leki zostały wprowadzone po to, by firmy farmaceutyczne mogły zarobić na tragedii ludzkości. W podobnym tonie wypowiadają się zwolennicy teorii, jakoby wymyślony był już lek na raka, ale pozostaje w ukryciu, ponieważ koncerny medyczne straciłyby majątek, gdyby nowotwory znikły z listy ciężkich schorzeń. Nie chcę się odnosić do samego zagadnienia poruszanego w tych stwierdzeniach, bo jak zawsze nic nie jest tylko czarne albo białe. Jednak brak zaufania do funkcjonowania świata medycyny jest bardzo powszechnym zjawiskiem. I nie jest to wymysł naszych czasów. Proces ten zaczął się znacznie wcześniej i spowodował powstanie alternatywnych metod leczenia. Jedną z nich jest homeopatia.

Czym się strułeś, tym się lecz

Homeopatia to metoda leczenia, która często błędnie kojarzona jest z ziołami i ich wpływem na zdrowie. Może się to wydać zaskakujące, ale podstawową zasadę terapii homeopatycznej zna każdy z nas i powtarzał ją pewnie w formie żartu niejednokrotnie w sposób auto-

matyczny. Zwłaszcza w sytuacji, gdy ktoś zdecydowanie przesadził ze spożyciem alkoholu. Fraza ta brzmi: „Czym się strułeś, tym się lecz” i pada po każdej zakrapianej imprezie w kierunku najczęściej dotkniętych syndromem dnia następnego. Inaczej o podstawie terapii alternatywnej mówi się „Podobne lecz podobnym”, a autorem tych słów był sam Hipokrates. Jednak zbyt pochopne byłoby nazywanie go ojcem homeopatii. Określił on tylko pewien model rozumowania, który podchwycił inny uczone, w dużo późniejszym okresie naszej historii. Był to Samuel Christian Friedrich Hahnemann – urodzony w 1755 r. niemiecki lekarz. I to jego uznaje się za mającego prawo do miana ojca homeopatii.

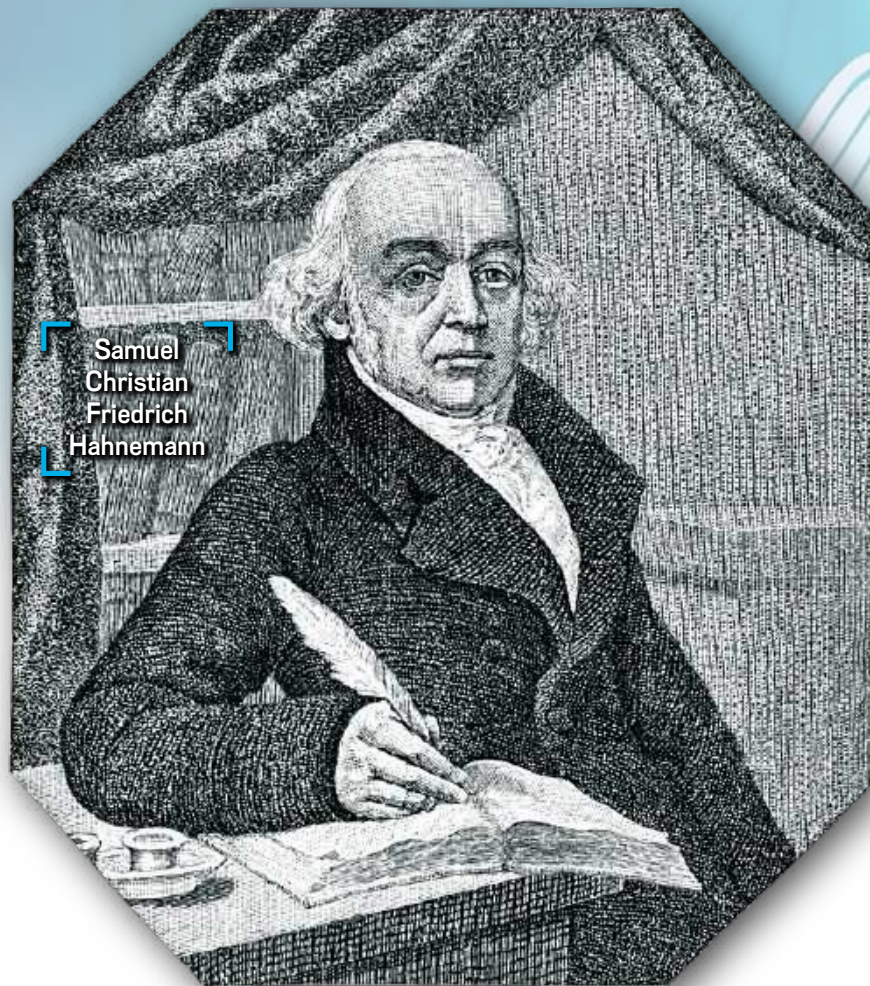
Hahnemann był lekarzem, który niedługo po zakończonych studiach medycznych rozczarował się nieporadnością swej świeżo zdobytej wiedzy oraz brakiem prawidłowych efektów leczenia. Ówczesna medycyna opierała się głównie na metodach dziś już niestosowanych: upustach krwi, lewatywach oraz dawkowaniu dużej ilości ziół i innych roślinnych specyfików. Tak traktowany pacjent często umierał po prostu z wycieńczenia lub zatrucia różnymi toksynami. Frustracja spowodowała, że Samuel szybko porzucił praktykę lekarską w poszukiwaniu bardziej efektywnej formy pomocy. Postanowił podjąć studia chemiczne, a na życie zarabiał, tłumacząc różne materiały naukowe. I w trakcie takiego zlecenia natrafił na przełomową dla jego losów informację. Tłumaczając pracę szkockiego naukowca Williama Cullena, przeczytał wiadomość, z którą nie mógł się zgodzić. Zdaniem Szkota chinina, czyli lek przeciw malarii, ma gorzki smak i działanie wiążące z białkiem skóry człowieka. Niemiec postanowił sprawdzić sam nowość, o której przeczytał, i spróbował

opisanego specyfiku. Ku jego zaskoczeniu po spożyciu leku u uczzonego wystąpiły łagodne objawy tej właśnie choroby. I działo się tak za każdym razem, gdy zażywał małą dawkę tego lekarstwa. Zachęcony tym zaskakującym odkryciem rozpoczął całą serię eksperymentów, w czasie których przebadał ponad 4 tys. różnych substancji. Wysnuł wniosek podobny do tego Hipokratesa: podobne objawy należy leczyć tym, co powoduje podobny skutek.

Co ciekawe, założenia tej terapii są nieco zbliżone do stosowanych w terapii szczepionkowej. Hahnemann wysnuł teorię, że podawanie substancji wywołującej podobne objawy jak w przeżywanej chorobie wzmacnia odpowiedź ochronną organizmu. Największy rozgłos dała mu terapia stosowana wobec pacjentów dotkniętych tyfusem i cholerą. Epidemia tych chorób nie dawała spać spokojnie medykom całego świata na przełomie XVIII i XIX w. Hahnemann, opierając się na swym doświadczeniu, potrafił skomponować preparat, który okazywał się skuteczny. Przynajmniej na tyle, by terapie homeopatyczne cieszyły się coraz większą popularnością. Swoje doświadczenia niemiecki naukowiec opisał w dziele „Organon der Heilkunst” wydanym pierwszy raz w 1810 r., a potem kilkakrotnie ulepszanym i uaktualnianym. Do dziś jest to swego rodzaju święta księga dla zwolenników homeopatii. Pogląd i ta pozamedyczna teoria leczenia kontynuowane były przez ucznia Hahnemanna – Constantina Heringa.

Stale aktualna dyskusja

Rozwój homeopatii zbiegł się w czasie z rozbiorem Rzeczypospolitej. Na naszych ziemiach ta metoda leczenia miała swoich zwolenników i kultywa-



Samuel
Christian
Friedrich
Hahnemann

HAHNEMANN BYŁ LEKARZEM, KTÓRY NIEDŁUGO PO ZAKOŃCZENIU STUDIÓW MEDYCZNYCH ROZCZAROWAŁ SIĘ NIEPORADNOŚCIĄ SWOJEJ STUDYJNEJ WIEDZY ORAZ BRAKIEM PRAWIDŁOWYCH EFEKTÓW LECZENIA

torów. Zwłaszcza w zaborze austriackim. Było to spowodowane dekretem cesarza Franciszka Józefa I, który uznał, że metody leczenia konwencjonalnego oraz homeopatycznego są sobie równe. W innych państwach zaborczych ta metoda leczenia nie mogła się tak znacząco rozwijać. Jednak mimo że dekret funkcjonował i popierał działania alternatywnej medycyny, to nie znaczy, że była ona w pełni akceptowalna. Widać to dokładnie na przykładzie jednego z wydań pisma „Homeopata Polski”, którego redaktorem naczelnym był dr Antoni Kaczkowski ze Lwowa. Pismo to zostało założone na jednym ze zjazdów zrzeszających wykonawców tej dziedziny leczenia. Pierwsze jego wydanie ukazało się w 1861 r. I tam możemy przeczytać, że jednym z głównych problemów kontynuatorów myśli Hahnemanna jest brak poszanowania ze strony zwolenników medycyny tradycyjnej. Cały rozdział tego kwartalnika poświęcony jest polemice autora z anonimowym wpisem w „Warszawskim Tygodniku Lekarskim”. Zaczyna się on od takich zdań: „Pan O. twierdzi: że homeopatya nie może się nazywać ani nauką, ani umiejętnością,

że to po prostu handel, przemysł i że w naszych czasach nie można zastosować systemu Hehnemanna, nie będąc pożałowania godnym obskurantem, nie-szczęśliwym marzycielem albo pogardy godnym szarlatanem”.

Na odpowiedź autora nie trzeba było długo czekać: „Różnica zachodzi tylko ta, że allopatha (wyznawca tradycyjnej metody leczenia) daje różnoskładowe lekarstwa, i to w wielkich dawkach, allopatha kuruje swoich pacjentów podług wyklepanej teorii i osobistego mniemania, homeopata leczy podług praw uzasadnionych w przyrodzie a stwierdzonych badaniem i próbami na zdrowych i chorych”. Argumenty każdej ze stron są do dziś powtarzane jak mantra w celu zdyskredytowania przeciwnika. Dalsze losy homeopatii w Polsce i na świecie zrodziły wiele stowarzyszeń, pism i ksiąg pojawiających się na rynku okołomedycznym. W okresie międzywojennym Polskie Towarzystwo Homeopatii przyłączyło się do Międzynarodowej Ligi Homeopatów, co zapoczątkowało powstawanie aptek oferujących leki zgodne z tą metodą leczenia. W dzisiejszych czasach takie leki znajdują się już niemal w każdym punkcie

aptecznym. Szacuje się, że spory odsetek lekarzy zaleca w mniejszej lub większej formie leczenie homeopatyczne.

Mimo to nadal występuje spory konflikt między zwolennikami medycyny tradycyjnej i jej alternatywnymi formami. Różnice poglądów są głównie wynikiem różnic w opracowanych dowodach na poparcie swych teorii. Metoda tradycyjna wymaga twardych naukowych dowodów popartych badaniami. Chce poznać i leczyć przyczynę choroby. Metody alternatywne bardzo często opierają się na hasle powtarzanym jak mantra: „Na mnie to działa” oraz na tym, że nie można badań przenieść na całość społeczeństwa. Zajmują się przede wszystkim zwalczaniem objawów. Dodatkowo zwolennicy tych teorii ratują się stwierdzeniem, że nawet jeżeli ta metoda leczenia nie pomaga, to na pewno nie szkodzi. No ale z tym nie do końca można się zgodzić. Jest wiele przykładów działania zaniechanego. Pacjent nie leczył się metodą potwierdzoną naukowo, tylko w sposób zlecony przez homeopatę, i zmarł, bo nie otrzymał należytej opieki medycznej. Na pewno homeopatią możemy w jakiś sposób wspierać swój organizm, ale nie możemy traktować jej jako alternatywnej dla wiedzy popartej naukowymi badaniami metody leczenia.

TRANSPORTER Sd. Kfz. 251

IKONA MECHANIZACJI WEHRMACHTU

KACPER
GROCHOCKI

Rozbudowa i modernizacja niemieckich wojsk pancernych przybrała na sile w drugiej połowie lat 30. XX w. Jednak w ramach rozwoju nowych oddziałów ważne były nie tylko czołgi, lecz również inne pojazdy. Koniecznością stało się zapewnienie własnej piechocie możliwości nadążania za postępującymi kolumnami pancernymi, aby udzielać im niezbędnego wsparcia. W podstawowej formie umożliwiały to trakcja konna czy zwykłe ciężarówki, ale problem pojawiał się w momencie natknięcia się na trudny teren czy ostrzał przeciwnika.

Nowy projekt oparty na samochodzie opancerzonym z trakcją kołową nie był rozpatrywany ze względu na brak uniwersalności takich pojazdów w jeździe terenowej. Z kolei wóz gąsienicowy byłby zbyt złożony i drogi w produkcji, a jednocześnie wymagałby angażowania w fabrykach mocy przerobowych potrzebnych do produkcji czołgów. Wobec tego narodziła się koncepcja wykorzystania półgąsienicowych ciągników artyleryjskich Sd. Kfz. 11 (skrót z niem. Sonderkraftfahrzeug – pojazd specjalnego przeznaczenia, pojazd specjalny) jako bazy dla nowych, opancerzonych transporterów piechoty.

Prototypy nowego rodzaju wozów bojowych powstały w 1937 r. W kolejnym roku ukończono serię zerową, przeznaczoną do testów na poligonie, a wiosną–latem 1939 r. pierwsze seryjne transportery trafiły do jednostek liniowych. Początkowo podwozia powstawały w fabrykach firmy Hanomag w Hanowerze, a pancerne kadłuby w berlińskim Büssing-NAG. Z czasem liczba zakładów zaangażowanych w produkcję Sd. Kfz. 251 została zwiększona.

Wozy Sd. Kfz. 251 produkowano przez całą wojnę. Powstały cztery wersje roz-

wojowe transportera – Ausf. A, B, C i D – oraz ponad 20 typów specjalistycznych – od najbardziej podstawowego 251/1, służącego do przewozu żołnierzy, przez ambulanse polowe (251/8), wozy uzbrojone w miotacze płomieni (251/16), działa przeciwpancerne PaK 40 kalibru 75 mm (251/22), po pojazdy z reflektorem podczerwieni (251/20) wspierające w nocnych działaniach czołgi Pantera wyposażone w systemy noktowizyjne. Do tego dochodziły prowizoryczne modyfikacje przeprowadzane w jednostkach frontowych, by dostosować transportery pod doraźne potrzeby.

Najliczniej produkowaną wersją Sd. Kfz. 251 był model D. Od 1943 r. do końca wojny powstało ponad 10 tys. pojazdów tej wersji w różnych typach (łączna produkcja wszystkich Sd. Kfz. 251 wyniosła ok. 16 tys. sztuk). Wariant ten był uproszczony względem poprzedników, aby ułatwić i przyspieszyć proces produkcji. Zastosowano całkowicie spawany kadłub (o grubości pancerza 8–14,5 mm), zmodyfikowano silnikowe wloty powietrza, przeprojektowano tył kadłuba, by móc zastosować proste, płaskie drzwi oraz użyto zintegrowanych z kadłubem zasobników na wyposażenie w miejsce oddzielnych, montowanych na błotnikach. Wymiary tej wersji (typ 251/1) wynosiły 5,98 m długości, 2,10 m szerokości i 1,75 m wysokości. Masa bojowa osiągała 8 ton. Jednostką napędową był silnik Maybach o mocy 100 KM. Wóz osiągał prędkość maksymalną 53 km/h przy zasięgu ok. 300 km na drodze i połowę tej wartości w tere-

nie. Uzbrojenie stanowiły 2 km-y MG-42, a załoga składała się z dowódcy transportera oraz kierowcy. Z kolei w przedziale bojowym były miejsca siedzące dla 10 żołnierzy.

Sd. Kfz. 251 były pierwszymi seryjnie produkowanymi opancerzonymi transporterami półgąsienicowymi. Wozy te brały udział w walkach na wszystkich frontach w Europie i Afryce Północnej – od kampanii wrześniowej do kapitulacji Berlina. Używane były zarówno w działaniach ofensywnych, jak i w obronie. Choć nie były wolne od wad (odkryty przedział bojowy, dość skomplikowane zawieszenie czy nie najmocniejszy silnik), zapewniały piechocie względnie bezpieczny transport na pole bitwy, a w razie potrzeby umożliwiały walkę z wnętrza pojazdu. Obecnie większość armii świata posiada własne opancerzone transportery służące do przewożenia żołnierzy oraz działających wspierających wojska pancerne, a właśnie transporter Sd. Kfz. 251 był ich pierwowzorem. ■



Charakterystyczna sylwetka transportera Sd. Kfz. 251 towarzyszyła niemieckim żołnierzom przez całą wojnę 1939–1945

FOT. NAC

„DOM SCHICHTA”

Trzypiętrowy budynek przy ul. Nowy Zjazd 1 w Warszawie, zwany później „Domem Schichta”, wzniesiony został w latach 1867–1868 z przeznaczeniem na łaźnię parowe Michała I. Żdanowicza. W 1872 r. przedsiębiorstwo przekształcono w Towarzystwo Akcyjne Łaźni Parowej w Warszawie. Były to wówczas największe łaźnie w mieście, które prosperowały aż do czasów I wojny światowej.

Obiekt przebudowano w latach 1926–1928. Zyskał wówczas dwa dodatkowe piętra. Jeśli mocno powiększy się zdjęcie z „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, przedstawiające nocną panoramę Wisły, można wypatrzeć zmodernizowany już gmach z rusztowaniami, wystający zza oświetlonego mostu Kierbedzia. Zmodernizowany budynek stał się siedzibą wielu biur, w tym znanej warszawskiej firmy Przemysł Tłuszczowy „Schicht” SA, produkującej proszek do prania „Radion” i mydło „Jeleń”. Zdobiący fasadę kamienicy wielki neon z popularnym sloganem „Radion sam pierze” był pierwszą w Warszawie tego typu nowoczesną reklamą. W rezultacie gmach wkrótce stał się znany jako „Dom Schichta”.

Mieściły się w nim również inne instytucje. Warto wymienić komendę powiatową Policji Państwowej i Muzeum Kolejowe (od 1931 r.), przekształcone w 1938 r. w Muzeum Komunikacji. Placówka zgromadziła liczne zbiory dotyczące kolejnictwa, motoryzacji i żegluga, choć z racji ograniczeń lokalowych w „Domu Schichta” wystawiano jedynie mniejsze i lepsze eksponaty.

Podczas okupacji Niemcy umieścili w budynku m.in. szpital polowy i posterunek „granatowej” policji, usuwając



„Dom Schichta” – widok od strony Wisły, lata 30. XX w. NAC

zbiory muzealne do magazynów na Pradze. Gmach został przekształcony w silną redutę, broniącą strategicznego obiektu, jakim był pobliski most Kierbedzia. Dom, przez swą solidną konstrukcję i dogodne położenie, zapewniał wprost idealne warunki obronne. Otoczono go dodatkowo zasiekami, okna zabezpieczono workami z piaskiem, a na dachu umieszczono działka przeciwlotnicze.

Podczas Powstania Warszawskiego „Dom Schichta” i przyczółki mostu Kierbedzia miały zdobywać słabo uzbrojone kompanie 101, 102 i 103 Batalionu „Bończa”. Dowódca 102 kompanii nie przystąpił do walki, uważając natarcie 50 ludzi z jednym karabinem i kilkoma pistoletami na silnie ufortyfikowany obiekt, najeżony bronią maszynową, za misję samobójczą. Kompania 101 ruszyła do ataku, lecz zatrzymana mocnym ogniem wycofała się do ruin Zamku Królewskiego. Kompania 103, uzbrojona w 40 granatów i trzy pistolety, liczyła na zaskoczenie niemieckich żołnierzy zakwaterowanych w pobliskich namiotach i przejęcie ich broni, niezbędnej do głównego natarcia. Plan ten się jednak nie po-

wiódł i większość oddziału zginęła pod ostrzałem działek przeciwlotniczych. Niemiecka reduta nie została zdobyta przez całe Powstanie.

Budynek przetrwał zarówno walki, jak i planowe wyburzenie miasta przez Niemców po kapitulacji zrywu. Po wojnie szczęśliwie nie podzielił losu innych, ocalałych z powstania kamienic z Nowego Zjazdu – Binkowskiej pod nr 5 i Taubenhauza pod nr 7. „Niebotyki”, jak je nazywano, z charakterystycznymi mostkami prowadzącymi z wiaduktu mostu wprost na trzecie piętro, zostały rozebrane podczas budowy trasy W-Z i osiedla Mariensztat. Wysoka zabudowa w tym miejscu nie pasowała do wizji nowej, socrealistycznej Warszawy.

Wyremontowany budynek był przez wiele lat użytkowany przez Centralną Radę Związków Zawodowych. Od lat 90. mieści się w nim Mazowieckie Centrum Stomatologii. Choć ostatni remont pozbawił gmach wielu przedwojennych detali, w tym wystroju klatki schodowej, „Dom Schichta” pozostaje świadectwem dawnej zabudowy stolicy.

ŁUKASZ KAROLEWSKI

Państwo – ciało narodu



MAREK
JUREK

U świętego Tomasza znajdujemy piękne, katolickie echo starorzymskiej zasady „Salus Rei Publicae suprema lex est”. Akwinata w „De Regno” (II,4), po omówieniu wszystkich zadań i warunków dobrego funkcjonowania władzy, pisze, że państwo powinno najpierw troszczyć się „o bezpieczeństwo poddanej sobie społeczności ze strony wrogów: nic bowiem nie pomoże unikanie wewnętrznych niebezpieczeństw, jeśli nie da się obronić przed zewnętrznymi”.

W polskiej tradycji najlepiej tę zasadę skonkretyzował Hotel Lambert w dewizie „najpierw być”. Księżę Władysław, syn księcia Adama, wsparcia dla powstania styczniowego szukał wszędzie, poczynawszy oczywiście od błogosławionego papieża Piusa IX. Ale nie wahał się o poparcie dla walczącej Polski zabiegać też u Karola Marksa. Przede wszystkim

miał jednak świadomość, że – niezależnie od zabiegów o poparcie autorytetów społecznych i opinii publicznej – niepodległość Polski jest kwestią międzynarodową; że wymaga wsparcia państw, jeśli Polska na nowo ma stać się jednym z nich.

Zwolennicy Księcia Adama nie byli obojętni na kwestie polityczno- czy społeczno-ustrojowe. Byli (nie tylko w deklaracjach) prawowitymi spadkobiercami Konstytucji majowej. Ale nie mieli zamiaru składać narodowych nadziei w powszechną (nacionalistycznej czy socjalistycznej) rewolucji. Nie tylko dlatego (choć był to взгляд bardzo ważny), że bliscy im konserwatywni pisarze – Krasiński, Klaczko – zwracali uwagę na katastrofalne duchowo konsekwencje łączenia sprawy polskiej z taką doczesną apokaliptyką. Również dlatego, że takie nadzieje oznaczały abdykację polityki.

Gdy przyszedł czas na ostateczną walkę o niepodległość, jej realizatorzy mieli pełną świadomość relacji między polityką międzynarodową a prądami ideowymi. Stosunek Piłsudskiego do socjalizmu był przedmiotowy, tym bardziej Dmowskiego do panslawizmu. Decydujące znaczenie dla ich polityki miało podjęcie akcji politycznej, najpierw na terenie monarchii Habsburgów i Romanowych, potem – wobec rządów zachodnioeuropejskich. Czynniki społeczne (na przykład angielscy katolicy i inni polonofile czy młoda Polonia amerykańska)

odegrały ważną wzmacniającą rolę, ale sprawa niepodległości była przede wszystkim kwestią międzynarodowej polityki.

Choć istnienie niepodległego państwa nie jest ostatecznym celem dobra wspólnego, stanowi – dla historycznego narodu – jego pierwszy warunek. Państwo bowiem reprezentuje naród i materializuje jego wolę. Pozornie to oczywiste, ale istnieje też inna, anarchizująca postać nacjonalizmu. Takiego, który zakłada, że póki państwo nie jest emanacją narodowego ideału, póki nie ma „narodowych” rządów, póty polityka jest niemożliwa; ale gdy już te rządy nadejdą, kiedy nastąpi „przełom narodowy”, polityka w istocie przestanie być potrzebna. Taki anarcho-nacjonalizm wyzywa się w kontestacji realnie istniejącego państwa, patriotyzm przenosi w sferę marzeń, a politycznie kieruje się najczęściej przeciw współrodakom.

Oczywiście kwestia ustrojowa nie jest rzeczą obojętną. Ma swoją autonomię, gdyż wiąże się z zagadnieniami skuteczności i sprawiedliwości, tożsamości i tradycji. Tak widział ją we Francji Charles Maurras. Pisał, że w (skrajnej) demokracji realizacja interesu narodowego jest najtrudniejsza, w (narodowej) monarchii – najprostsza. Zawsze jednak wymaga polityki.

Jego słynna teza, że nacjonalizm „integralnie” spełnia się w monarchii, oznaczała przywrócenie Francji najważniejszej instytucji narodowej, a nie spełnienie abstrakcyjnej wizji. W sensie szerszym – gdy wyjdziemy poza kontekst, w którym pisał – oznaczała, że nacjonalizm spełnia się w historycznie ukształtowanym państwie; że jego przedmiotem muszą być konkretne postulaty narodowej polityki adresowane do suwerennej władzy, wzmacniane zrozumieniem patriotycznej opinii. Bez tego państwowego, realistycznego wymiaru retoryczny nacjonalizm staje się jeszcze jedną formą zbiorowej egzaltacji, jeszcze jedną formą demokratycznej malkontencji. Często szczególnie szkodliwą, bo rozstruwającą ideologiczną fatamorganę, zasłaniającą realne obowiązki.

ZAŁOGI POCIĄGÓW PANCERNYCH W WIELKIEJ BRYTANII

Historia pociągów pancernych w Wojsku Polskim jest bogata, jednak ich działania w PSZ na Zachodzie są chyba jej najmniej znanym epizodem. Latem 1940 r. jednym z problemów oddziałów polskich reorganizujących się w Wielkiej Brytanii był nadmiar oficerów, z których wielu pozostawało bez przydziałów. Wśród nich znalazł się kpt. Piotr Piątkowski, który po klęsce wrześniowej przez Węgry przedostał się do Francji, gdzie wstąpił do oddziału radzającego się Wojska Polskiego. Kpt. Piątkowski, tak jak wielu jego kolegów, pozostawił w okupowanym kraju rodzinę: żonę Klaudię i syna Zdzisława.

Częściowym remedium na problem nadwyżki oficerów stała się propozycja Brytyjczyków, aby polscy żołnierze obsadzili organizowane właśnie improvizowane pociągi pancerne. Miały one stanowić jeden z elementów obrony przeciwko przewidywanej inwazji niemieckiej. Zgodnie z rozkazem gen. Władysława Sikorskiego z 17 września 1940 r. z Polaków miano sformować obsadę 12 pociągów pancernych (załoga jednego liczyła etatowo 49 żołnierzy). Zaciąg do załóg był ochotniczy i dotyczył oficerów, którzy wyrazili zgodę na służbę na stanowiskach przewidzianych dla szeregowych. Szkolenie ochotników odbywało się najpierw w obozie w Brughton, a następnie w Dunfermline na terenie Szkocji. Podczas zajęć teoretycznych ochotnicy przechodzili szkolenie w zakresie m.in. obsługi broni, układania torów, minowania i sygnalizacji. Zajęcia praktyczne odbywały się na pobliskiej stacji kolejowej, gdzie ćwiczone budowę, naprawę oraz niszczenie torów.

Od listopada 1940 r. do lipca 1943 r. sformowano i skierowano do działania cztery dywizjony pociągów pancernych (po trzy pociągi w każdym). Jednak już pod koniec 1941 r., wraz z odsunięciem realnej groźby inwazji niemieckiej, polskie władze wojskowe rozpoczęły przygotowania do stopniowej likwidacji pociągów. W związku z tym opracowano plan szkolenia pancernych ich załóg. Szkolenie to podzielono na trzy etapy:

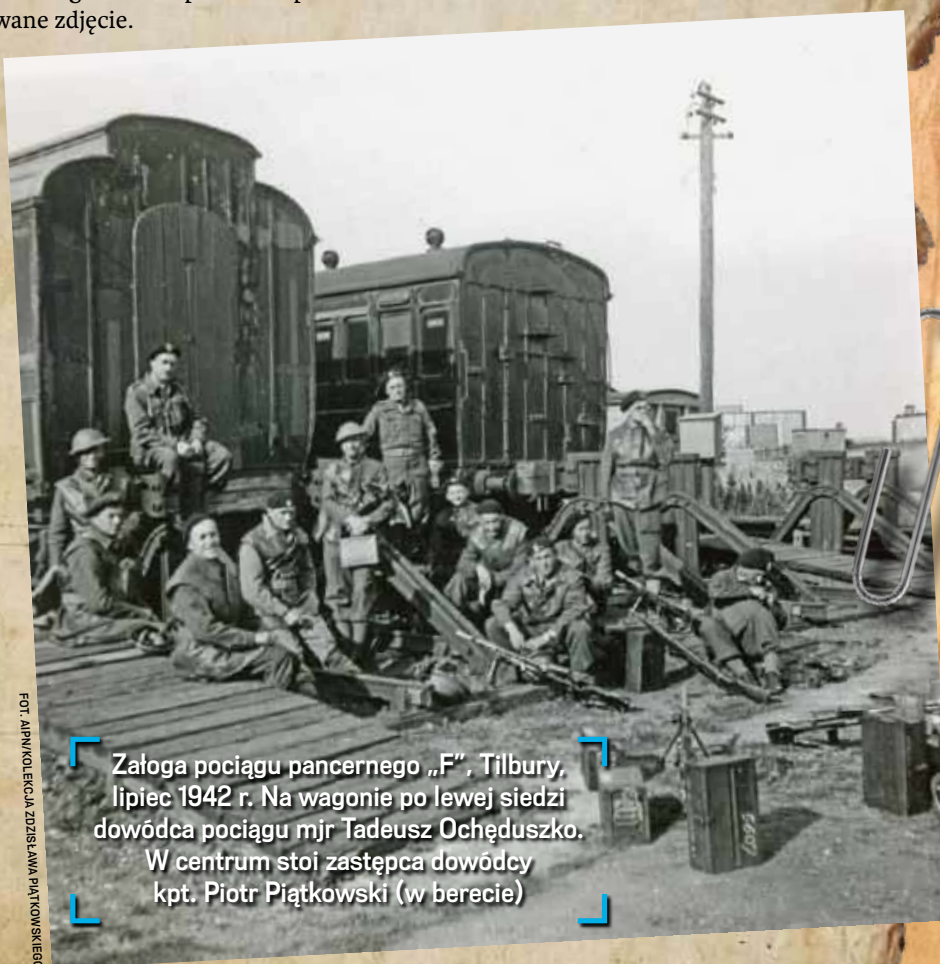
kurs podstawowy (samochodowy), specjalistyczny oraz staże i praktyki. Zapoznawano się na nich z budową i obsługą brytyjskiego sprzętu oraz taktyką oddziałów pancernych.

Wraz z rozformowywaniem kolejnych pociągów pancernych ich kadry zasilały oddziały pancerne i zmotoryzowane PSZ w Wielkiej Brytanii oraz na Bliskim Wschodzie. Ogółem w pociągach pancernych służbę odbyło 550 polskich oficerów, wśród których znalazł się również kpt. Piątkowski. Nasz bohater po zakończeniu szkolenia w grudniu 1940 r. objął funkcję adiutanta w dowództwie III Dywizjonu. Pełnił ją do rozformowania dywizjonu w maju 1942 r. Następnie objął stanowisko zastępcy dowódcy pociągu pancernego „F” w II Dywizjonie. To z tego okresu pochodzi prezentowane zdjęcie.

ARCHIWUM IPN
SEKCJA OPRACOWYWANIA
DOKUMENTACJI
AUDIOWIZUALNEJ

Po rozformowaniu pociągu pancernego „F” kpt. Piątkowski został skierowany na Bliski Wschód, gdzie objął stanowisko dowódcy najpierw 316, a następnie 317 Kompanii Transportowej P.S.K. Pod koniec 1946 r. wyraził wolę powrotu do Polski, co nastąpiło 14 maja 1947 r. W Warszawie odnalazł żonę. W tym czasie jego syn przebywał w stalinowskim więzieniu aresztowany i skazany w związku ze swoją działalnością w Armii Krajowej.

ROBERT SZCZESŃIAK



Załoga pociągu pancernego „F”, Tilbury, lipiec 1942 r. Na wagonie po lewej siedzi dowódca pociągu mjr Tadeusz Ochęduszek. W centrum stoi zastępca dowódcy kpt. Piotr Piątkowski (w berecie)

FOR. AIPN/KOLEJKA ZDZISŁAWA PIĄTKOWSKIEGO



GÓRA GRADOWA

Cesarz Napoleon Bonaparte w czasie wojny z Prusami w 1806 r. nazwał Gdańsk „kluczem do wszystkiego”. Jednak już setki lat wcześniej znaczenie tego miasta dla Rzeczypospolitej było nie do przecenienia.

Jako jej główny port morski był Gdańsk prawdziwymi wrotami do niej. Wrotami, przez które w obie strony płynęły bogactwa. Obładowane zbożem, ale też drewnem, smołą i potażem szkuty spławiano doń Wisłą, czyniąc ją tym samym najważniejszą śródlądową drogą wodną Polski. Towary te, głównie za sprawą Holendrów, których bandery powiewały na większości statków wypływających z Gdańska, trafiały na zachód Europy. W drugą zaś stronę, na obszary Rzeczypospolitej Obojga Narodów, z portu nad Motławą płynęły towary luksusowe – kosztowne przyprawy, dzieła sztuki czy owoce z odległej Hiszpanii.

Dla przedsiębiorczych gdańskich kupców nie miało znaczenia, kto ani co chciał kupić lub sprzedać. Najważniejsze, by handel nie ustawał. Przy każdej transakcji na mocy miejskich praw musiał pośredniczyć gdańszczanin, który za swoje usługi pobierał prowizję – i to niemałą. Należący do Ligi Hanzeatyckiej Gdańsk szybko wyrósł na najbogatsze miasto Rzeczypospolitej, które dysponując nadmiarem gotówki, chętnie pożyczalo ją na procent nawet... polskim królom.

Wypełniony po brzegi złotem miejski skarbiec to przyczynek nie tylko do rozwoju kultury i sztuki, lecz także asumpt do nabrania znaczenia. Gdańsk uzyskał prawo do uczestniczenia w elekcji polskich monarchów. Jego pozycja była na tyle istotna, że miasto prowadziło swoją politykę, nie zawsze zgodną z interesami kraju. Doprowadziło to m.in. do otwartej wojny (1576 r.) z nieuznanym przez nie za króla Stefanem Batorym.

Niestrzeżone bogactwa, szczególnie w niespokojnych czasach, mogą nęcić niejednego władcę do ich zagarnięcia. Świadom tego Gdańsk dla obrony przed wszelkimi nań zakusami otaczał się murami i wałami obronnymi. Średniowieczne umocnienia zachowały się tylko fragmentarycznie – spacerując po starówce, natkamy ceglane baszty i bramy, niepołączone już ze sobą obmurowaniami.

Obserwując miasto z lotu ptaka, nie sposób nie zwrócić uwagi na łamaną linię fosy opływającej ziemne bastiony usytuowane na południe od dawnego centrum. To pozostałości nowożytnych umocnień przystosowanych do ostrzału artyleryjskiego, któremu średniowieczne mury nie mogły się już przeciwstawić. Jednak o wiele większe znaczenie dla bezpieczeństwa Gdańska miały mniej widowiskowe fortyfikacje. Obwarowania wybudowane na wznoszącej się na zachodnim ówczynie skraju miasta Górze Gradowej uniemożliwiały najeźdźcom zajęcie jej i sąsiadującej Biskupiej Górki,

skąd możliwe było prowadzenie skutecznego ostrzału nawet przy użyciu lekkich działek polowych. Pierwsze dzieła obronne powstały tam krótko przed szwedzkim potopem i tak uszczelnili system obronny miasta, że najeźdźcy nawet nie podjęli próby oblegania twierdzy. Najnowsze bunkry na Górze Gradowej pochodzą najprawdopodobniej z 1943 r. i zostały zbudowane przez okupujących Gdańsk Niemców.

Obecnie w odrestaurowanych schronach mieści się interaktywna wystawa prezentująca historię fortyfikowania wzgórze, oblężeń Gdańska w XVIII i XIX w., ale też epizod, kiedy w ceglanych pofortecznych budynkach mieściły się siedziby licznych bractw studenckich. Ekspozycja łączy tradycyjne formy z nowoczesnymi – w kolejnych wnętrzach natkamy manekiny w historycznych strojach, ale też wysłuchamy uruchamianych przez fotokomórki opowieści z kolejnych okresów rozwoju Góry Gradowej. Żądni wiedzy znajdą podświetlane tablice z pogłębioną faktografią. W budynku dawnych koszar schronowych mieści się Centrum Hevelianum z wystawami przeznaczonymi dla najmłodszych, a tuż obok znajduje się restauracja, której kuchnia pokrzepi nas po zwiedzaniu. Przy następnej podróży do Trójmiasta warto zaplanować wizytę na Górze Gradowej, wszak to tylko 300 m (w linii prostej) od głównego dworca PKP.

ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

ZDJĘCIA Z ELEKTROWNI



**MICHAŁ
TOMASZ
WÓJCIUK**

**ZDOBYTA PRZEZ POWSTAŃCÓW WARSZAWSKICH W DNIACH
1-2 SIERPNIA 1944 r. I UTRZYMANA W POLSKICH RĘKACH DO 5 WRZEŚNIA
ELEKTROWNIA MIEJSKA NA POWIŚLU BYŁA NIE TYLKO ZAKŁADEM
PRODUKCYJNYM, POWSTAŃCZĄ REDUTĄ, LECZ PRZEDĘ WSZYSTKIM
SYMBIEM NIEZŁOMNOŚCI DAJĄCYM NADZIEJĘ I KRZEPIĄCYM SERCA**

Elektrownię zdobyło i obsadziło Zgrupowanie Wojskowej Służby Ochrony Powstania – UP (Użyteczność Publiczna) „N-9215”. Dowódcą załogi przez cały okres funkcjonowania zakładu w Powstaniu Warszawskim był kpt. Stanisław Skibniewski „Cubryna”, a jego zastępcą – por. Tadeusz Kahl „Kowalski”. Sprawę priorytetową stanowiło nie tylko utrzymanie terenu w polskich rękach, lecz przede wszystkim kontynuowanie produkcyjnej działalności zakładu. Wieleletni pracownik Elektrowni i uczestnik Powstania Warszawskiego, spawacz strz. Antoni Nowakowski „Gryf”, napisał w swoich wspomnieniach: „Energia elektryczna to był kontakt z całym światem”.

5 sierpnia załoga Elektrowni weszła w skład Grupy Bojowej „Krybar” dowodzonej przez kpt. Cypriana Odorkiewicza „Krybara”. Elektrownia była atakowana przez Niemców, którzy zdawali sobie sprawę z jej strategicznego i moralnego znaczenia. Ostrzeliwali ją ze stanowisk na przyczółkach mostów średnicowego i Poniatowskiego, z pociągu pancernego przemieszczającego się torami linii średnicowej, a także z kanonierki pływającej po Wiśle. Załozdce i robotnikom zagrozały również niemieckie stanowiska w zabudowaniach Uniwersytetu Warszawskiego.

Warunki pracy w Elektrowni były niezwykle trudne. Robotnicy wielokrotnie naprawiali usterki w kotłowni, w której temperatura pary dochodziła do 350 °C. Trudności występowały także podczas transportu węgla, gdyż na początku drugiej połowy sierpnia ostrzał niemiecki uszkodził suwnicę, czyli dźwignicę wyposażoną w mechanizm służący do podnoszenia i opuszczania. Przez trzy dni węgiel był dowożony do pieców podajnikiem pchanym przez ludzi. Do pracy wykorzystywano też jeńców niemieckich, do których wróg nie strzelał. Elektrownia zakończyła działalność w wyniku niemieckiego bombardowania na początku września i zmasowanej ofensywy wroga na Powiśle.

Funkcjonowanie zakładu pozwoliło działać powstańczej infrastrukturze. Dzięki dostawom prądu ludzie mieli światło w schronach, działały szpitale, pracownie specjalistyczne, a także izba poro-



Powstańcze stanowisko bojowe
w jednym z warsztatów Elektrowni



Kuchnia polowa
w kompleksie Elektrowni

dowa i ambulatorium ginekologiczne zorganizowane w lokalu biurowym Elektrowni przy ul. Pierackiego (dziś Foksal). Energia elektryczna pozwalała działać również rusznikarniom i warsztatom zbrojeniowym, zajmującym się produkcją m.in. granatów, butelek zapalających, granatów i miotaczy ognia, a także pistoletów maszynowych „Błyskawica” i polskiej wersji brytyjskiego pistoletu maszynowego Sten. Siłami m.in. pracowników Elektrowni skonstruowany został samochód pancerny „Kubuś”, wykorzystany w dwóch atakach na pobliski Uniwersytet (23 sierpnia i 2 września). Z prądu korzystały również drukarnie, a także powstańcza montażownia filmowa na rogu ulic Dobrej i Leszczyńskiej oraz powstańcze kino „Palladium” przy ul. Żłotej, gdzie od połowy sierpnia do początków wrze-

śnia wyświetlano reportaże z działań powstańczych zrealizowane przez referat filmowy Biura Informacji i Propagandy KG AK. Prąd był konieczny też do działania radiostacji fonicznej „Błyskawica”. Dzięki Elektrowni głos Powstania poszedł w świat.

Działalność zakładu budziła żywe zainteresowanie powstańczych mediów, które wykorzystywały go jako symbol i wzór podnoszący morale cywilów oraz żołnierzy. Podkreślano ciężką pracę i poświęcenie robotników, odwagę i determinację obrońców reducty. Na terenie Elektrowni działali m.in. filmowiec Stanisław Bala „Giza”, fotografowie Halina Bala „Małgorzata”, Sylwester Braun „Kris”, Tadeusz Bukowski „Bończa”, Janusz Cegieła „Rawicz”, Bogusław Kalasiewicz „Wojnar”, Wincenty Szober „Andrzej Tarnowski”, Wacław Loth „Kupiec”, Zbigniew Romanowski „Nowy”.

Zdjęcia Tadeusza Bukowskiego „Bończy” pozwalają się zapoznać z umundurowaniem, ekwipunkiem i uzbrojeniem załogi. Na fotografiach uwieczniono również stanowiska bojowe zajmowane w najbardziej dogodnych miejscach, np. w jednym z warsztatów w budynku technicznym, gdzie widać stół narzędziowy z imadłami i maszyny. Drugie ze zdjęć prezentuje działalność kuchni polowej, w której za ladę kuchenną służyły dwie beczki klepkowe. Fotografie ukazują specyfikę walki, a także są doskonałym źródłem dla historyków uzbrojenia, umundurowania, życia codziennego i kultury materialnej.





Wydawnictwo IPN poleca

Do zobaczenia!

- **9–12 września**
Warszawskie Targi Książki
- **23–26 września**
Targi Wydawców Katolickich

